

WALERY SZEWCZUK
NABRZEŻNA 12



Walery Szewczuk, jeden z najoryginalniejszych prozaików ukraińskich młodego pokolenia, urodził się w Żytomierzu w roku 1939. Ukończył wydział historyczno-filozoficzny Uniwersytetu Kijowskiego. Zajmował się dziennikarstwem, muzykologią, krytyką literacką, tłumaczył na język ukraiński poezję K. I. Gałczyńskiego. Debiutował na łamach prasy literackiej w roku 1962. Opublikował dwa zbiory opowiadań: „W środku tygodnia” (1967) i „Wieczór świętej jesieni” (1969).

Tom „Nabrzeżna 12” (1968), zawierający dwie mikropowieści, jest pierwszą książką Walerego Szewczuka wydaną w przekładzie polskim. W powieści tytułowej autor opisuje zagmatwane przez wojnę i lata powojenne losy mieszkańców pewnej kamienicy w niewielkim mieście na Ukrainie. „Odmieniec” jest pełną zadumy i filozoficznych refleksji opowieścią o perypetiach myślącego i wrażliwego studenta kijowskiego, o dziwności i pięknie świata, o trudnej i niezwykłej miłości.

WALERY SZEWCZUK
nabrzeźna 12



Walery Szewczuk

NABRZEŻNA 12

Tłumaczyli

*Zofia i Stanisław
Głowiakowie*

CZYTELNIK · WARSZAWA 1974

Tytuł oryginału

НАБЕРЕЖНА, 12. СЕРЕДОХРЕСТЯ

Obwolutę i okładkę projektowała

HANNA CZYŻEWSKA

Nabrzežna 12

S z e w c

— Wszystko będzie dobrze — szewc wyjął z ust drewniany kołek i wbił go w podeszwę. — Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Jak ja mówię — to będzie.

Maria patrzyła na niego wielkimi oczami i smętnie kiwała głową. Szewc odwrócił się, spoglądając w okno — czyste, omyte ciepłym błękitem sierpniowego dnia.

— Powiedz tylko, co za piękna dziś niedziela!

— Piękna — westchnęła Maria.

Szewc strzepnął na podłogę skrawki skóry i zdjął przez głowę długi fartuch pokryty plamami zaschniętego kleju. Wstał i by rozruszać kości, nie bez trudu, z chrzęstem stawów zrobił kilka przysiadów, wyciągając przed siebie krótkie, żółkłe ręce.

— Wyprasowałeś ubranie?

— Uhm...

— Pójdę, zobaczę. Myślisz, że tak bardzo chce mi się tam iść?

— Ja cię nie zmuszam.

— Tak czy owak — zobaczyć trzeba. Wszystko człowiek powinien zobaczyć.

Wciągał spodnie podskakując na jednej nodze. Za oknem dzień chylił się ku wieczorowi, słońce rzucało te-

raz krótkie, jaskrawe promienie, zalewając izbę różowym, trzepotliwym światłem. Szewc podszedł bliżej i oparł się dłońmi o parapet pomalowany brudnobiałą, spękaną ze starości farbą. Za duża podkoszulka obwisała mu na piersi, ukazując twardy, kędzierzawy zarost.

— Jaki w tym roku ciepły sierpień — odetchnął głęboko.

— A nie siedz tam zbyt długo, Pawle! — Maria wzięła miotłę i z szurgotem poczęła zmiatać skrawki skóry.

— Mówię przecież, że chcę zobaczyć. A może człowiekowi lżej, kiedy wierzy... — Wciąż jeszcze patrzył w okno, chłonąc wzrokiem stojący na baczność szereg słupów telegraficznych i ciemne punkciki ludzi nad rzeką, i gromadkę niskich domków z otwartymi na oścież okiennicami. — Mnie tam wszystko jedno, Bóg czy diabeł — mrużąc oczy przyglądał się śmigającym w powietrzu jaskółkom. — Ale zawsze mówię: proszę mnie przekonać, że to jest dobre, wtedy uwierzę.

Oderwał się od okna i odwrócił ku żonie. Maria wyprostowała się, trzymając w wyciągniętej ręce obskubaną miotłę, i spojrzała na męża czarnymi, zmęczonymi oczami.

— Dziwny z ciebie człowiek, Pawle.

Szewc wkładał przez głowę białą, świeżo uprasowaną koszulę, chrzesczącą w rękach.

— Dziwny nie dziwny, ale Barwiński tyle o tym opowiadał... Pamiętasz, on był alkoholikiem?

— Ty też wkrótce będziesz.

— Powiedziałem — koniec! — kiwnął głową. — Myślisz, że sam nie rozumiem? Zaraz po wypłacie idziemy na zakupy!

Maria zgarnęła śmieci na kawałek dykty. Patrzył na jej schylone plecy i naprężony kark, i mocno zwinięty nad karkiem ciemny węzeł włosów.

— Możesz sobie milczeć — szewc włożył taniutką

marynarkę. — Ale ja jestem panem swojej woli. Zobaczysz!

Poszukał w kieszeni i wyjął papierosa. Trzymając go w zębach, potarł zapalną.

— A mówiłeś, żeś rzucił...

— Nie wszystko od razu, moja droga — wypuścił obłoczek dymu. — Myślisz, że za jeden dzień wszystko da się zrobić?

Wyszedł zamykając za sobą stare, skrzypiące drzwi. W wilgotnym mroku ciemniały szare betonowe schody, jedyna, ochlapana wapnem żarówka migotała przyćmionym światłem pod szerniałym drewnianym stropem. Czuć było starym kitem i naftą, woń przypalonej kawy wywoływała gorycz w ustach. Ktoś rozmawiał głośno, w pustej ciszy korytarza odbijały się ostre nuty kobiecego głosu. Paweł przystanął i rozejrzał się. Na szło go dojmujące uczucie, którego doznawał zawsze, ilekroć wychodził z domu, by posiedzieć w piwiarni. I chociaż dziś było to tylko jakby dalekie, ledwo uchwytnie echo, przeżył owo uczucie, jak przeżywał je zawsze — było w nim coś i z tego domu, w którym mieszkał, i z tego zapachu przypalonej kawy, i coś z ostatniego spojrzenia żony. Ktoś pompował prymus, który wpierw syczał, a potem zahuczał równomiernie, wypełniając swym nieznośnym szumem klatkę schodową i mroczny korytarz. Paweł zaciągnął się i krótkim ruchem cisnął niedopałek do ciemnoniebieskiego, blaszanego kosza na śmieci. Pod nogami zaskrzypiał piasek. Paweł wyszedł na zalane słońcem podwórze, gdzie suszyła się bielizna. Trzeba się było nisko schylić, by móc przejść do bramy.

Z okna pracowni cukierniczej patrzył na niego człowiek w białym chałacie. Wytrzeszczył oczy i naraz mrugnął do Pawła.

Wzdłuż ulicy ciągnęły się dwa szeregi dawnych skle-

pików żydowskich i Paweł pomyślał o owych na wpół zapomnianych czasach, kiedy to jeszcze na gankach siadywali brodaci kupcy, odprowadzający każdego przechodnia uważnym spojrzeniem. Teraz mieściły się tu składy i starsi, poważni magazynierzy wiecznie sterzczeni przy otwartych drzwiach; nie wiadomo dlaczego wydawało się, że kiedyś te sklepy należały do nich i właśnie to kazało im zostać magazynierami. Na gankach rozsiadały się kobiety i obgadywały jakieś swoje sprawy ostrymi, gardłowymi głosami, które odbijały się od kamiennych trotuarów i masywnych dębowych drzwi.

Cień już zaległ ulicę, ale niebo na zachodzie mieniło się jeszcze różowym, oślepiającym blaskiem, przywołując na myśl zaciszną plażę, na której leżą rozleniwione upałem brązowe ciała, skąpo okryte płatkami kolorowego materiału. O świetle ich miejsce zajmą rybacy. Zbierają się tu z całej okolicy; siedzą bez ruchu, tworząc jedno ze swoimi wędkami, i tylko od czasu do czasu zamieniają niegłośnie jakieś słowo.

Przy placu widać było niebieską budkę z piwem, obok niej pod barwnymi parasolami siedzieli odświeżnie ubrani mężczyźni. Znał ich wszystkich: Zakrzewski — o mocnym karku i pochylonych, potężnych plecach, Musijczuk — z małą, pomarszczoną twarzą i rudymi, obskubanymi wąsami, Hołobucki — o wesołej, okrągłej twarzy i mocno różowej czaszce, i wreszcie Stach Bondar, który wolno ciągnął z ogromnego kufła bursztynowe piwo.

Dwie liliowe wieże kościoła wczepiły się w niebo błyszczącymi krzyżami, tuż obok cerkiew wznosiła swe ceglane kopuły. Paweł nagle sam się zadziwił, że idzie do owego ciemnego budynku, na którym wisi blaszana tablica z napisem okrągłymi literami, i aż przystanął pośrodku ogromnego, pustego placu, rozglądając się do-

koła. Zewsząd otaczał go asfalt — wypływał spod nóg, obiegał cały plac, zakręcał nagle niby wir — i wśród tej monotonnej szarzyzny jego postać zdawała się być małym, ciemnym robaczkiem.

To samo odczuwał ubiegłej niedzieli, gdy siedział w mrocznym kącie i słuchał monotonnego głosu pastora, czytającego jakąś bardzo starą przypowieść z okropnie grubej księgi. Paweł patrzył na wolno przesuwający się po stronicy jego gruby palec. Za paznokciem ciemniała smużka brudu, palec sunął po gęsto zadrukowanej stronicy, od czasu do czasu unosił się uroczyście i znów opadał. Było bardzo cicho, tylko na szybie okiennej bzyczała mucha; na jej skrzydełkach przeświecała drobniutka siateczka. Paweł słyszał świszczący oddech siedzącej obok kobiety w czarnej sukni. Siedziała rozstawiwszy grube, krągłe kolana, suknia zaginała się między nimi. Jej duże wargi poruszały się jak u wyciągniętej na brzег ryby. Pawłowi przypomniało się, że na początku nabożeństwa właśnie z nią wypadło mu się pocałować, i aż go zemdliło, poczuł łaskotanie w gardle i musiał gwałtownie przełknąć ślinę. Było diablo nieprzyjemnie, a przecież palec pastora działał uspokajająco, sunął po zadrukowanej stronicy dalej i dalej, i tłusta opuszka zatrzymywała się pouczająco na najbardziej wymownych miejscach...

Jedenaście lat temu wrócił Paweł z wojny. Czekala na niego Maria z dzieckiem. Była chuda, aż czarna. Długo stali oboje w półmroku izby patrząc na siebie i nie mogąc otrząsnąć się z nagłego odrętwienia. To była najtrudniejsza chwila. Po policzkach Marii spływały łzy, a on patrzył na nią w milczeniu. Już zaczęła łkać na głos i naraz krzyknęła rozpaczliwie i żałośnie. Długo potem nie mogli rozerwać uścisku, czuł ustami jej mo-

kra, słoną twarz. Kobieta wciąż łkała, mocniej i mocniej przywierając do niego. Wtedy rozplakała się mała Lusia, która nieoczekiwanie się obudziła. Chwytała go za kolana, a on zobaczył, że mu drżą palce. Oderwał od siebie żonę i wolno począł rozwiązywać plecak.

— Kto to jest, mamó? — mała pociągnęła Marię za spódnice.

— Tato — odpowiedziała matka przez łzy. — Tato...

— Tato — spytała mała — to naprawdę ty?

— Ja — potwierdził Paweł.

Po kolacji złożonej z chleba i konserw poszli spać. Tulił do siebie żonę, lękając się tego najintymniejszego... Ale to jakoś stało się samo przez się i tej nocy poczęty był Borys...

Paweł przymknął oczy. Od tych wspomnień zrobiło mu się ciepło i spokojnie na duszy. Całodzienne zmęczenie rozlało się po ciele; dotąd jeszcze miał w uszach stukot młotka; pachniało klejem acetonowym i skórą, świeżą pościelą, jaką co sobotę oblekała Maria; zalatywało wonią przypalonej kawy, gdzieś daleko huczał prymus. A na gankach niegdysiejszych sklepów siedziały wyniosłe kobiety i rozmawiały o czymś gardłowymi głosami.

Miękki, przymilny głos pastora czytał starą historię, która głosiła te same prawdy, jakie w dzieciństwie wbiła mu do głowy matka przy pomocy ojcowskiego pasa. Pomyślał, że od dawna już nikt go w ten sposób nie przekonywał, przeciwnie — to on musi nieraz chwycić za pas. To też swego rodzaju, chociaż nieco uproszczony, argument.

Obok dyszała głośno tęga kobieta, za każdym poruszeniem grubych kolan szeleściła nieprzyjemnie jej czarna taftowa suknia. Przydałaby się nowa suknia Marii,

pomyślał, ale nie czarna — jasna, w duże kwiaty, taka, jaką widział na żonie dyrektora fabryki, gdy wysiadała z samochodu; niezgrabnie wysunęła pełną, opaloną nogę i błysnęła koronką bielizny. Nie zazdrościł tej bielizny, chciałby tylko, żeby Maria miała taką suknię. Lecz pieniądze, jakie składał, przepadły w piwiarni. Myślał o tej piwiarni, gdzie podawano do piwa nieświeże serki, ogórkową sałatkę i nie wiadomo dlaczego zawsze zimne baranie ragoût, które gotowała sama bufetowa...

— Śpisz, bracie — usłyszał miękki głos pastora.

Zamrugął oczami. Barwiński szarpał go za marynarkę.

— Zmęczony jesteś, rozumiem, ale to grzech spać przy czytaniu Pisma świętego.

W ustach poczuł metaliczny posmak — język i wargi były jak z drewna. Patrzyło na niego kilkanaście par oczu, w których świeciła ciekawość.

— Musisz odpowiadać za swoje postępowanie. Każdy dorosły człowiek odpowiada za swoje uczynki.

— A idźcież wy do diabła! — rozniewał się naraz Paweł. — Nie chcecie, to mogę sobie pójść.

Wstał i począł przepychać się do wyjścia.

— Proszę zaczekać! — chciał go zatrzymać pastor. — To nieporozumienie. Nie należy tak ostro reagować.

Wokół podniósł się gwar, słowa sypały się jak plewy, pełne udanej pokory, a on miał wrażenie, jakby ze wszystkich stron wyciągały się ku niemu ostre pazury. Były jeszcze schowane w poduszeczkach, ale za chwilę miały wpić się w jego serce. Otaczała go próżnia, nawet powietrza w niej nie było — szedł pomiędzy dwiema falami nienawiści, jaka chlustała z pokornie przymkniętych oczu. Coś go pędziło stąd, z tego pomieszczenia obwieszonego papierowymi hasłami. Szarpnąwszy drzwi, Paweł wypadł na ulicę. Oślepiło go ogromne słońce wiążące nad widnokregiem. Sypnęło w niego miriadem cienkich jak strzały żółtych promieni i naraz poczuł cie-

pło w sercu, jak wówczas, gdy przynosił dzieciom podarki. Zapatrzył się na zachód. Przez zmrużone rzęsy widział, jak wolno chowa się słońce otoczone pierzastymi, podobnymi do rybek chmurkami.

Bufetowej Zinie jest gorąco, oparta ramieniem o furtynę drzwi pije zimne piwo. Pot błyszczy na jej kościstej twarzy, pod pachami ciemnieją mokre plamy. Paweł zdjął marynarkę i cisnął na krzesło. Okropnie parno. Rozpiął kołnierzyk i rozluźnił trochę krawat.

— Co ci podać? — spytała bufetowa.

— Piwa — powiedział, ocierając mokre czoło. — Ależ duszno, niech to diabli!

— Będzie deszcz — wysokim falsetem odezwał się Musijczuk, podnosząc w górę krótki, ciemny palec.

— Słuchajcie — Hołobucki rękawem otarł łysinę. — Mam dwa bilety na mecz futbolowy. Mogę odstąpić.

— Futbol — odrywając się od kufla oświadczył Stach Bondar — to zbiegowisko idiotów. Poszedłem raz, ale słowo daję, o mało mnie nie stratowali.

Kałenyk kiwnął głową.

Paweł siorbnął piwa.

— Powariowali ludzie — mruknął.

— Cha, cha — Hołobucki trząsł łysą głową. — Jesteś zacofany, Pawle.

Piwo było dobre, zimne i świeże. Duszne niebieskie powietrze otaczało stoliki, słychać było, jak ciężko oddychają ludzie. Musijczuk po pijanemu opuszczył głowę na pierś, Hołobucki schował bilety do kieszeni, bufetowa Zina głośno łykała zimne piwo. Jej wielki brzuch kołysał się pod białym, przybrudzonym fartuchem. Na trotuarach migały postaci ostatnich plażowiczów, ich kroki głośno odbijały się od kamiennych płyt. Paweł patrzył na umocnione spękany kamieniem urwisko,

wił się po nim bujny chmiel. Z parku dochodziły odgłosy muzyki tanecznej, migotały dalekie światła na elektrycznych słupach.

— Pawle — zawołał swym falsetem Musijczuk. — To prawda, że przystałeś do heretyków? — zachichotał ocierając wąsy dwoma palcami.

Paweł milczał.

— Chciałem — odezwał się wreszcie. — Ale kazali mi się całować z taką grubą babą, że uciekłem.

— Jak już gruba, to nawet pocałować się nie można — oburzyła się Zina.

— Z tobą, Zino, ja bym całą noc...

— Myślisz, że byłabym gorsza od twojej klaczy?

— Oho, moja klacz jeszcze powiezie!

— Uważaj, żeby cię nie poniosła.

— A niech! — Paweł przymrużył oko.

— No, no, to jak to było z tym całowaniem? — przysunął się bliżej Hołobucki.

— A tak — Pawłowi odechciało się już mówić. Zapatrzył się w gęstniejący mrok; nad stolikiem migotała żółta żarówka, wokół niej krążyły chaotycznie komary i ćmy. W duszną ciemność wdzierał się zapach ziemi wolnej od dziennego skwaru i wilgotne tchnienie rzeki. Pod tym tchnieniem poczęły szeptać liście, gdzieś daleko w miasteczku zaszczekał pies.

Zina przyniosła nowy kufel i szewc od razu wypił połowę. Wyszli już Musijczuk i Hołobucki, podniósł się Kałenyk, Stach Bondar wziął go pod pachę i powłókł w ciemność. Paweł siedział w milczeniu, Zina uprzątała stoliki. Nagle huknął strzał i w powietrzu zawisły trzy rakiety: żółta, niebieska i zielona.

— Co to?

— W parku. Dziś zabawa ludowa.

Pomyślał, jakie to dalekie od niego — zabawa ludowa!

— No jak ci się żyje, Zino? — spytał.

Zina wyprostowała się, odrzuciła z czoła pasmo włosów.

— Wiecznie ten sam kołowrót, Pawle. O tak, od rana do wieczora. I patrzeć wciąż na pijaków... — na jej twarzy odmalował się wyraz wielkiego znużenia.

— Myślę, że chyba przywykłaś...

— A jak nawet przywykłam, to już mnie nie mierzi?

— Ludzie nie piją ot tak, po prostu — Paweł podniósł się i naciągnął marynarkę. Nerwowo zapinał guziki.

— A kto ich tam wie? — Zina z hałasem postawiła krzesło na stoliku. W brązowej kałużce sosu bezradnie pęzała ćma, jej wielkie, szare ciało i brązowe, jak ten sos, skrzydełka wzdrygały się spazmatycznie.

— Idź już do domu — Zina rozwiązywała z tyłu taśmki fartucha.

Paweł zapłacił i wolno począł schodzić w dół. Wionęło na niego chłodem, chłonał go każdą komórką ciała. Ociężałe kumkały żaby, od czasu do czasu wydając przeciągły okrzyk, brzmiący jak wezwanie. W górze szeleściły liście, wiatr przebierał w nich z ową szczególną skwapliwością, jaka poprzedza deszcz. Paweł uniósł głowę i wpatrzył się w mętne, ciemne niebo. Wielka kropla spadła mu na czoło i rozpląnęła się z łaskoczącym chłodem.

Usiadł na przydrożnym kamieniu i objąwszy głowę rękami, mruknął:

— A niech to wszyscy diabli!

S a s z k o

Najpierw pojawił się zapach kawy, przypalony i cierpki. Rozchodził się po całym mieszkaniu, drapał w gardle i wiercił w nosie. Cztery ściany wznosiły się niby

zielone brzegi, a w jednej z nich, przed Saszką, było okno, schludnie przybrane firanką i przekreślone ramą. Jak każdego wieczora, matka wyszła pozostawiając go na opiece sąsiadki, staruszki o dziwnym imieniu Eleonora. Staruszka lubiła siadywać w korytarzu, chociaż nie było to zbyt wygodne, mrugała rzadkimi, jakby opalonymi rzęsami i myślała o czymś tam swoim. Kiedy się jej to sprzykrzyło, ciągnęła Saszka do miasta, napychała go lodami, cukierkami, ciastkami. Potem chłopiec wsuwał się do jej pokoju, zastawionego jeszcze przedrewolucyjnymi meblami, które pachniały kurzem i spróchniałym drzewem. Wielki, rzeźbiony stół krył w swych szufladach mnóstwo ciekawych rzeczy, ale staruszka rzadko pozwalała w nich grzebać. A były tam stłuczone termometry, białe i żółte pokruszone pigułki, niemiecka tytonierka skręcająca papierosy, nici, kłódki, pełno kluczy, długie druty do robótek, najprzeróżniejsze guziki, stare, szerniałe srebrne łyżki i widelce, słóiczki ze zjełczałym kremem i puste buteleczki po wodzie kolońskiej. Za każdym razem chłopiec przebiegał wśród tych wszystkich skarbów z wciąż nową ciekawością, brudząc ręce i odzież, aż w końcu babcia Eleonora przepędzała go. Wracał wtedy do swego pokoju, kładł się na starej kanapie i patrzył, jak zapala się za oknem reklama. *Kupujcie lody, smaczne, pożywne* — czytał sylabizując. To były pierwsze słowa, jakie przeczytał, i w dodatku słowa przyjemne, bo lody zawsze tak ładnie pachną i można ich zjeść bardzo dużo.

Matka wyszła i wróci, kiedy on już będzie spał. Przedtem długo malowała się przed lustrem, błyszczały od kremu jej białe, pulchne ręce. Leżał tak sam cichutko, przysłuchując się odgłosom z sąsiedniego pokoju, wdychając ostry, trochę drażniący zapach kawy. Staruszka krzątała się u siebie, włożywszy na głowę staromodny, słomkowy kapelusik; zawsze to robiła, gdy zabierała się

do porządków. Szurała teraz krzesłami i skrzypiącym głosem nuciła jakiś stary romans. Za oknem zapalał się jaskrawoniebieski neon, rzucając blask na zielone ściany ze złotym wzorkiem. Saszko leżał nie zapalając światła; nie chciało mu się ruszać, chociaż z góry wiedział, że babcia Eleonora wyciągnie go do siebie i każe mu pić kawę z jadownicie słodkimi piernikami. Będzie go mdlilo od słodkiego, a babcia nasmaruje jeszcze piernik grubo masłem, które będzie połyskiwało jak żółta tłusta plama. Tak samo będą połyskiwały wargi staruszki i od tej tłustości przejmować go będzie nieprzyjemny dreszcz.

— Gdzie jesteś? — zawołała z głębi korytarza staruszka. Dziś była bardzo ruchliwa i czynna.

Saszko nie odpowiedział. Eleonora gwałtownie otworzyła drzwi i nacisnęła kontakt. Saszko przymrużył oczy i usiadł.

— Znowu leżysz. W twoim wieku to bardzo niezdrowo — powiedziała. — Zaraz będzie kolacja.

Powłókł się za nią, patrząc na jej czarną, wytartą bluzkę, okrywającą kościste, pochylone plecy.

— Twoja mama wcale nie dba o swoje dziecko — głośno i śpiesznie mówiła staruszka. — Zawsze była obojętna wobec ciebie. Gdyby nie ja, to nie wiem...

Zdjęła z maszynki naftowej czajnik i nalała do filiżanki gęstego, pachnącego płynu. Chłopiec patrzył, jak kawa spływa do filiżanki w złote róże, jak suche ręce babci przedstawiają taką samą cukiernicę i koszyczek pełen lukrowanych pierników.

— A miała takiego dobrego męża. Ty go nie znasz — staruszka urwała i wzniosła w górę wyblakłe oczy. — Cóż to był za człowiek — cmoknęła — ale i on nie wytrzymał. Z takim charakterem, jaki ma twoja mama, daleko nie zajdziesz. A twój ojciec? Uciekł do Magadanu.

Gwałtownym ruchem posunęła w stronę Saszki filiżankę, brązowy płyn chlupnął na serwetkę, pozostawiając plamę o nierównych brzegach. Staruszka smarowała piernik masłem, zręcznie operując cienkim, do cna wytartym nożem.

— Kiedy byłeś całkiem mały, też zostawiała cię na mojej opiece. Płaciła, pewno, ale co to za pieniądze! Byłeś nie bardzo spokojnym dzieckiem. To ja ciebie wychowałam...

Dolała do kawy mleka z białego w złote róże porcelanowego dzbanuszka.

— Nie chcę jeść! — burknął Saszko.

— Patrzcie no go, nie chce jeść. A co chcesz — być kościotrupem?

Saszko pochylił głowę i zapatrzył się w jasnobrązowe oko filizanki. Po wierzchu pływały żółte kółeczka tłuszczu — i znów go zemdliło.

— Dziwny z ciebie chłopiec. U ludzi dzieci jak dzieci, biegają, dużo jedzą. Wynieść na dwór — wydrą z rąk! No jedz!

Saszko upił łyk kawy, wydała mu się gorzka.

— Tylko ja jedna w całym domu robię prawdziwą kawę. A może ty wolisz jęczmienny surogat? Proszę bardzo, jak chcesz, mogę ci robić jęczmienną, ale trzeba być głupim, żeby ją pić.

Staruszka popatrzyła na niego spod spłowiałych brwi i skrzywiła wargi.

— A potem pójdziesz się przejść. Trochę ruchu przed spaniem jest rzeczą konieczną. Dziś ja nie mam czasu...

Saszko odetchnął z ulgą.

— Gdy skończą się wakacje, będzie trochę lżej. Ale i tak trzeba cię będzie odprowadzać do szkoły.

— Wcale nie trzeba mnie odprowadzać do szkoły — sprzeciwił się Saszko.

— O to już nikt nie będzie ciebie pytał, trzeba czy nie trzeba.

Błyszczące palce babci Eleonory trzymały rozkrojony na wpół piernik, grubo nasmarowany masłem. Piernik zawisł w powietrzu, na wprost oczu staruszki, patrzących sponad piernika kpiąco, a zarazem poważnie.

— Nie mam już osiemnastu lat, żebym biegała za tobą. Powinieneś być posłusznym chłopczykiem. Pozwalam ci pójść na dwór, ale żebyś mi za godzinę był tu z powrotem i szykował się do spania. Wiesz, że nie znośzę niepunktualności.

Saszko na siłę wepchnął do gardła mdląco-słodki kęs.

— Na noc nie powinno się podawać kawy — głądziła babcia. — Ale do spania jeszcze półtorej godziny. Tylko żeby ci się nie zachciało łązić do piwnicy.

— Wcale nie myślę tam łązić — odburknął Saszko.

— Kiedy twoja mama pierwszy raz wyszła za mąż, ciebie jeszcze nie było na świecie. O, wtedy ona była całkiem młodziutka. Borys był starszy. Ładnie zarabiał. Ale ona szybko się z nim rozstała. Co dzień były awantury. On zaczął pić — jak się ma takie życie, to musi człowiek pić. A potem ona znalazła sobie tego szofera, łobuziaka, twojego kochanego tatusia. Pomyśleć tylko, artystka — i to jaka artystka! — związała się z takim nieokrzesanym gburem. Borys to znosił do czasu, ale wreszcie nie wytrzymał...

Staruszka wstała zza stołu i podeszła do kredensu, wciąż mówiąc wysokim, łamiącym się głosem, chociaż to wszystko od dawna było znane chłopcu. Saszko wolno zsunął się z krzesła i zerkając spod oka na opięte czarną bluzką plecy babci, tyłem począł wycofywać się w stronę drzwi. Staruszka przestawiała filiżanki w kredensie, żółte, wyschłe ręce biegały wzdłuż półek wyścielonych gofrowaną bibułką, a jej głos to wznosił się, to opadał.

Chłopczyk przecisnął się przez uchylone drzwi, szybko przeszedł przez korytarz, otworzył zamknięte na haczyk drzwi mieszkania i znalazł się na schodach. Tu przystanął i chwilę nasłuchiwał.

Było cicho. „Eleonora” — mruknął ze złością i podskakując pobiegł schodami w dół. Grzecznie pozdrowił ciotkę Marię, która w naprężonej ręce dźwigała dużą, wypchaną zakupami torbę, i wyskoczył na kwadratowe, wylane asfaltem podwórze. Z wielkich drzwi, obitych brązową dermą, wyszedł mężczyzna z okrągłą łysiną. Zamknął za sobą drzwi i ziewnął, szeroko otwierając czerwone usta pełne żółtych od tytoniu zębów, po czym wolno poszedł ku bramie. „Zjednoczenie Kopalń Soli” — przeczytał Saszko tabliczkę na obitych brązową dermą drzwiach. Naokoło świeciło się w kilku rzędach okien, na asfalcie leżały żółte prostokąty światła. Było pusto, a na niebie, akurat nad podwórzem, wisiał księżyc, całkiem jak blaszany. Zapachniało pączkami. W suterenie, gdzie mieściła się pracownia cukiernicza, paliły się lampy jarzeniowe i w ich martwym świetle krzątały się ubrane na biało kobiety.

Wysoki mężczyzna w białym chałacie i okrągłym, wysokim kołpaku z płaskim denkiem miesił ogromny kawał ciasta, które rozlażyło się na wszystkie strony pod grubymi palcami z kępkami rudych włosów. Pośrodku pomieszczenia buchała żarem ogromna płyta kuchenna, na której skwierczał i pieniał się w głębokich rondlach roztopiony tłuszcz. Przy długim stole kobiety ważyły płaskie kawałeczki ciasta, inne nakładały na nie łyżkami żółtą marmoladę i zalepiały. Pączki leżały równiutkimi rzędami, póki nie trafiły do skwierczających rondli. Słychać było, jak bulgocze, strzelając dokoła krągłymi kroplami, gęsty, spieniony smalec. Saszko patrzył przez szybę i dobrze mu było wśród tych krzątających się ludzi, wśród tego bulgotania, zapachu przypalonego

smalcu, ciasta i marmolady. Mężczyzna, który miesił ciasto, spojrział na niego i mrugnął. Oderwał kawałek gęstej, elastycznej masy i szybko ulepił konika. Saszko uśmiechnął się. Tamten pokazał mu konika i wcisnął go palcem z powrotem w ciasto. Potem pojawił się piesek, potem kogucik, kotek i lwiątko, pulchne palce migają szybko za oknem, a Saszko z zachwytu rozpląszczył nos o szybę. Ale mężczyznę ktoś widać zawołał, bo zwrócił się w głąb pracowni, chwilę słuchał, po czym wzruszył ramionami i rozłożył ręce. Saszko patrzył, jak on idzie, utykając na jedną nogę, nawet mu się zdawało, że słyszy skrzypienie protezy. Śledził przymrużonymi oczami, jak przesuwiają się wzdłuż stołu dopiero co ulepione pączki. Kobiety rozmawiały podniesionym głosem, od czasu do czasu wymachując gwałtownie rękami.

Takim głosem jego mama klóciła się z sąsiadkami. Wtedy od razu robiła się jakby starsza, ale i tak była bardzo piękna. Szczególnie jednak piękna była na zdjęciach z występów: ubrana w dziwne szaty, jakich nikt już nie nosi, z wysoką fryzurą przypominającą wieżę, wyglądała jak królewna z bajki. A gdy zaczynała deklamować, jej twarz stawała się natchniona i subtelna, a oczy ciepłe i przyjazne.

Podkradał się pod drzwi pokoju, gdzie matka zamykała się, przygotowując recytację, i godzinami słuchał ciekawych i wzruszających historii, w których dziewczyna zamieniała się w topolę, a tęsknota zżerała Kozaka. Matka rozczulała się własną deklamacją i płakała nad wierszami. Ale gdy zjawiała się w kuchni, w długim kwiecistym szlafroku, w jej oczach nie było już łez. Od razu wszczyniała kłótnie, jej delikatny głos nabierał mocy, stawał się piskliwy. „Kuchnia to nie bazar ani chlew, takie świnie powinny mieszkać w chlewie” — krzyczała do Zosi. Ta cierpliwie przeczekiwała

potok wyzwisk, aby — uchwyciwszy moment — wychlusnąć własny zapas. Wypędzano go z kuchni, bo w takich chwilach padały słowa, których on nie miał jeszcze prawa słuchać. Tak samo przepędzano go od telewizora, gdy spiker zapowiadał, że film nie jest dla dzieci. Za to, kiedy zostawał sam, mógł oglądać wszystko, również i niedozwolone filmy. Ale były one okropnie nudne; na wpół nagie kobiety wcale go nie interesowały, co dzień widywał je na korytarzu.

Człowiek, który miesił ciasto, podszedł do okna i oparł się rękami o parapet.

— No i co powiesz? — spytał Saszka.

— Nic — bąknął chłopiec, zmieszany.

— Szszsz — mężczyzna zrobił okrągłe oczy i położył palec na ustach. — Szszsz!

Pokuśtykał do wielkiego rondla pełnego błyszczących pączków, wybrał największy, najbardziej rumiany i trzymając go w dwóch palcach podał chłopcu przez uchylone okno.

— Proszę, królewiczu!

— Dziękuję — Saszko uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Kręci się tu szef, królewiczu! — konspiracyjnym szeptem rzucił mężczyzna. — On nie lubi dzieci.

Saszko niechętnie odszedł od okna na środek podwórza. Z apetytem odgryzł spory kęs pączka i poczuł w ustach przyjemny smak kwaskowatej, pachnącej marmolady.

A potem zbliżył się do piwnicy, już z góry wyczuwając grozę wilgotnej ciemności, cuchnącej zgniłymi ziemniakami, wystygłymi mydlinami, liszajowatym murem. Przerażające istoty niby płaskie cienie przywierały do ścian; miały mętne oczy bez źrenic i długie jak macki palce, którymi wpijały się w mrok. Te straszdyła pełzały po ziemi, chodziły na czworakach, wyciągając kudła-

te łby. Ale choć serce Saszka waliło jak młotem, jakaś przemożna siła ciągnęła go w głąb mroku. Czuł pod koszulą lodowaty dreszcz strachu, lecz jego dusza była pełna czujnego zachwytu. Po wyszczerbionych cementowych schodkach zszedł na dół i od razu otoczyła go ciemność, pełna cieni niezwykłych istot. Stał na nich sandałami i poczuł na nogach dotknięcia śliskiego chłodu. Strach ścisnął drobne ciało chłopca, ogarniała go rozpacz, ale zachwyt był silniejszy. Miał on osiągnąć kulminację, gdy Saszko dotknie starych beczek pachnących przestęłym kwasem ogórkowym. Chłopcu mąciło się w głowie — zbyt długo trwał ów stan równoważenia się uczuć. Wstrzymując oddech wolno przestąpił z nogi na nogę i wyciągnął przed siebie ręce. Strach szedł za nim nieodstępnie, jak żywa istota, próbował schwytąć go zimnymi rękoma i od dotyku tych rąk po ciele Saszka przebiegały mrówki z ostrymi łapkami. A jednak szedł wciąż dalej i dalej, w radosnym i zarazem lekkim przejmującym zapamiętaniu. Babcia Eleonora, gdyby się o tym dowiedziała, plasnęłaby w dłonie, wzniosła ku niebu wyblakłe oczy i popłynąłby potok pouczeń, które zresztą bez śladu przechodziły obok jego świadomości. Matka uczyniłaby co innego — zacisnąwszy jego głowę pod pachą, sprawiłaby mu porządne lanie. Biła go często i boleśnie. Nie kochał jej w takich chwilach, bo ciało rozdzierał ból i chciało mu się krzyć...

Saszko natknął się na beczkę z zatęchłą wodą. Kopnął w żelazo i beczka zadudniła, rozpędzając swym dudnieniem gromady piwnicznych istot, otaczających go kołem. Walił nogą w beczkę, a ta napełniała piwnicę straszliwym łoskotem. Strachy uciekały w popłochu, wysoko podrzucając długie, płaskie nogi, a Saszką zawładnęło uczucie podszytej niepokojem radości, jaka zawsze mu towarzyszyła, gdy robił coś niedozwolonego.

Wreszcie przestał walić w beczkę i wpatrywał się uważnie w mrok, wsłuchany w zamierające odgłosy. A potem wspiął się na palce i krzyknął w chłodną pustkę: „Hej!” Cieniutki głosik długo dźwięczał pośród wilgotnych ścian, a gdy umilkł, ze wszystkich stron poczęły znów nadciągać strachy; czołgały się na czworakach, wyciągając w przód płaskie głowy, poczwary bez ciała i bez cienia. Saszko począł wycofywać się tyłem, uważając, by się nie obejrzeć, gdyż wówczas któraś z tych istot mogłaby podejść zbyt blisko. A gdy się zbliżały, wyrzucał przed siebie piastkę i strachy bojaźliwie odskakiwały. A jednak coraz trudniej było powstrzymać ich napór. I Saszko skapitulował — odwrócił się i co sił w nogach rzucił się do ucieczki. Strachy gnały za nim, setki chimery pełzły wzdłuż ścian, wiły się jak węże, usiłując go dopędzić i schwytać. Ale zbawczy prostokąt drzwi był tuż, tuż i Saszko jak kula wypadł na podwórze.

Tu było cicho i spokojnie. Za oknami pracowni cukierniczej tak samo uwijały się kobiece postaci, a wysoki mężczyzna pod oknem energicznie miesił ciasto. Pogwizdywał jakąś wesołą melodię i to uspokoiło Saszka. Włożył ręce do kieszeni i nie spiesząc się, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, poszedł przez podwórze. Wiatr przyniósł mulisty zapach rzeki. Chłopiec przystanął w progu, postął na jednej nodze, stuknął pięścią w miękkie drzwi obite skórą i skacząc po schodach pobiegł na swoje piętro.

L u s i a

Księżyc przypominał stary cynowy talerz, zawieszony pomiędzy ciemnymi przybrzeżnymi skałami. W ci-

szy słyhać było osypywanie się drobnych kamyków spod nóg.

— Siądźmy — powiedział Tola, przystanawszy pod skałą. Usiedli. Wsparł brodę na dłoniach, dwa szklane świecidełka oczu połyskiwały trochę nerwowym blaskiem.

Lusia naciągnęła sukienczyne na kolana.

— Co teraz zrobimy, Toliku?

— Wiesz to już na pewno?

Księżyc wyrwał się zza przesłony chmur i popłynął, srebrny i czysty. Tola wziął kamień i rzucił daleko przed siebie. Głucho chlupnęła woda, drobniutko zadrgały obudzone fale.

— Wczoraj mama krzyczała na mnie — westchnęła dziewczyna.

— Ona wie?

— Nie. Ale późno wróciłam. Boję się, Tolik.

Objął jej ramiona, lecz ona nie zmieniła pozycji. Pocałował ją w chłodny policzek.

— Będę przy tobie...

— Jesteśmy za młodzi... Nie porzucisz mnie?

— Chcesz, to się jutro pobierzemy? — powiedział przysuwając się do niej blisko.

Podniosła na niego oczy:

— A czy nam wolno?

— Dziewczynie wolno, kiedy ma szesnaście lat, a chłopcu — osiemnaście.

— Ty nie masz jeszcze osiemnastu.

Wokół drzemała cisza. Nawet żaby spały. Czasem tylko plusnęła senna ryba. Pachniało wilgotnym kamieniem i zgniłymi wodorostami. Tola wstał i przeszedł się wzdłuż brzegu. Piasek cicho szeleścił pod stopami, zasypując dołeczki śladów. Dalekie miasto jeszcze nie spało. Smukła wieża telewizyjna wznosiła się ku niebu, na jej szczycie mrugało ostrzegawcze czerwone światelko.

Tola pochylił się i zanurzył palce w piasek. Gdy ukazała się ciemna woda, począł wygrzebywać piasek dłonią.

— Mam już prawie osiemnaście — powiedział. — Parę miesięcy nie gra w tym wypadku roli. Ważny jest rok urodzenia.

— A ja mam już szesnaście i pół.

— Pójdziemy jutro — opuścił rękę w studzienkę i wybrał garść mokrego piasku.

— A rodzice?

— Potem im powiemy.

— Nie powinniśmy byli wtedy tak długo być razem.

— Po tobie nic jeszcze nie znać.

— Nie po tym się poznaje. O tym można się przekonać już po miesiącu.

— I tyś się przekonała?

Lusia zakryła dłońmi twarz i twierdząco skinęła głową. Potem długo patrzyli na siebie i nagle jej ramiona drgnęły; wielkie łzy potoczyły się po bladej w księżycowym świetle twarzy, usta się skrzywiły i dziewczyna rozplakała się żałośnie jak dziecko.

— Nie płacz — Tola pocałował jej chłodne wargi.

Księżyc znów skrył się za chmurami i jego światło przygasło. Twarze bieliły się niewyraźnie w gęstym mroku. Woda pachniała jodem. Tola zanurzył ręce, rozcierając w palcach twarde ziarenka piasku. Głucho zabulgotała woda i chłopiec poczuł, jak coś go ciągnie w czarną otchłań. Gdzieś daleko nad wodą zawisło samotne światelko latarni.

— Czemu nie mówisz nic?

— Myślę.

— O czym?

— O tym, że nie ma w tym nic dziwnego.

— W czym?

— W tym, że będziemy mieli dziecko i że się pobierzemy.

— W książkach piszą — zabawił się i rzucił.

Chłopiec czuł, że poczerwieniał. Chociaż była noc, odwrócił się i cisnął kamieniem w ciemność; kamień z suchym odgłosem spadł na ziemię i znów zaległa cisza.

— Chodźmy — powiedział biorąc ją za rękę.

— Dokąd?

— Do miasta. Na ulice. Niech wszyscy widzą.

Lusia nie ruszyła się z miejsca.

— Powiedzą mamie.

Roześmiał się.

— Głuptasie, przecież jutro weźmiemy ślub.

— A ty się nie boisz?

— Czego? — spytał śmiało. — Oto moja żona...

Lusia parsknęła.

— A to mój mąż — tknęła go palcem w pierś.

Zaczęli się mocować, padli na trawę, usiłując nawzajem się pokonać.

„Ach ty, mężysko — śmiała się ona — ja ci zaraz pokażę!” „Ach ty, żonisko!” — śmiał się on, wykręcając jej ręce do tyłu.

Naraz dziewczyna poderwała się i z niepokojem obciągnęła na sobie sukienkę.

— Żeby tylko jemu nie zaszkodziło... — pokazała na brzuch.

Chłopiec spoważniał, usiadł na kamieniu. Patrzył na sięgającą daleko, daleko zwierciadlaną tafłę wody, na huśtający się blaszany księżyc, na kołyszącą się bezgłośnie koło elektrowni łódkę z jakąś samotną postacią.

— Dlaczego posmutniałeś, Toliku? — objęła go Lusia.

— Wiesz — powiedział — chwilami wprost trudno mi uwierzyć, że to wszystko jest naprawdę...

— Żałujesz?

— Czego?

— Czy ja wiem... jak by to powiedzieć? Jesteśmy jeszcze tacy młodzi...

Znowu wychynał księżyc i oblał skały migotliwym światłem; spływało z góry, niby jakiś bezbrzeżny, błękitny potok, przenikając przestwór tysiącami cieniutkich promieni. Wszystko wokół przybierało fantastyczne kształty: krzaki stawały się głowami straszliwych przedpotopowych potworów, kamienie przeistaczały się w znieruchomiałe grupy dziwacznych, abstrakcyjnych rzeźb, rzeka mieniła się fosforycznymi błyskami. Dalekie światła miasta przygasły, tylko samotna latarnia nad rzeką rozrzucała wokół ostre żółte włócznie. Powietrze przesycone było cierpkim zapachem macierzanek i rumianków. Na gałęzce drzewa, co przystało nad wodą, rozbłysły fioletowo wielkie ametysty i zadrgały, syjąc złotawymi iskierkami.

— Nie — powiedział cicho. — Nie żałuję. A ty?

Podeszła do niego i jak dorosła spokojnie pocałowała go w usta.

Wolno szli pod górę stromą ulicą, mijając słupy z latarniami; na ziemi leżały żółte okrągłe plamy światła, otoczone trzepotliwą obwódką.

— Widzisz ten budynek, to był kiedyś klasztor.

— Klasztor?

— Uhm, karmelitów bosych.

— Dlaczego bosych?

— To byli tacy mnisi, co chodzili boso.

— Ty wszystko wiesz, Tol.

Prychnął. Przechodzili właśnie wzdłuż szeregu wysokich dębowych drzwi, za którymi mieściły się ongiś sklepiki żydowskie. Kobiety przerwały ożywioną rozmowę i odprowadziły ich uważnymi spojrzeniami.

— Wszyscy patrzą na nas.

— Niech sobie patrzą — twarz chłopca wyrażała zdecydowanie. — Chcesz, to cię zaproszę na kawę.

— Nie jestem głodna.

— Głuptasie! Kawę pije się nie dlatego, że jest się głodnym, ale żeby się poczuć lepiej.

— Mnie i tak jest dobrze.

— To ci zafunduję lody.

Lusia gestem niezdecydowania przechyliła głowę na uniesione ramię.

— Przecież ty jesteś łakomczuch.

Minął ich nabity po brzegi tramwaj; twarze przylepione do szyb, cały rząd rąk trzymających się poręczy.

— Chodź tu — szarpnęła go za rękaw Lusia i pociągnęła za sobą do bramy. Stali oparci o ścianę.

— Co się stało?

— Tam była nasza sąsiadka.

— I co z tego — wyrwał rękę. — Przecież jutro bierzemy ślub.

Opuściła głowę.

— Nie gniewaj się, kochany. Całkiem zwariowałam. Ale przecież pierwszy raz wyszliśmy razem między ludzi...

Poszli długą, niebieskawą od światła jarzeniowego ulicą.

— Chcesz pójść do kina?

— Nie. Wiesz, nigdy tak nie odczuwałam hałasu...

— Właściwie wcale nie chodziliśmy razem po mieście. Spójrz — latarnie jak sznur koralii...

Latarnie łukiem zbiegały w dół. Pod płonącymi kulami wolno szli zmorzeni upałem ludzie. Od murów buchał żar. Tolik rozpiął koszulę i spojrzał w dół, skąd dochodziło wilgotne tchnienie rzeki, lekko teraz przymglonej; dalej wznosiły się wielkie, bezkształtne skały.

— A jednak ja się boję, Tolu — w dużych oczach Lusi był całkiem dorosły smutek.

— Pójdziemy do parku — powiedział chłopiec. —

Najpierw na huśtawkę, potem na karuzelę. Dzisiaj masz być wesoła. Patrz, na tej górze stał zamek. Już go nie ma, ale kiedyś to była niedostępna forteca. Tatarzy dwa razy zrównali miasto z ziemią...

Lusia — w krótkiej sukience, niewysoka i szczupłutka, wyglądająca na dziewczynkę — uśmiechnęła się pobłażliwie i ujęła jego gorącą rękę cienkimi palcami.

— Wiem, że chcesz zająć mnie czymś innym. Ty dużo wiesz, ale to wszystko już opowiadałeś. Nie martw się. Będę spokojna. Bo ty jesteś przy mnie... A teraz chodź, zabawimy się. Będziemy robić wszystko, na co nam tylko przyjdzie ochota...

O mało co nie oblała ich polewaczka. Na czarnym wilgotnym asfalcie połyskiwały srebrzyste smugi. Chodniki zadymiły leciutkim obłoczkiem pary, tłumiącym odgłosy kroków.

Doszli do skweru. Na ławkach ciemniały nieruchome postacie. Kudłate, siwe wierzby aż do ziemi opuszczały gałązki, które chwiały się, gdy ktoś przechodził obok.

Pawilon „Lody” przywitał ich zaciszem czyściutkich stolików i rozproszonego, mlecznego światła. Niemłoda już kelnerka podała im lody czekoladowe, a czwórka dziewcząt w nowiutkich, szeleszczących sukienkach jak na komendę odwróciła głowy w ich stronę. Lusia wbiła plastikową łyżeczkę w lody, przez jej twarz przemknął cień. Dziewczęta zapłaciły, demonstracyjnie zaszurały krzesłami i odeszły, w swych błyszczących sukienkach.

— Byłam tu kiedyś z mamą. Jeden jedyny raz... A wiesz — uśmiechnęła się — ty wcale nie umiesz zamawiać.

— To zamawiaj ty.

— Zamawiać powinien mężczyzna.

Było cicho. Tylko gdzieś z głębi skweru dochodził znużony szmer fontanny. Ktoś szedł aleją, bo słychać było, jak skrzypi pod nogami piasek.

W plastikowych pucharkach pływały resztki lodów. Tola odłożył łyżeczkę.

Gdzieś rodził się wiatr, bo zaszumiały liście i ich szum mieszał się ze szmerem fontanny, stwarzając nastrój niepokoju. Tola i Lusia przeszli aleję i znaleźli się znowu wśród ludzi. Dziewczyna uściśnęła jego spoconą dłoń, spojrzała mu w oczy i czule się uśmiechnęła.

— Jacy my jesteśmy śmieszni. Wyobrażam sobie, co powie twoja mama.

Chłopiec chmurnym wzrokiem patrzył na ruchliwy strumień, statecznie opływający ich ze wszystkich stron.

— Ty zawsze — zaczął wolno — myślisz o tym, co powiedzą inni. A ja nie... Wcale mnie nie interesuje, kto na mnie patrzy i jak patrzy.

Zaszli na ciemny, dziecinny plac zabaw. Było tu całkiem jak w bajce o śpiącej królewnie: znieruchomiały wesołe koniki, nie kołysały się huśtawki, bez ruchu tkwiła między dwiema listwami ogromna drewniana beczka, po której można było biec bez końca, pozostając wciąż w miejscu; dwie strome zjeżdżalnie, wyszorowane porcięciami i spódniczkami już niejednego pokolenia, świeciły pustką. Usiedli na drewnianej huśtawce i wolno poczęli się huśtać. Lusia wparła się stopami w podeszwy jego trzewików, deska szła w dół i razem z nią spadała i ona. Wtedy on mocno przechylał się na oparcie siedzenia i dziewczyna wznosiła się w górę. To było jak jakaś gra — huścili się wolno i ostrożnie. Gorące powietrze płynęło przez park i głuchy szept czy to ludzi, czy liści szedł przez ciemność. Źle dokręcona żarówka mrugała jak krótkowidz, w jej widmowych błyskach wysypana piaskiem aleja, zielone ławki z przytulonymi cieniami zakochanych, palczaste liście amerykańskich klonów — to wszystko jakby nagle wyłaniało się z niebytu, by znów się w nim pogrześć. Ciemność

technęła im w twarz suchym zapachem skoszonej trawy. On patrzył na puste aleje, na białe krążki astrów, ona — gdzieś poza ogrodzenie parku, gdzie wolno snuł się tłum. Chciał jej coś powiedzieć, coś takiego, żeby zapamiętała ten wieczór na całe życie, ale nic nie powiedział, tylko jeszcze mocniej przechylił się na oparcie siedzenia i uważnie spojrział w znieruchomiałą twarz, co na mgnienie zawisła nad nim.

N a u c z y c i e l k a

Pani Cukrowa miała rozczochrane włosy, brudne, siwe pasma opadały na okryte wytartym barchanowym szlafrokiem ramiona, pomarszczone usta otwierały się jak u złowionej ryby, ukazując czerwone, bezzębne dziąsła. Dochodzący z góry głośny płacz dziecka rozdzierał powietrze i starsza córka pani Cukrowej, wysoka i chuda Zosia, nerwowo się krzywiła.

— Co mama tak biega! Biją — to znaczy, że zasłużył.

— Jak to zasłużył? — zrobiła wielkie oczy młodsza córka. Ta miała krótkie jak u kaczki nogi, na których przewalała się z boku na bok. — Żeby tam nie wiem co, nie powinno się bić dziecka.

— Dużo się na tym znasz — mruknęła basem Zosia i poszła do kuchni.

Pani Cukrowa zabębniła w drzwi.

— Boże, co się dzieje! Co się dzieje!

— Co się stało? — wyrzała nauczycielka.

— Oj, mordują! — krzyczała pani Cukrowa, cała rozdygotana.

— Na miłość boską, kto kogo morduje?

— Pani nauczycielko, niech pani tam idzie. Przecież nie można tak katować dziecka. On go zatłucze jak amen w pacierzu.

— Bo ich trzeba bić — w progu stanęła Zosia, wysoka i stanowcza, jak przystało na starą pannę. — Ja bym tego wyrodka jeszcze nie tak sprą! Pierze by leciało.

— O Boże! Jak można! — oburzyła się grubaska. — Dziecko to jest dziecko. Pani Hanno, jako nauczycielka powinna pani ingerować.

— Cóż ja mogę zrobić — bezradnie rozłożyła ręce nauczycielka.

— Nawet niech pani nie mówi — falsetowe nutki w głosie pani Cukrowej zastąpiły nuty basowe. — Właśnie że pani może!

— Bzdura! — krzyknęła z kuchni Zosia. — Rodzice darmo nie biją.

— Milczałabyś lepiej, ty Babo Jago! — rzuciła w stronę drzwi młodsza siostra.

Nauczycielka wzruszyła ramionami i poszła schodami w górę. Za nią sunął cały orszak. Młodsza córka pani Cukrowej, chwytając się poręczy, przestępowała po kilka stopni naraz. Jej brzusek opierał się przy tym o kolana, ale ona uparcie wdzierała się na górę, skąd słyhać było krzyk dziecka i gniewny głos mężczyzny.

Nauczycielka nacisnęła biały guzik przy drzwiach, w korytarzu zabrzmiał melodyjny głos dzwonka.

Hajdajenko ze złością otworzył drzwi.

Nauczycielka weszła do przedpokoju, przesyconego wonią nafty i lakieru, drzwi z hukiem zatrzęsły się przed nosem ciekawskich.

Chłopiec już nie płakał, w ogóle nie było go widać. Nauczycielka rozejrzała się bezradnie i przestąpiła próg pokoju. Panował tu straszliwy nieład: rozrzucona pościel, koń na biegunach przewrócony. W nos uderzył zapach nie wypranych pieluch, naftaliny i kurzu, który słupami wzbijał się w smugach słonecznego blasku.

— Wybacz ten bałagan — Hajdajenko znużonym ruchem otarł czoło. — Siadaj.

Usiadła patrząc sobie pod nogi. Hajdajenko zapiął na piersi piżamę.

— Nie powinienes go tak bić — cicho powiedziała nauczycielka. Łzy stanęły jej w oczach. — Słyszysz?

Hajdajenko sapał głośno, wpatrzony gdzieś w kąt zimnymi jak lód oczami, jego szerokie usta drgnęły i załamały się w kącikach. Piżama rozchyliła się, spod przybrudzonej siatkowej podkoszulki wyglądała pierś porośnięta gęstym, czarnym włosem. Ona patrzyła na jego już niemłodą twarz, czoło z głębokimi łysymi zakolami i rzadkimi włosami pośrodku czaszki. Jego sztywne palce bębniły nerwowo po brudnej ceracie, aż okruszki chleba podskakiwały na stole i spadały na podłogę.

— Postarzałeś się, Mikołaju — powiedziała.

— Jak się tu nie postarzeć, Halu — Hajdajenko opuścił wzrok. — Wiesz przecież, dwoje dzieci, to nie takie proste. A ona już tam... — twarz mu się skrzywiła, machnął ręką. — Pewno powiesz, że to niepedagogicznie?

— Przestań! — krzyknęła nauczycielka. — Jesteś zły. Każdy człowiek powinien mieć coś świętego... — o mało się nie rozplakała.

Jego palce przestały bębnić po ceracie. Nie patrząc jej w oczy, rzucił:

— Nie mogę sobie ze wszystkim dać rady...

— Oddaj starszego do internatu.

Hajdajenko wstał, piżama zwisała na jego chudych plecach.

— Wiesz — oparł się o ścianę — nigdy nie przypuszczałem, że tak może się stać. Że Marta umrze, a ja będę musiał pracować pieluchy, i to wszystko zabierze cały mój czas i całą energię. I mimo to nic mi nie wycho-

dzi. — Podeszedł do okna. — I jak może wyjść! — podniósł głos. — O, sunie ten rudy ze złotym zębem. Do Kat'ki idzie, każde dziecko o tym wie. Kiedy Marta umarła, oni wszyscy szli za trumną jak wilki. Myśleli, że ich potem zaproszę na wyżerkę!

Nauczycielka w milczeniu patrzyła, jak mieni się jego twarz. Zapłakało dziecko, Hajdajenko przyskoczył do kołyski. Nauczycielka wstała, wolno rozejrzała się wokoło: z okna zwisała jakaś brudna zasłona, krzesła zarzucone odzieżą, w popielniczce stos niedopałków, na podłodze wypalone zapalki, pod stołem kilka butelek po wódce. Stała pośrodku pokoju, z bezsilnie opuszczonymi rękami, jej pociągła twarz posmutniała, a oczy się rozszerzyły. Na ścianie tam i z powrotem kołysało się wahadło zegara. Podeszła do kołyski i popatrzyła na małą twarz dziecka, które łapczywie ssało mleko z butelki.

— Zaniosę go do żłobka — spokojnie powiedział Hajdajenko. — A ty się nie gniewaj, tak czy owak będę bił tego durnia.

— To trudne dziecko.

— Wit'ko! — zawołał ojciec.

Chłopak miał twarz mokrą od łez. Stał w progu z ponuro zwieszoną głową.

— Co tak patrzysz jak zbój? Podnieś głowę!

Mały niechętnie uniósł głowę.

— Idź na dwór — ze znużeniem powiedział Hajdajenko.

Chłopiec łypnął spod oka na nauczycielkę i z ponurą miną wyszedł.

— Trzeba by tu sprzątnąć.

— Zaraz to zrobię.

— Może ci pomóc? — pytająco spojrzała na niego.

— Dziękuję ci. Pani Cukrowa czatuje pod drzwiami. Jeszcze powie, żeś się ze mną całowała — roześmiał się

ochryple i niewesoło. — Nie gniewaj się, mam idiotyczne usposobienie.

Nauczycielka wolno poszła ku drzwiom.

Pani Cukrowa patrzyła na nią z ciekawością.

— Widzi pani — zatrajkotała. — A pani mówiła, że nie pomoże. Kto to widział tak bić dzieciaka. Ja swoich nigdy palcem nie tknęłam. I wychowały się.

— Och, mama — manierycznie westchnęła Katarzyna.

Niżej na schodach świecił złotym zębem wysoki, chudy mężczyzna.

— Katiu, do ciebie — poważnie powiedziała pani Cukrowa.

Jakby nagle zrzucawszy z ramion brzemię czterdziestu lat, Katarzyna pospieszyła na dół. Pani Cukrowa patrzyła przed siebie dumnym, nie widzącym wzrokiem. Nauczycielka zeszła na swoje piętro, przywitała się i bez słowa znikła za drzwiami.

— No co, uratowany? — wyrzała z kuchni Zosia. — Niepotrzebnie, bo skóra by wytrzymała, a trochę pokrzyczeć to zdrowo dla dzieci.

Mówiąc to wolno wycierała w fartuch zatłuszczone, chude palce o sinych, podługnych paznokciach.

Nauczycielka była zmęczona. Czuła, jak przepływają przez nią fale słabości, miała wrażenie, że ciało jej mięknie, rozpływa się i traci swój zwykły kształt. Położyła się na kanapie i przymknęła powieki. Oczy piekły jak po bezsennej nocy, osłabłe ciało było jak sparaliżowane, ale mózg żył osobno. W takich chwilach wracał do przeszłości, chociaż ona dobrze wiedziała, że przeszłością można żyć tylko do pewnego czasu. Suma wciąż tych samych wspomnień na razie się nie zmieniała, zmianie ulegał tylko ich porządek. Mimo to oddalały

się z każdym rokiem wciąż dalej i dalej, blaknąć i gubić się po trochu w siwej pomroce czasu. Nauczycielka z lękiem myślała, że kiedyś całkiem ją opuszczą, a ona nie potrafi zatrzymać ich przy sobie.

Jej pokój był od cienistej strony, rzadko zaglądało tu słońce, nawet za dnia panował w nim chłodny półmrok. Ale jej to wcale nie przeszkadzało, podobnie jak nie interesowały jej starannie ustawione dookoła rzeczy. Pragnęła mieszkać nie gorzej niż inni, chociaż nowe urządzenie kosztowało ją niemało bieganiny po wykładach — a to na kursach dokształcających dla nauczycieli, a to w szkołach wieczorowych. W końcu osiągnęła swoje i urządziła sobie pokój tak, jak chciała go widzieć. Ale wtedy przyszło całkowite zubożenie. Kiedyś dawniej, gdy jeszcze sama była na studiach zaocznych, ponury, prawie pusty pokój przejmował ją lękiem; całymi wieczorami błąkała się po ulicach, tak aby przyjść tu dopiero na noc. Rozpalała ogień i godzinami mogła wpatrywać się w żółty płomień wyrrywający się z brązowej czeluści pieca. Ten odpoczynek był rekompensatą za całodzienną aktywność, do jakiej z natury nie była skłonna, jakkolwiek swe obowiązki wypełniała z niezmienną sumiennością. Potem gdy szła spać, śniły się jej ulice, którymi chodziła, grobla na rzece; szum wody działał kojąco, ponadto lubiła zapach rzeki. Dłgie pagórki jaśniały czystą zielenią, która za dnia radowała oczy, a w nocy stawała się gęstsza i niepokojąca, szczególnie gdy zrywał się wiatr. „Najważniejsze w życiu — to być porządnym człowiekiem — mówił do niej Iwan. — Oto cała filozofia.” Podobało się jej to zdanie, chociaż było dość naiwne — otaczający świat był znacznie bardziej skomplikowany, niż się to im zdawało. Zrozumiała to dopiero po przeżyciu wojny, która zburzyła wąski krąg życia intymnego i postawiła przed setkami ludzi dylemat: albo tam, albo tu, jeśli istotnie

uważasz się za człowieka. Wtedy nie było wątpliwości, co znaczy „tam”, a co „tu”, wszystko było jasne, a wybór — prosty i oczywisty. Ale to dawno już minęło, teraz jest inny, nowy świat, ten, który mieścił się w pojęciu „tu”. I znowu wszystko rozkładało się na elementy, znów trzeba było wybierać, albowiem rozstrzygnięcia domagało się nowe pytanie: Jaki jesteś i kim jesteś, człowieku? I ty, która przyszłaś na świat boży w 1923 roku? Ludzie wokół są tak różni, czyż można znaleźć dla nich jakąś miarę bezwzględną? To była sprawa niezwykle trudna i skomplikowana, zwłaszcza dla kogoś, kto może godzinami wpatrywać się w migotanie ognia w piecu. O wiele łatwiej jest temu, kto tego nie potrafi. Po prostu żyje, nie zastanawiając się nad sensem życia. „Być porządnym człowiekiem, oto cała filozofia.” Iwan stał przed nią, jak zawsze szeroko rozstawwszy nogi i założywszy ręce do tyłu. Miał dość pospolitą twarz i piękne, połyskujące zęby. Podnosił ją w swych ogromnych łapskach, a jej się zdawało, że płynie w powietrzu. Śmiał się z jej lękliwych odruchów i całował twarz, włosy. Przymykała oczy i w takich momentach czuła, że gdyby trzeba było oddać za niego życie, uczyniłaby to bez wahania. Ale bardziej potrzebne okazało się jego życie, przerwane gdzieś w Polsce. Wszystko było prymitywnie proste, a przecież nie potrafiła zgłębić tego do końca, jak nie da się zgłębić różnicy pomiędzy naszymi pragnieniami a rzeczywistością. „Nikt nie przychodzi na świat przypadkowo — mawiał Iwan. — Każdy człowiek jest potrzebny, Halu, nie wyobrażasz sobie, jak bardzo potrzebny. Trzeba coś robić. Nie siedź, Halu, nie wolno siedzieć. Bo tak przesiedzisz samą siebie. Człowiek musi wypełnić swoje przeznaczenie.” Był heroiczno-naiwny i za tę naiwność ona oddałaby życie. O ileż gorsza jest trzeźwość! Trzeźwość — to tyle co słabość. A ona urodziła się trzeźwą.

Spojrzała na zegar, potem przeniosła wzrok na okno. Za nim był żółty ślepy mur, od którego i okno zdawało się być żółte. Jej dwa pokoiki całkowicie zmieniły się od tamtego czasu: w pierwszym — malutki salonik, w drugim — jej sypialnia. W kącie nieduże biurczko, na nim równiutkie stosiki szkolnych zeszytów, przy kanapie — stolik na gazety. Tu jadła, stawiając jedzenie wśród książek. W drugim pokoiku podwójne łóże. „To jest już mania” — mówiła pani Cukrowa, kładąc nacisk na ostatnim słowie. „To idiotyzm — krzywiła się aktorka. — Skoro nie ma się męża, po co mu słać łóżko?” „To wariactwo” — mówiła Zosia. „Tak to bywa — wzruszał ramionami Hajdajenko — ale życie jest życiem.” „Być porządnym człowiekiem — oto cała filozofia” — mawiał Iwan.

Nauczycielka wstała, przeszła się po pokoju. Za drzwiami słychać było głosy. Wysoki i dźwięczny — aktorki, niski i zły — Zosi. Kłóciły się. Aktorka wymyślała Zosi, tamta jej odpowiadała. Falset pani Cukrowej. Wieczny kołowrót. Nieustające życie.

Nauczycielka usiadła przy biurku, przerzuciła zeszyt, który pozostał tu od zeszłego roku. „Wielka jest nasza kraina i wszędzie, gdziekolwiek zwrócisz kroki...” Spojrzała w okno. Żółty ceglany kwadrat, to jakby klasa. Ławki, w nich uczniowie — Ochrimenko, Zawadzka, Czernysz... I dalej inni. A za nimi ci, którzy już sami są ojcami. Pomyśleć tylko, Kola Bużko ma córkę, a Swięta Krzyżanowska — bliźniaki. Nauczycielka ścisnęła rękami głowę. Cieniutki puls na skroni bił pod dużym palcem. Tak bije serce. Tak pulsuje życie. Mary — to nie życie. Ale mary istnieją. Uczą nas, stoją za naszymi plecami. To one tworzą historię. Nauczycielka znów się położyła. Wtedy była głucha noc, czarna i niespokojna. Bały się zapalić światło. Babcia modliła się wznosząc w ciemnościach wychudłe ręce. Powykręcane palce wy-

ciągały się ku wysokościom, czepiały się ich, błagały. Hanna skuliła się cichutko na starym łóżku, słuchając wypowiedzianych szeptem słów, które zawisały w powietrzu niby bańki mydlane: „Tyś wielki, tyś miłosierny, tyś łaskawy, Boże!” Nie nauczyła babci ateizmu. Staruszka wierzyła i wyciągała ręce w ciemność. A za oknem zawodził wiatr. Porywisty, suchy, cichł na mgnienie i znów zawodził bezzębnymi ustami, rzucał wołanie w czarne nieznane. „Tyś wielki, tyś wszechmocny, tyś najłaskawszy, Boże! — padały w ciemność słowa. — Ty wszystko widzisz, ty wszystko możesz, ty wszystko wiesz!” A wiatr jęczał, bił w szyby. „Tyś wielki, tyś łaskawy!” A ona wciąż głębiej i głębiej wciskała się w pościel, wreszcie nie wytrzymała, zaczęła krzyczeć: „Przestań, babciu, na miłość boską, przestań!” „Milcz — groźnie powiedziała stara. — Leż i milcz.” Płakała, zraszając poduszkę łzami. Już nic nie mówiła, chociaż modlitwa wydawała się jej tak bezsensowna. A gdy drzwi gwałtownie się otworzyły i wiatr wdarł się do pokoju, zerwała się z łóżka i skoczyła ku drzwiom, w których majaczyła wysoka postać Iwana. Rzuciła mu się na szyję, objęła, nie mogła się oderwać... „Być porządnym człowiekiem — oto cała filozofia... Jeśli urodzi się córka, nazwiesz ją Zoją, jeśli chłopiec, nazwij, jak sama chcesz.” Gdyby urodził się chłopiec, nazywałby się Iwan. Ale urodziła się Zoja, malutka, słabiutka Zoja, która lubiła konfitury i cukierki...

S z e w c

Szewc stał przy oknie, wsparłszy na parapecie wielkie ręce z łuszczącymi się paznokciami. Wieczór podchodził pod okna, okrywał sinym zmierzchem krajobraz: pagórki i rzekę, i most na rzece. Most wyglądał stąd jak

chłodne, czarne ciało, gładziutkie i żywe; toczyły się po nim automobile, rzucające przed siebie snopy jaskrawego światła. Ginęły we mgle, a kiedy zawracały na zakręcie, oślepiały krótkimi błyskami wielkich, żółtych oczu.

— Znowu się dokądś wybierasz? — odezwała się Maria.

— Nigdzie się nie wybieram.

— Trudny z ciebie człowiek, Pawle. Lusi coś długo nie ma. Mógłbyś jej powiedzieć, że za wcześniej dla niej na takie późne spacerary.

— Ty jej powiedz — rzekł nie odrywając się od okna. Gryzł go niepokój, który rodził się gdzieś w środku, podchodził coraz wyżej, rozszerzał się i niby kleszczami ścisnął serce.

— Albo to coś pomoże — Maria pośliniła palec i dotknęła nim szybko elektrycznego żelazka. — Ty jesteś ojcem. Twoje słowo prędzej poskutkuje.

— Poskutkuje, poskutkuje — rozgniewał się. — Trzeba wziąć pasa, wtedy poskutkuje.

Patrzył w okno, zmrok gęstniał coraz bardziej, auta błyskając oślepiającym światłem pędziły przez most. Latarnia za oknem rozbłysła nagle i zalała ulicę mętnym światłem.

— Idę się przejść — powiedział biorąc marynarkę.

— Znowu spacerki — Maria uniosła głowę. W jej zmęczonych oczach był wyrzut i Paweł odwrócił wzrok.

— Cały dzień siedzę w tym piekle. Smród, aceton, potrzebuję trochę świeżego powietrza.

— Tylko nie pij! Już pijesz mniej, wiem, ale nie trzeba w ogóle pić.

— W niedzielę pójdziemy na zakupy — wciągał marynarkę, wsunawszy w rękawy od razu obie ręce. — A ja wcale nie mam zamiaru pić. Powiedziałem —

szlus! Co innego wypić trochę piwa — to nie wódka! Myślisz, że ja nic nie rozumiem?

Przystanął w progu. Maria stała z opuszczonymi rękami, w jej twarzy było napięcie, na ustach — grymas goryczy. Ale nic nie powiedziała, odwróciła się tylko do stołu i wygładziła na kocu wypraną koszulę.

— Wezmę urlop — powiedział — i jak chcesz, pojedziemy gdziekolwiek. Ty przecież nigdy nie wyjeżdżałaś z miasta. Ja też nie wyjeżdżałem, tyle tylko co w wojnę...

— Gdzie tam będziemy jeździć!

Maria przeciągnęła żelazkiem po koszuli, Paweł westchnął, postął jeszcze chwilę i wyszedł na korytarz. Dziś nie pachniało tu kawą, tylko w kuchni głośno bulgotała gotowana strawa. Na krześle, tyłem do niego, siedziała młodsza córka pani Cukrowej, jej okrągły zad przelewał się przez siedzenie. Zosia sterczała przy płycie, szeroko rozstawiwszy żylaste nogi, mocno obciążnięte grubymi pończochami. Szewc ostrożnie przeszedł przez korytarz.

Myślał o zebraniu baptystów, na jakie zaciągnął go kiedyś Barwiński, o grubej baptystce z tłustymi kolanami pod czarną taftową suknią. Szelest tej sukni przypominał bzykanie muchy na szybie i to napawało go wstrętem. Barwiński przychodził do niego jeszcze raz, a potem jeszcze, długo świecił łysiną, ale szewc więcej tam nie poszedł. „U was cuchnie pluskwami” — rzucił w twarz Barwińskiemu. Czerwone oblicze agitatora zachowało wyraz potulnej łagodności, ale w oczach jego pochwycił Paweł zimne błyski, więc podniósł się, dając tym do zrozumienia, że nie ma więcej o czym mówić. Barwiński wyszedł, a on miał wielką ochotę podskoczyć i krzyczeć za nim, krzyczeć z szaleńczą radością: „Wy tępcie pluskwy. Wasze hasła cuchną pluskwami! A ta

czarna wiedźma w taftowej sukni też cuchnie pluskwami!...”

Zobaczył Lusię. Jego córka stała w kącie podwórza z jakimś młodziutkim chłopcem i Paweł naraz poczuł się dość głupio. Wydało mu się, że ta dorosła już dziewczyna wcale nie jest ową smarkatą Luśką, co to wiecznie plątała mu się pod nogami... Należałoby podejść i skrzyczeć ją, czy choćby cokolwiek powiedzieć, ale on chyłkiem przeszedł pod ścianą i wpadł do bramy.

Przed dawnym sklepikiem żydowskim siedział siwy starzec. Broda opadała mu na pierś, nad garbatym nosem wznosiło się wysokie czoło, głowę okrywała lśniąca, czarna jarmułka. Obok siedzieli poważni mężczyźni, o coś się sprzeczali i stary raz po raz wtrącał swoje słowo.

— Czy to jest rabin? — spytał szewc jednego z mężczyzn.

— A ty czego chciałeś?

Starzec odwrócił się do niego i o coś zapytał.

— Chciałbym z nim pomówić — rzekł szewc.

Mężczyzna zaczął coś szybko mówić. Rabin skinął głową i wstał.

— Idź za nim — rzekł mężczyzna.

Weszli do sieni, gdzie czuć było myszami, i poszli na górę po brudnych, zagraconych schodach. Wilgotny sufit zdawał się przytłaczać, powietrze przesycone było wonią zatęchłej odzieży i przestałego jedzenia. Szewc z ciekawością rozglądał się wkoło, stary żwawo wchodził po stopniach, za nim wyłupiastooki, ukradkiem popatrując na szewca. Na podeście było tak samo ciemno i czuć było pleśnią. Skrzypnęły drzwi — szewc zobaczył czysty pokój, urządzone starymi, jeszcze pańskimi meblami. Rabin wskazał mu krzesło. Tu też uderzał ostry zapach starego domostwa.

— Rabin nie mówi po waszemu — zaczął grzecznie

wyłupiastooki — ale chętnie z tobą porozmawia. Ja będę tłumaczyć.

— Czy to jest wasz duchowy przewodnik?

— Tak, to nasz duchowy przewodnik — odparł mężczyzna.

Rabin usiadł w głębokim fotelu i zwrócił swą dużą, białą twarz ku szewcowi. Powiedział głuchym, ale przyjemnym głosem:

— Proszę, słucham.

— Powiedz mu — rzekł szewc, wciąż jeszcze rozglądając się po pokoju — że chciałbym z nim pomówić o wierze.

— Rabin cię słucha — skinął głową wyłupiastooki.

— Widziałem wielu ludzi — zaczął rabin, pochylony ku przodowi. — Jedni przychodzili, żeby potem zrobić coś złego, inni, żeby się naigrawać. Do mnie nie przychodzą ot tak sobie ludzie innej wiary...

— Spytaj go, czy przyjąłby mnie do waszej wiary.

Rabin długo przyglądał się szewcowi, w jego zmrużonych oczach zapalały się krótkie błyski. Nachylił się jeszcze niżej i zaczął mówić, akcentując słowa:

— Widziałem wielu ludzi — powtórzył. — Wielu ludzi naszej wiary przechodziło na waszą. Ale nie było takiego — rabin podniósł głos i z bliska spojrzał w oczy szewca — kto by się wpraszał do nas. Świat bardzo się zmienił. Dla wielu ludzi nie ma teraz Boga...

Szewc postukał palcem po kolanie.

— Dobrze — powiedział. — Ale mimo to bardzo mnie ciekawi, jaka to jest ta wasza wiara. Spytaj go, dlaczego na świecie jest dziesięciu różnych bogów? Dlaczego nie są do siebie podobni?

Rabin długo milczał, siedząc z opuszczoną na pierś głową.

— Nasza wiara jest dla nas — powiedział wreszcie. — A twoją wiarą musi być twoja!

Szewc wyszedł na korytarz, gdzie jeszcze bardziej cuchnęło zatęchłą odzieżą, sufit spadał niemal na głowę, chropawe ściany, pomalowane na zielono, błyszczwały od wilgoci. Postawił nogę na stopniu i ten zachybotał się pod nim. Słyszał było, jak posypał się piasek. Wyszedł na ulicę, z rozkoszą wciągając w płuca wieczorne powietrze. Myślał o swojej pracowni, gdzie czuć było acetonowym klejem i potem. Nad warsztatami wisiały wielkie lampy i tak się nagrzewały, że — zdawało się — zaraz zacznie kapać roztopione szkło; żarzyły się spirale w elektrycznych kuchenkach, mózg też się żarzył, podkoszulka lepiła się do ciała, palce pokrywały się suchą skorupą. W takich chwilach budził się w nim niepokój. Aby się od niego uwolnić, rozpiął pas, zrzucił koszulę — pot spływał po ciele gorącymi strużkami, twarz nabrzmiewała, a niepokój nie opuszczał go. Wracił do domu, lecz niepokój męczył go jeszcze bardziej, więc znowu wychodził z domu...

Wiatr owionął mu twarz i szewc naraz uświadomił sobie, że stoi przed piwiarnią.

— O, przyszedł heretyk! — wykrzyknął wesoło Holobucki. Otarł chustką łysinę i mrugnął porozumiewawczo.

— Siadaj, Pawle — odezwał się pijaniuteńki Stach Bondar. — Napijemy się? Ja stawiam!

Zina ukazała swoją okrągłą twarz.

— Co ci podać? Piwa? Jest z lodu...

— Ja ci dam się włóczyć! — gniewnie krzyczała Maria, niezręcznie usiłując pochwycić ręce córki. Luscia broniła się, ale nie powiedziała ani słowa. Zagryzła wargi i wyrывała się z rąk matki. Wreszcie wyrwała się, uskokczyła w kąt i stamtąd błysnęła oczyma.

— Ach ty, wilcze nasienie. Ja ci dam się włóczyć do

pólnocy. Szesnaście lat! Chcesz mnie na tamten świat wyprowadzić? Już mi i tak niedużo zostało...

Po jej twarzy toczyły się łzy, zesłabła nagle, opuściwszy bezsilnie ręce.

— Niech Bor'ka wyjdzie — zażądała Lusia.

Borys wzruszył ramionami i ostentacyjnie odwrócił się do niej tyłem.

— Wyjdź natychmiast — powtórzyła Lusia obciągając sukienkę.

— Wyjdź, synku — przeczuwając coś złego powiedziała matka.

Chłopiec umyślnie zwlekał z wyjściem, a ona czuła, jak w jej piersi szarpie się serce, jak kręci się jej w głowie. Wreszcie Borys z całej siły strzelił drzwiami.

— Mogłabyś nie zapominać — powiedziała Lusia — że mam już nie szesnaście, ale siedemnaście lat.

Matka spojrzała na nią ze zdumieniem.

— No wiesz!

Lusia wciągnęła głęboko powietrze i jednym tchem wypaliła:

— Mamo, wyszłam za mąż. I jutro przenoszę się do niego.

Zaskoczona matka mrugała powiekami, to, co usłyszała, nie mogło jakoś dojść do jej świadomości.

— Powtórz, coś powiedziała!

— Tak, mamo. I nie powinnaś się gniewać. Będziemy ci pomagać.

Maria chwyciła się za serce i wolno osunęła się na taboret.

— No — szepnęła zbielełymi ustami — toś mnie uradowała.

— Nie mogę tu dłużej żyć — wybuchnęła Lusia, zachłystując się łkaniem. — Czyż u nas jest tak, jak być powinno? Ojciec ciebie nie szanuje, zapomniałaś, jak się

z tobą kłócił? Zapomniałaś? A ja nie chcę tego widzieć ani słyszeć!

— Nie waż się tak mówić o ojcu!

— Ty się z nim cackasz. Och, on taki dziwny. A on przepija ostatnie kopiejki, ma nas wszystkich w nosie...

— Skąd ci to przyszło do głowy...? — matka była zupełnie ogłuszona.

— Myślisz, że jestem dzieckiem i nic nie widzę? Ja wszystko widzę.

Twarz Marii wydłużyła się.

— Jeśli nie przestaniesz, wyrzucę cię za drzwi.

— Mamusiu — łkała Lusia na piersiach matki. — Chcę, żeby ci się lepiej żyło. My oboje z Tolą będziemy ci pomagać. Będiesz do nas przychodzić. Moja złota, kochana...

Maria krótkim ruchem odepchnęła córkę.

— Po prostu go nie znasz. Mieliśmy właśnie w niedzielę pójść kupić tobie sukienkę. I spodnie dla Borysa. Nie chcę, żebyś źle myślała o ojcu.

— Ty go jeszcze dotąd kochasz. Kochasz go więcej niż nas. I my to czujemy — chłodno powiedziała Lusia. — Powiedz, czy chociaż raz poszedł z tobą do kina?

Maria wyprostowała się.

— Zabraniam ci tak mówić... Jesteś już mężatką — kolnęła córkę. — Idź sobie...

Lusia niepewnie przestąpiła z nogi na nogę.

— Nie chcę, żebyś się gniewała, mamó...

Maria zasłoniła twarz rękami i wybuchnęła płaczem. Jej ciałem wstrząsały łkania, palce jej drżały, serce waliło jak szalone. Lusia gładziła ją po głowie, usiłując zajrzeć w twarz.

— No, uspokój się, uspokój...

— Idź sobie — ze znużeniem powiedziała Maria. — Nie chcę cię widzieć.

Lusia cofnęła się w głąb pokoju i patrzyła na matkę pełnymi łez oczami.

— Jakaś ty niedobra, mamó. A ja będę mieć dziecko... — odwróciła się i wolno ruszyła ku drzwiom.

— Zaczekaj — powstrzymała ją matka.

Lusia przystanęła, z opuszczoną głową. Stały tak naprzeciwko siebie — szczupłutka dziewczyna w perkalowej niemodnej sukience i postarzała kobieta o płaskiej piersi i wielkich, pełnych trwogi oczach. Dzieliła je przestrzeń zapełniona rzeczami: kredens, łóżko, jeszcze jedno łóżko, krzesła, szafa i znowu łóżko — same łóżka. A nad tym wszystkim haftowane serweteczki, story, firanki — wszystko zrobione rękami tych kobiet, które teraz wpatrywały się w siebie jak obce. Dwa ciała, które niegdyś stanowiły jedno, jeszcze odczuwały swoją niepodzielność.

— Jesteś tego pewna?

Lusia skinęła głową.

— Skąd wiesz?

— Wiem — znów opuściła głowę córka. — Nie jestem dzieckiem.

— Potem będziesz żałować — zmęczonym głosem powiedziała matka. — Trzeba korzystać z młodości. A dzieci... jeszcze się przekonasz, co to znaczy dzieci.

— Ja lubię dzieci — rzekła Lusia.

Maria opuściła oczy, w których była tkliwość i ból.

— Sama jesteś jeszcze dzieckiem, Lusi! I trzeba było nieszczęścia...

Lusia nie odpowiedziała. Napięcie z wolna mijało i dziewczyna głośno westchnęła.

— Ja nie żałuję, mamó — odezwała się wreszcie. — Jakoś wcale nie wydaje mi się to straszne.

— Wszyscy młodzi są głupi.

— Nie przejmuj się tym, mamó — Lusia podeszła do niej blisko. — Wszystko będzie dobrze.

— Nie miał kto cię bić — powiedziała Maria. — Po-
tem byś dziękowała...

Nie patrzyła na córkę, jej duże oczy błdziły po po-
koju i nie znajdowały niczego, o co mogłyby zaczepić.
Już nie była tak pewna swojej racji, przeniknięta nie-
rozumiałym smutkiem, który paraliżował jej zdolność
oburzania się i działania. Nogi jakby przyrosły do po-
dłogi, którą niezliczoną ilość razy szorowała. Znała każ-
dą szparkę, każde zadrapanie, to jej ręce wszędzie tu
porządkowały. Lusia dużo jej pomagała, ale nie była
tak **zżyta** z tym domem jak ona. Była tylko motylkiem,
ładnym, wesołym motylkiem, który dotąd fruwał po
mieszkanui, dopóki nie zaświeciło słońce. Uwiedziony
jego promieniami motylek odleciał, chociaż i jemu
ciężko było opuszczać ten stary, przesiąknięty znajomy-
mi zapachami dom. Ulica Nabrzeżna numer dwana-
ście. Blaszący numer szerniał. Jasza Kerbud już kilka
razy obiecywał, że go zmieni, błyskając przy tym złotym
zębem i wymachując rękami. Przecież nie był tu
obcy, jego czterdziestoletnia narzeczona Kat'ka patrzyła
na niego zakochanym wzrokiem. Maria nie chciała, że-
by jej córkę spotkał taki los. Miłość u ludzi starszych
wygląda śmiesznie, chociaż i w tym można się dopa-
trzyć wielu momentów wzruszających.

— Będziemy się szykować do wesela — powiedziała.

— Mamo, moja złota! — przypadła do niej Lusia.

— I nigdy tego nie żałuj, córeczko.

Maria podniosła się i machinalnie, jak we śnie, po-
częła porządkować w pokoju.

Siedział przy stoliku z niebieskim plastikowym bla-
tem, przed nim stały nie uprzątnięte brudne naczynia.
Zastygły tłuszcz oblepiał widelce, wypełniając prze-
strzeń między zębami matową błonką. Zimne kawałki

mięsa, nie dojedzone brązowe ziemniaki, szkielety ryb, nie dopite piwo w brudnych kuflach. Gęstniała cisza, dawno wyszli już goście, tylko Zina robiła jeszcze porządki w kuchni. Piętrzyły się tam stosy brudnych talerzy; Zina z hałasem opuszczała je do ocynkowanej miednicy z gorącą mydlaną wodą, jej ręce tylko migają, szybko zmywając śliskość i brud. Wziął swój kufel i pociągnął łyk piwa, ale wydało mu się niesmaczne. Na talerzyku leżały czerstwe żółte pierożki i też przypominały zastygły tłuszcz. Jeszcze raz siorbnął piwa, zapalił papierosa i wypuścił kłęb dymu. Bufetowa wyjrzała z drzwi, ale nic nie powiedziała. Jej spoconą twarz wykrzywił grymas zmęczenia. Szewc zaciągnął się dymem. Ludzie mijali piwiarnię, było już za późno, by wchodzić do środka. Tym, którzy mimo wszystko tu zmierzali, mówił krótko: „Zamknięte”. Zina, wdzięczna za tę przysługę, skinęła mu głową i nadal krzątała się w kuchni. Słyszeć było, jak z chlupotem talerze pogrążają się w wodzie, jak głucho stukają jeden o drugi. Szewc przecedził przez zęby jeszcze trochę piwa — było kwaśne, ale on nie czuł smaku. Kupki brudnych talerzy wciąż jeszcze zalegały stoliki, z jednego talerza spływał sos i kapał na ceratę, na której już była duża tłusta plama. Paweł palił papierosa, krzywił się i mrużył jedno oko od dymu. Wokoło gęstniał mrok. Przez okno spadał podmuch wiatru, chłodził skronie. Pachniało zielskiem, szewc z wolna rozróżniał zapachy: piołun, bylica, lebioda, psianka. Siedziałby tak tu i siedział, patrzył w okno i wspominał. W głębi ciemności żyło miasto. Od czasu do czasu dochodził trzask elektrycznych wyładowań pod tramwajowymi pałakami. Położył ręce na stoliku i odchylił się na oparcie. Wokół latarni krążyły ćmy, duże i ciężkie. Tłukły się o żarówkę, lecąc ku światłu, i spadały na ziemię, gdzie czatował na nie duży rudy kot. Pożerał je spokojnie i z lubością.

Szeweć wypuścił kłęb dymu.

— No dobrze, Zino — podniósł się. — Dziękuję ci.

— Na zdrowie — pochyłona nad talerzami Zina rozprostowała na moment plecy.

Szeweć powstał jeszcze chwilę, nim zszedł na chodnik. Nogi miał jak z ołowiu, czuł ciężar zmęczenia, jaki nawalił mu na plecy ten cały dzień. Noc nie pyta, kim jesteś, zagarnia wszystko, co żyje. Noc czyni wszystkie twarze jednakowymi. Wiedzie w swoje ostępy, gdzie człowiekowi nie zawsze jest wesoło... Szeweć ściągnął z ramion marynarkę i zarzucił na rękę. Owionęło go wilgotne tchnienie wieczoru, ogrodów, rzeki. Wciąż jeszcze wpatrywał się w ciemność, jednostajną, choć poznaczoną tu i ówdzie gwiazdami elektrycznych latarni. Wreszcie stąpnął na chodnik i wyprostował się...

N a u c z y c i e l k a

Nauczycielka lubiła patrzeć na reklamę, co ostrym blaskiem zapalała się za oknem, oświetlając ciemne kontury dachu krytego blachą, z niewyraźnymi zarysami kominów, ażurową linię metalowej balustradki wzdłuż krawędzi i gzymsy dochodzące do zardzewiałych rynien. Dalej już nic nie było widać, ale i tego wystarczało, zwłaszcza niebieskiego światła, które pojawiało się w nagłym rozbłysku, zmuszając do odwracania na chwilę oczu. Ale oczy szybko oswajały się ze światłem i nauczycielka patrzyła, jak pulsując nerwowo płyną szklanymi rurkami niebieskie strumyczki, jak wypełniają pierwszą literę i płyną dalej po wygięciach liter. SKŁADAJCIE PIENIĄDZE W KASIE OSZCZĘDNOŚCI. Potem reklama gasła i wszystko pochłaniała czarna pustka, która przeciągała się aż nazbyt długo; po pewnym czasie znów wybuchalo światło i na-

uczycielka znowu odwracała wzrok. To mogło trwać bez końca, jak długo starczało sił na tę niemą rozmowę ze światłem i jak długo pozostawała we władaniu wspomnień czy po prostu myśli. Reklamę nieraz zmieniano, przedtem było tu: KUPUJCIE LODY — SMACZNE, POŻYWNE... Zawsze patrzyła na nią, kiedy było jej nie do zniesienia ciężko na duszy.

Zmordowana wracała do domu pomiędzy dwoma szeregi zrujnowanych przez wojnę domów. Jej postać zdawała się być ciemnym wahadłem pośród szarożółtych zwałów potłuczonej cegły. A wokół była pustka i bezludzie, zamieszkałe przez niewidzialne, widmowe istoty; jakby coś żywego oplątywało jej nogi, krępowało ręce, ścisnęło szyję i pierś, gdy przechodziła wzdłuż opuszczonych ruin. Podobnie nierealne było jej życie, praca, nauka i tylko ciepło ciała malutkiej Zoi, która czekała zamknięta w mieszkaniu, przywracało ją do rzeczywistości. Gdzieś tam, na początku zrujnowanej ulicy, pozostała jej miłość, jej młodość, która tak nagle została przerwana. A gdy stawiała na progu swojego domu, patrzyła na starą reklamę lodów jak na najmilszą przyjaciółkę. I znajdowała w tym pocieszenie, albowiem słowo „lody” kojarzyło się z najprzyjemniejszymi wspomnieniami dzieciństwa. Wchodziła po schodach na górę, wyjmowała klucze z torebki, a w korytarzu już tupotały malutkie nóżki, potykając się i ślizgając po nierównej podłodze. Chwytała na ręce drobniutkie ciało o mizernej buzi, która uśmiechała się do niej. Wszystko wtedy się uśmiechało: i rzeczy, i przesycony wonią nafty korytarz, i niezbyt czyste ściany kuchni. Malutkie rączki otaczały jej szyję niby jedwabne pajęczynki, ledwo można było wyczuć odrobinę ciepła w tych pajęczynkach. Potem córeczka ciągnęła za torbę, razem szły do zimnego, prawie pustego pokoju, siadały na obdartej kanapce, i wtedy ona wykladała na koc wszystko, co

otrzymała na kartki. Płakać jej się chciało patrząc, jak dziecko niezręcznie unosi rączki z przezroczystymi piąstkami i zaczyna tańczyć, przytupując nóżkami i wolniutko obracając się w kółko. Mała miała przy tym minę niezwykle poważną, prawie uroczystą. Niezgrabnie zataczała koła po pokoju, wyrzucała w górę małe dłonie, jedną ręką przytrzymywała rąbek sukienki, uśmiechała się króciutkim błysnięciem drobnych ząbków i znów obracała się wolno w kółko, przytupując buciczkami, podnosząc i opuszczając blade pajączynki rąk, rozkładając je, to znów przykładając do głowy, unosząc brzeg sukienki, to znów nieruchomiejąc w śmiesznych pas. Nauczycielka siedziała z kamienną twarzą, opuściwszy ręce na kolana, ale i ona zaczynała się uśmiechać i tak samo niezgrabnie unosząc rękę nad głowę, wraz z córką przechodziła w powolnym tańcu kilka metrów ich niedużego pokoju...

Zmieniały się reklamy, bo zmieniało się życie, miasto, domy, rzeczy i sami ludzie. Wróciła wtedy ze szkoły, odłożyła teczkę z uczniowskimi zeszytami. Szary, wilgotny dzień mgliście sączył się przez okno. W całym ciele czuła zmęczenie, jak zawsze po lekcjach, bolały ją ręce i nogi, głowę miała jakby napchaną mokrą watą, bo dziś wypadło jeszcze siedzieć trzy godziny na radzie pedagogicznej. Kilkanaście osób zasiadło wzdłuż długiego, zielonego stołu, a każda z nich wyrażała swój sąd zgodnie z wolą arbitra, który siedział pośrodku pykając dymem z papierosa. Tu krzyżowały się sympatie i antypatie, ale nad wszystkim panowała wola jednego człowieka, o twarzy spokojnej i sytej, kiwającej się z boku na bok. Ona siedziała przy końcu stołu między najmłodszymi, którym wypadło tylko podnosić rękę i przytakiwać. Schematy mają swój sens, wtedy tak ładnie wszystko układa się w zwojach mózgowych, tyle tylko że to jest nużące. Niebieskawy dym z dyrektorskiego

papierosa zatykał nos, drapał w gardle, wywołując kaszel. Wszystko było słuszne i z góry nakreślone, tak słuszne, że stopniowo sens kilkugodzinnego posiedzenia stawał się iluzoryczny jak dym z papierosa. Potem trzeba było wracać do pustego pokoju, który był teraz dla niej obcy. Zamieszkały w nim cienie, cienie przeszłości, które nie dawały jej spokoju i przejmowały lekkiem. Od nich, jak od wspomnień, trudno się uwolnić, znacznie trudniej niż stłumić nastrój.

Na dachu czteropiętrowego domu ukazali się robotnicy i nauczycielka nagle przestraszyła się. Podeszła do okna, przywarła palcami do parapetu: robotnicy czołgali się po dachu, ostrożnie zbliżając się do krawędzi, i wreszcie znieruchomieli wzdłuż reklamy, każdy przy innej literze. Chudy człowiek w granatowym kombinezonie schylił się, wsunął głowę w literę „K”, stojącą na samym początku reklamy, drugi w „U”, trzeci — w „P”, obejmując rękami neonowe rurki, po czym pierwszy robotnik wyjął z gniazdka „K” i uniósłszy je nad głowę, poszedł balansując na krawędzi dachu. Drugi wyjął „U” i poszedł za pierwszym... Nauczycielka stała i patrzyła, jak litery, jedna po drugiej, znikają w oknie strychu. To był ostatni obieg reklamy, litera za literą płynęły na balansujących nogach wzdłuż krawędzi dachu, załamywały się na rogu i znikwały w oknie. Nauczycielka po raz ostatni czytała: KUPUJCIE LODY — SMACZNE, POŻYWNE, wymawiając każdą literę, jaka przepływała przed jej oczami, dopóki ostatnie „E” nie znikło w oknie. Robotnicy przystanęli obok metalowej barierki, żeby wypalić papierosa.

W nocy obudziło nauczycielkę zimno. Cała była skostniała, mróz ściągnął skórę na skulonych plecach, trudno było się wyprostować. Wsunęła nogi w kapcie i poczęła się gimnastykować, wymachując rękami i robiąc przysiady, aż trzeszczało w stawach. Zimne powietrze

lizało ją wilgotnymi jęzorami, a ona płakała — lzy spływały po twarzy, staczając się na pierś. Potem rozpałała w piecu, klęcząc na wytartej koźlej skórce. Blask ognia wyrwał z ciemności kawałek ściany z obłazłym malowidłem i fotografią. Szeroka, łagodna twarz Iwana jakby ożyła w złudnych odbłaskach płomienia. Podeszła bliźniutko, ujęła ramkę i przywarła ustami do zimnego, migotliwego szkła. I wydało jej się, że nigdy Iwana nie było, nie było jej przeszłości, nie było w życiu nic prócz tego momentu — potrzaskiwania drzewa w piecu i żółtej smugi ciepła pośród obcych, zimnych ścian, gdzie wyrosło już niejedno pokolenie. Ludzie, którzy nigdy się nie znali i nie będą się znali, żyli tu, w tych zapachach, jakimi przesiąknięte były ściany, podłoga, ramy okienne, sufit... Nauczycielka odchyliła się od fotografii, przycisnęła do szkła złożone dłonie i wpatrywała się w kochaną twarz, łagodnie jaśniejącą w półmroku. „A jednak ty byłeś, Iwanie” — pomyślała nagle uspokojona i odeszła na środek pokoju, gdzie objęło ją idące od pieca przyjemne ciepło...

Teraz wszystko się zmieniło, w pokoju centralne ogrzewanie, ściany inaczej pomalowane, stare meble wyniesione, ich miejsce zajęły nowe. Nad domem płonie nowoczesna reklama — starą przesunięto na bok — i zachęca do składania pieniędzy w kasie oszczędności. Nauczycielka uśmiechnęła się i podeszła do biurka.

Zamknęła drzwi swojego pokoju i poszła korytarzem. Eleonora kiwnęła jej głową nie odrywając oczu od robotki, córka pani Cukrowej strzeliła drzwiami toalety, z pokoju szewca wyjrzała pomarszczona twarz jego żony... Nauczycielka zamknęła za sobą wejściowe drzwi. Na schodach czuć było myszami i kiszoną kapustą. Przeszła na ukos przez podwórze; w pracowni cukier-

niczej snuli się ludzie, wysoki mężczyzna za oknem jak automat miesił ciasto i nucił pod nosem. Mrugnął do nauczycielki, ale tego nie zauważyła — patrzyła w górę. Tam, w czworokątnej ramce jaśniało niebieskie niebo, leciutko zaciągnięte przejrzystą zasłoną rozsianych chmurek. Nauczycielka weszła do małej kawiarenki i wypila szklankę kawy z mlekiem. Potem przystanęła koło mostu i zapatrzyła się, jak mknie po nim nie kończący się strumień samochodów. Płynął niby woda i jak woda się rozplýwał. Odblaski słońca w szybach oślepiały, woń spalin zatykała oddech. Skrzypiał piasek pod kołami, maszyny brały zakręt, by rozpocząć długą, żmudną jazdę pod górę, most cierpliwie wytrzymywał ich ciężar, niby nogami zaparkłszy się w rzekę grubymi filarami, woda z chlupotem uderzała o beton. Na wzgórzach — przylepione do zboczy małe domki o otwartych na oścież okiennicach. Pachniało ogrodami, jabłkami, nagrzaną trawą i dymem. Skały odgradzały jedno obejście od drugiego, tworząc długie terasy. Przeszła kobieta z pełnymi wiadrami, woda przelewała się przez brzegi, pluskając głucho w białe, miękkie kurz. Pozostawały w tych miejscach plamy, dziwnie przypominające nietoperze.

Nauczycielka weszła na most i zapatrzyła się w dół. W wodzie roiło się od drobnych rybek, wolno kołysały się zielone warkocze wodorostów. Wydało się jej, jakby zobaczyła pośród nich czyjąś twarz. Żadnej twarzy oczywiście nie było, tylko małe żabiątko skoczyło w górę i plasnęło brzuszkiem o wodę; ono też było podobne do zielonego nietoperza. Nad głową latały jaskółki, rozcięte ogony migały w powietrzu niby ogony rybek. Nauczycielka opuściła głowę, przeszła przez most i poczęła wchodzić pod górę. Na zakręcie zatoczyła się; uchwyciła się ręką pnia młodego kasztana, rosnącego

przy ścieżce, strząsając pył, który osiadł na jej ubra-
niu.

Wreszcie wspięła się na samą górę. W dole wiła się rzeka. Po skałach łążyły dzieci, hałasowały, wymachiwały rękami. Mała dziewczynka, wyciągając w bok rączki, przechodziła po głazie na drugą stronę. Trzepotała się jak motylek, lekki i bezradny. Nauczycielka zacisnęła torebkę pod pachą i spłotła palce. Na skroni gwałtownie zapulsowała żyłka, przycisnęła ją paznokciem. W powietrzu płynął odurzający zapach piołunu. Spojrzała na swój cień i wolno poszła ścieżką, patrząc przed siebie suchymi oczami. Piekły powieki, w kącikach ust osiadł grymas, ale to nie był uśmiech. Wiatr gdzieś się podział, tylko słońce prażyło piołuny. Prażyło też głowę, ona cała jakby roztopiała się w powietrzu, napełniając je dzwonieniem utrzymującym się na jednej wysokiej nucie. Dopiero gdy weszła w cień drzew, uświadomiła sobie, że to świerszcze. Z zaciekłym fanatyzmem odprawiały swoje requiem. Uśmiechnęła się z wdzięcznością i weszła między groby. Tu nie było świerszczy. Nie było też skwaru, wilgotny chłód szedł od czarnego labradoru i porośniętych mchem i trawą jeszcze przedrewolucyjnych grobowców, których już nie miał kto doglądać. Nauczycielka wyjęła chustkę, dotknęła pięknych oczu, ale oczy były suche. Cicho szumiały sosny — wysokie, rude, kiwały się jak ludzie i leciuteńko skrzypiały. Barwinek opłatywał przejścia między grobami, czepiał się kamienia, piał się na nagrobki, dosięgał krzyży, okręcał się wokół nich i spadał w dół. A ona szła aleją i rozglądała się. Otaczająca ją zewsząd orgia zieleni, jej szalona bujność przypominała o odwiecznej prawdzie, że życie ani na chwilę nie ustaje...

Niemożliwością było zapomnieć tamtą noc. Klęczała przed najdroższym, ciepłym jeszcze ciałkiem, chudziutkie pajęczyny rączek bieleły się na jaskrawoczerwonej

kołdrze. Było cicho, ale ona czuła, że noc zamienia się w straszliwy chaos, pochłaniający cały świat, wszelką myśl i uczucie. Wszystko wokół przestało istnieć. Spadła ze ściany i rozbiła się fotografia Iwana. A za oknami była ciemność, elektryczne lampy sprawiały wrażenie wielkich, żółtych pylek. Potworny strach rozsadzał pierś, ale krzyczeć nie mogła — tu, przed nią, leżała blada, drobniutka buzia, tylko pod oczami czerniały ogromne sińce. Chaos narastał, paraliżował świadomość, walka z nim była ponad jej siły, a kilkanaście zegarów monotonnie i do taktu wystukiwało każdy wdech i wydech...

Nauczycielka spojrzała na niebo. Było czyste, wyblakłe już od upalnego lata i tylko pierzaste chmurki przywodziły na myśl miłe, bez troskie baletniczki, co w rozwianych, na wpół przejrzystych szatkach, nagie, aż święte, tańczyły najcudowniejszy w świecie taniec łąbędzy.

Eleonora

Eleonora włożyła staromodny kapelusik z czarnego aksamitu, przypudrowała duży, mięsisty nos i po pięciu minutach przyglądania się sobie w lustrze pozostała w pełni zadowolona. Przez ten czas Saszko zdążył bezkarne zajrzeć do wszystkich szuflad i pogrzechotać licznymi skarbami Eleonory: flaszeczkami, słoiczkami, guzikami, gwoździami, starymi kłódkami i kluczami, jakie nie pasowały do tych kłódek.

— W młodości byłam interesująca — rzekła Eleonora biorąc do ręki dużą torbę na zakupy. — Podczas wojny spaliły się wszystkie fotografie — westchnęła, aż stary koronkowy żabot poruszył się na obwisłym biuście.

Saszko spojrzał na półkę ze starymi, obszarpanymi

książkami, skrzywił usta i spod oka zerknął na staruszkę. Znów odwróciła się do lustra, dwa wyschnięte jeziora patrzyły na świat z mądrością mentora; usta, ściągnięte jak rąbek woreczka, zacisnęły się jeszcze bardziej, ale za chwilę sznurek się rozluźnił i z woreczka posypały się znajome tyrady:

— Ty jeszcze nic nie wiesz, nic jeszcze nie widziałeś. Ja w twoim wieku zaznałam już biedy. Co chcesz, moi rodzice byli dość majątnymi ludźmi. A mnie zostawili na pastwę losu.

Przeszli przez podwórze, Saszko uśmiechnął się do wysokiego mężczyzny, który miesił ciasto, tęsknie spojrział na czarne otwory piwnic, wsunął ręce do kieszeni i splunął na soczysty napis w bramie: „USTĘPU NIE MA”; ociekające farbą litery niby potworne pajaki rozpełzły się po ścianie, wżerając się mocno w szary tynk.

— Pokażę ci ten dom — mówiła Eleonora, dumnie unosząc głowę. — To był przepiękny dom, co tu gadać, jeden z najsolidniejszych na całej ulicy. Zabrano go nam podczas rewolucji, a nas wyrzucono do sutereny...

Saszko spojrział w ulicę. Jaskrawe, żółte słońce świeciło mu wprost w oczy, aż musiał je zmrużyć.

— Mama prędko umarła — rzuciła na niego okiem Eleonora. — Jakie tylko były kosztowności, wszystko się sprzedawało, żeby móc kupować kury na rosół. Co myślisz — kura kosztowała wtedy milion.

— Ile? — ze zdziwieniem uniósł głowę chłopiec.

— Tak, tak, milion. A pudełko zapalek sto tysięcy. A skąd nabrać tyle milionów? Miała matka złote kolczyki, z dukatowego złota. Dukatowe złoto najlepsze, ale w tych warunkach nie można było uzyskać za to więcej niż pięć kur. Zresztą i rosół nie pomógł. — Staruszka wzniosła w górę wyblakłe oczy, pociągnęła nosem i znów zesnurowała usta.

Saszko mrużąc oczy przyglądał się, jak po drugiej stronie ulicy duży, rudy pies zapędził na parkan kota, który nastroszył się i wygiął w pałak puszysty ogon.

— Pochowaliśmy matkę, a ojciec od tego czasu zaczął pić. Strasznie pił, kiedyś przeleżał pół dnia na śniegu — i odszedł w ciągu jednej nocy. A w naszym domu wprawdzie była jakaś organizacja, potem normalnie zamieszkali tam ludzie. Dom był pierwsza klasa — Eleonora rozejrzała się dokoła, a w jej oczach błysnęły łzy.

Saszko znowu popatrzył tam, gdzie jeszcze przed chwilą wojował pies z kotem. Teraz pies pędził co siłą ulicą, a przed nim jak puszysty kłębuszek toczył się przestraszony kot. Saszko uśmiechnął się, a Eleonora utkwiała gdzieś w przestrzeni nie widzący wzrok.

— Matka mówiła do mnie: „Biedna ty będziesz, Noro, nic ci nie zostawimy”. Ojciec — ten był bardziej praktyczny, zaczął bić świnię, przynosił od czasu do czasu mięso do domu. A kiedy było mięso, od razu weselej się żyło. Ale matka nie jadła wieprzowiny — nie mogła. Przywykła do delikatniejszego jedzenia. Lubiała kawę i umiała ją parzyć. Przygotować kawę ze śmietanką to nie taka prosta rzecz, jak ci się zdaje. I jak chcesz wiedzieć — trzeba mieć wyszukany smak, zwłaszcza gdy się do kawy podaje tort rumowy.

Eleonora już nie patrzyła na Saszkę, sznureczek zupełnie się rozluźnił, zmarszczki wokół ust znikły. Kolor jej oczu mienił się od fioletowego do niebieskiego, te oczy błyszczały, to znów przygasały, jaśniały zachwytem radości, to znowu zjawiał się w nich smutek i zmęczenie.

— Kiedy ojciec wracał do domu, matka patrzyła na niego z wyrzutem, bo jemu wcale nie żal było utraczonego domu, nie było mu żal złota, za które trzeba było kupować kury. W małej izdebce, gdzie była kuchnia, ostrzył swoje rzeźnicze noże. O, nauczył się tego rze-

miosła, bo zabić świnie to wcale nie tak łatwo, trzeba od razu trafić w serce. Wystarczy troszkę zboczyć — mięso podpłynie krwią i z czego wtedy pokryjesz stratę, kiedy kura kosztuje milion! Ale to nie uratowało naszej matki. Ja sama robiłam wszystko w domu, bo mama już nie mogła...

Łzy spływały po twarzy Eleonory, usta znowu były jak sznureczek, na koniuszku nosa zawisła mętna kapka. Eleonora wyjęła chusteczkę, przyłożyła kilka razy do oczu i wytarła nos.

Dzień wypełniał się gęstym ciepłem, jakie bywa tylko w sierpniu. Saszko przystanął, przyłożył rękę do czoła i spojrzał w górę. Słońce oblewało go rozedrganym, gorącym blaskiem, przenikało w głąb ciała, radość rozpie-rała pierś chłopca.

— Chodźmy — powiedziała staruszka. Była już opanowana, schowała chusteczkę i znów miała władcze spojrzenie.

— Widzisz tę ulicę — nachyliła się ku niemu i wskazała przed siebie chudym, długim palcem. Saszko spojrzał w tym kierunku i zobaczył zwyczajną zieloną miejską ulicę, którą leniwie toczył się samochód. Kiwnął głową.

— Chodźmy! — Eleonora zniżyła głos do drżącego szeptu. — To tam!

Stali przed dużym, dwupiętrowym budynkiem, uważnie przyglądając się oknom, gzymsom, balkonom, uskokom cokołu, długiemu pasowi cegły oddzielającemu piętra. Pośrodku była loggia, obrośnięta dzikim winem, w jej głębi ciemniały wielkie dębowe drzwi; ciemnoniebieski, przyjemny dla oka kolor ścian kontrastował z pyszną zielenią dwu ogromnych lip, które rosły na chodniku i na wpół przesłaniały dom i balkony. Ciemne wnętrze sieni, odrapanej samochodami, kryło tajemnicę zamkniętego podwórka. Po bokach było parę okien, kor-

ciło, żeby zajrzeć do środka, gdzie miały być wysokie, jasne pokoje, urządzone starymi meblami, z ogromnymi fikusami w drewnianych donicach, z grubymi dywanami na podłodze. Dom wabił, wspaniały i niedostępny, pełen zagadek i tajemnic, które ogromnie chciałoby się poznać i zrozumieć. Eleonora wydawała się całkiem malutka przy tym domu i rozłożystych lipach; wciągnęła głowę w ramiona i uśmiechała się niepewnie, oczy biegały jej nerwowo, a chude, żylaste nogi, w prostych, cerowanych pończochach, niespokojnie dreptały w miejscu. Ale jeszcze mocniej zesznurowała usta, cała była jak napięta struna. Saszko rozglądał się dokoła, to wszystko takie było dziwne i ciekawe. Z sieni wyszedł człowiek z kikutem zamiast nogi i przystanął nie opodal, żując papierosa. Ale chłopiec nie zwracał na niego uwagi, nie mógł oderwać oczu od loggii obrośniętej dziwkim winem.

— Patrz — poczęła szeptać Eleonora, trąciwszy Saszkę — mieszkaliśmy na drugim piętrze. Ten balkon to od bawialni. Zbierali się w niej goście, wychodzili na balkon — stamtąd jest przepiękny widok na panoramę miasta. A tam dalej — Eleonora zmrużyła oczy, w tej chwili całkiem fiołkowe — była biblioteka, widzisz to nieduże okno na prawo. Tych trochę książek, co są u mnie, to wszystko, co pozostało. Patrz, dalej była sypialnia rodziców. Łoże sprowadzono z Berlina. Żeby je tu przywieźć, trzeba było wykupić cały wagon. My, dzieci, zajmowałyśmy boczne pokoje, każde osobny. Tak...

Staruszka puściła jego ramię, jeszcze głębiej wciągnęła głowę w ramiona, nos jej jakby zwiądl. Jeszcze raz spojrzała na dom i ruszyła wzdłuż niego małymi starczymi kroczkami. Saszko z podziwem patrzył na nią.

— Czego tu szukacie? — spytał go człowiek z kikutem zamiast nogi i przesunął papierosa z jednego kąćka ust w drugi.

— Ten dom należał kiedyś do niej — z dumą powiedział Saszko.

Tamten popatrzył na niego, skrzywił wargi i wypuł niedopałek.

— Ten dom zbudowano po rewolucji — rzucił obojętnie i pokuśtykał do sieni, opierając się na kuli.

Przejechała ciężarówka, po samą górę załadowana jabłkami. Opony sunęły po asfalcie z szelestem — całkiem jakby ktoś darł jedwabną materię. Duże, czerwone z jednej strony jabłko spadło na ulicę i podskakując potoczyło się za ciężarówką.

Buchalter

Buchalter odłożył książkę i zdjął okulary. Jego wyblakłe małe oczki nieruchomo wpatrzyły się w ciemny otwór okna, na zasępionej nagle twarzy malowała się coraz głębsza zaduma.

— Mnie się wydaje, Jadziu, że on wszystko wie — cicho powiedział do żony.

— Kto wie? — żona podniosła na niego czujne oczy.

— Fedor. Kiedy przechodzę obok niego, tak na mnie patrzy, jakby mnie chciał zjeść — pomarszczona twarz buchaltera zrobiła się całkiem dziecinna i bezbronna.

— On nic nie wie — głośno powiedziała żona.

Spojrzał na nią wylęknięty.

— To nasze przekleństwo, Jadziu. Myślałem, że zapomnę. Ale on siedzi o tu — pokazał na pierś. — Gdybyż to on nie wiedział, ale on tak patrzy, jakby czytał w człowieku.

— Będziesz jadł kolację?

Buchalter wstał zza stołu. Jego domowe spodnie były wyświecone na siedzeniu.

— Dziś wracam do domu — ciągnął dalej — i akurat

spotkałem Kowalczukową. A potem nadszedł i on. Pozdrowiłem go, a ten nie odpowiedział, tylko tak spojrział...

— Nie bierz sobie tego tak do serca. — Żona nakrywała stół ceratą, rozkładała nakrycia. — Zameczasz się — spojrzała na niego ciepłym wzrokiem. — Ja nic nie mówię, masz prawo być zmęczony, swoje już odrobiłeś. Wróci Sławko z wojska, będzie lżej. Akurat dojdiesz do wieku emerytalnego, pójdziesz na rentę...

— Musimy się stąd wyprowadzić — szepnęła, patrząc na nią szeroko otwartymi oczami. — Bo kiedy przechodzę obok niego, zawsze mi się zdaje, że zamaluje mnie w gębę.

— Nie gadaj głupstw — żona przyniosła zupę i zaczęła nalewać na talerze. — Zrobiłam dziś pulpeciki. Mięso na targu podrożało... A przeprowadzać się nie ma sensu. Przeżyliśmy tu trzynaście lat. Chcesz, żebym zносиła wspólną kuchnię? Możesz zejść na dół i zobaczyć, jak one tam żyją. Artystka wszystkim oczy wydrapuje, a pani Cukrowa wcale nie z tych, co się poddają. W toalecie pięć żarówek — zrzędlawy głos płynął w powietrzu przesyconym apetycznym zapachem zupy.

Gdy dopijał herbatę, ogarnął go spokój i zadowolenie, jakie dają zacisze domowe i dobra kolacja. Z przyjemnością myślał o tym, że zaraz usiądzie przy piecu, chociaż jest lato, i będzie czytał pogodne opowiadania Neczuj-Lewyckiego. Przymknął okno, żeby go nie denrowowały hałasy z podwórza, usadowił się na niskim stołeczku i otworzył książkę. Czytał i dusza jego pogrążała się w spokoju.

— Dawno nie było listu od Sławka — powiedziała żona zbierając ze stołu.

— Przyjdzie — buchalter uniósł głowę znad książ-

ki. — Wiesz, jacy są młodzi, mają dużo własnych spraw.

— Wszystko jedno. Napisałbyś do niego.

— Potem napiszemy.

Powrócił do lektury, lecz myśli rozłaziły się we wszystkie strony. Starał się je zebrać, skierować w jedno koryto... Przed oczyma znowu miał twarz Fedora, wielką i dobroduszną. Kiedyś żyli w serdecznej przyjaźni, jeszcze jako dzieci hasali razem nad rzeką, łowili ryby, potem podrośli, razem popijali i zapraszali się nawzajem w gościnę.

W oknie migotała reklama. Buchalter zapatrzył się na nią. Litery biegły, jakby chciały same siebie wyprowadzić — były jak woda mieniąca się w słońcu. Buchalter mrużył sennie oczy, oparłszy się plecami o ścianę i ściskając kolana, na których leżała książka. Reklama pędziła przed jego oczami niby rączę konie zaprzężone do karety, bezgłośnie i wesoło toczącej się na złotych kołach.

— Ja też nie potrafiłbym się stąd wyprowadzić — powiedział do żony. — Trzeba byłoby sprzedać łódkę i wtedy już nie można by rankiem chodzić na ryby.

— Też wariactwo z tymi rybami! — mruknęła żona. — Lepiej idź już spać...

Przyszła noc, otulając ich letnim ciepłem. Leżeli w ciemności, twarzą do okien, po których przebiegały odblaski reklamy. Litery wyłaniały się z mroku, płonąc jasnym blaskiem, i znów tonęły w mroku. Jakby płynęły na falach nocy — rozbłyski były grzebieniami tych fal, ciemne pauzy — głębokimi przepaściami.

Brakowało powietrza, trudno było oddychać, ale gdy światło wyrывało się na powierzchnię — starzy rozmawiali. Suche cykanie zegara ściennego przypominało odgłos spadających kropel. Ściany kołysały się w półmroku, gdzieś wysoko w górze bieliła się, niby żagiel, płaszczyzna sufitu. Z dołu dobiegały przytłumione

dźwięki: jakiś głos kobiecy, stukot obcasików po asfalcie.

— Nie trzeba było wtedy tak się bać — powiedziała Jadwiga podkładając ręce pod głowę. — Kiedy przyszli Niemcy, wyciągnąłeś mnie na tułaczkę. O mało duszy nie zgubiliśmy na tych drogach i co — uciekliśmy? Musieliśmy wrócić.

— A co ja robiłem za Niemców? Przecież nic nie robiłem, tylko łowiłem ryby. Trzeba było coś jeść. Wtedy dobrze się łowiło i jakoś żyliśmy. Czyż ja mogłem pójść do wojska, skoro mnie nie brali?

— Gdzie tam — ty i wojsko! Z twoim sercem tylko wojować.

— Łowiłem ryby — powtórzył. — A potem musiałem pójść do pracy, inaczej spuchlibyśmy z głodu.

— Co ci strzeliło do głowy, żeby uciekać, jak wrócili nasi?

— Mówiło się, że wszyscy, którzy pracowali, będą aresztowani. Pamiętasz tego uciekiniera, który u nas nocował?

— Nie trzeba było uciekać. Za to, że łowiłeś ryby i pracowałeś w archiwum, nikt by cię nie aresztował.

— Albo to mało było takich...

— Gdybyż to można było wiedzieć! Mogłeś kopać ludziom ogrody, zamiast chodzić do tego przeklętego archiwum. Ryb wtedy było dosyć, nie umarlibyśmy...

Buchalter westchnął, poruszył się niespokojnie. Skrzypaneły zardzewiałe sprężyny i znów ogarnęła ich cisza, kołysząc na swych falach. Tylko wahadło zegara cykało, niby krople spadające na kamień. Jadwiga patrzyła w sufit, usiłując wypatrzyć linię gzymsu.

— To prawda, nie należało tak bać się wszystkiego — rzekł buchalter. — A ja bałem się własnego cienia. Nie wiem, co komu zrobiłem, nigdy nikt się mną nie interesował. A tu odnaleźli i mnie. Nie trzeba było uciekać...

— Mówiłam ci przecież... Ale i ja bałam się nie mniej od ciebie. Przed wojną krzywo patrzono na Polaków.

— Taka z ciebie Polka, jak ze mnie Turek. Kiedy wróciliśmy, mieszkanie zajął Hołobucki...

— Jak mnie pchnął, o mało głowy nie rozbiłam.

— Sławko nie będzie miał gdzie mieszkać. Przecież nie wprowadzi młodej żony tutaj.

— Hołobuckiego nie dręczą wyrzuty sumienia...

— Wtedy dostałem wezwanie. Nie wiem, jak tam doszedłem. Ale myślałem, że to już koniec ze mną. Gdybyś wiedziała, jak tam ze mną rozmawiali! Kto wie, może na to zasłużyłem? A przecież ja tylko łowiłem ryby i pracowałem w archiwum.

— Wzięli cię nie za to. Nie trzeba było uciekać.

Reklama biegła przed ich twarzami, rzucając na ściany niewyraźne odbicia, które migotały, łącząc się w jakieś kapryśne ornamenty, napływając i znikając.

Buchalter złożył ręce na piersi. Jego oczy połyskiwały, wokół zaciśniętych warg zebrały się zmarszczki. Jadwiga leżała obok, twarz z orlim nosem wyraźnie rysowała się na ścianie, w świetle lśniły mocne zęby.

— Teraz łatwo o tym mówić — powiedziała. — Kiedy człowieka coś bezpośrednio nie dotyczy, ojej-jej, jaki to jest mądry!

— Otóż to! — rozwarł wargi buchalter.

Bębnił palcami po piersi i to przypominało suchy stukot liczydeł. Pięć kulek naprzód, trzy wstecz, i dalej — z następnego szeregu. Wciągnął głęboko powietrze i powiedział cicho:

— Pamiętasz, jak długo wtedy nie wracałem. Pisałem zeznanie. Pisałem, tak jak było, a oni nie wierzyli. Trzeba zawsze trochę kłamać, żeby wyglądało na prawdę. Ale ja nie nauczyłem się tej mądrości.

— Staryś już, a jesteś jak dziecko. Wierzysz we wszystko, co ci się mówi.

— A dlaczego miałbym nie wierzyć? Powiedzieli mi, że muszę dowieść swej lojalności. Powiedzieli, że nie wątpię, ale ja muszę dowieść. I słuchać, co mówią sąsiedzi, ci, którzy byli pod Niemcami. Ale czy coś usłyszysz? Dowiedz się, co myśli Kowalczuk, kiedy ma drzwi obite wojłokiem. Pozwolisz, że zapalę, Jadziu?

— Jesteś chory na serce. Zresztą wyrzuciłam wszystkie papierosy... Nie powinienesz być wtedy na to się zgodzić.

— Wtedy powiedzieliby, że kryję wrogów. Robiono aluzje...

Buchalter oddychał ciężko, łapiąc ustami powietrze.

— Co ci jest? — pochyliła się nad nim i zajrzała mu w twarz. — Żle się czujesz?

— Nie, nie, wszystko w porządku. Tylko serce trochę za mocno bije. Jak się zdenerwuję, zaraz daje o sobie znać...

— Śpij — Jadwiga powiodła suchą, zmarszczoną ręką po jego włosach. Buchalter przymknął oczy.

— Chcę ci powiedzieć do końca. Dziś Fedor popatrzył na mnie, jakby chciał mi dać w twarz. On wie, Jadziu!

— Skąd może wiedzieć?

— Wzywali mnie wtedy co miesiąc, pamiętasz? A co ja mogłem im powiedzieć, kiedy nikt nic nie mówił... Oni myśleli, że ja ich kryję. A ja może nawet chciałem usłyszeć coś nie tego, byle ratować, o, tę swoją skórę! — uderzył ręką w pierś. — Po kilku miesiącach takiego chodzenia naprawdę już tego chciałem. Może by mi dali spokój. Wtedy właśnie, pamiętasz, skończyło się z rybami... nie chciały brać...

— Jeździłam wtedy na Zachód. Sławko był taki chudy. Ledwo już ciągnęliśmy...

— A co byłoby z wami, gdyby mnie zabrakło? Patrzyłem na Sławka i serce mi się krajało.

— A tego listu do niego nie napisałeś!

— Napiszę jutro... Chciałem spokojnie chodzić do pracy, spokojnie jeździć na ryby i spokojnie wracać do domu.

— Są tacy, których nie gryzie sumienie.

— Oni napomykali przy mnie o Fedorze. Za Niemców on pracował w drukarni. Pamiętasz, podczas wojny umarło mu dwoje dzieci.

— Nie było nawet za co pochować. Zawieźli na sianach wprost na cmentarz. Wtedy on całkiem rozum stracił.

— Zaprosiłem go do piwiarni. Co jak co, ale wypić zawsze lubił. Ja wtedy też piłem, mało się ze mną o to kłóciłaś? Ale były powody, żeby pić. Na sercu leżał, o, taki kamień — przyłożył pięść do piersi. — Ktoś z ich ludzi już tam siedział. Nie trzeba mi było wiele — spoić go i zapytać, jak się żyło za Niemców... Kto go ciągnął za język?

— On zawsze chlapał wpierw, nim się zastanowił. Może naprawdę wcale tak nie myślał...

— Porządnie się wtedy spił. Ledwo mógł utrzymać głowę. Ale mełł językiem. Już próbowałem nadepnąć mu na nogę. Nic nie pomogło, gadał dalej jak najęty. Powiedział, że wszędzie jest dobrze. To samo już wystarczyło, żeby nazajutrz znaleźć się tam... Pamiętasz, jak ja wtedy piłem?

Reklama nagle zgasła. Widocznie było już późno. Głucha ciemność zaległa pokój, odgradzając go od reszty świata. Zaskrzypiały głośno sprężyny, buchalter odwrócił się na wznak i patrzył przed siebie nie widzącym spojrzeniem. Broda mu się trzęsła. Jadwiga przytuliła się do niego, zajrzała w twarz, ale ciemność rozdzieliła ich. Wtedy delikatnie przesunęła dłońią po jego twarzy

i też odwróciła się na wznak. Leżeli nieruchomo, wsłuchani w ciszę, w której, niby krople wody spadające na kamień, cykało wahadło zegara.

Buchalter lubi dokładność. Ma srebrny, jeszcze przedwojenny zegarek ze srebrnym łańcuszkiem i kopertą zdobną w ornamenty. Wyjmuje go z kieszonki kamizelki, kładzie palec na przycisku, koperta odskakuje i zgrabne wskazówki pokazują mu godzinę. Jego dzień jest podzielony jak tarcza zegarka, a wskazówką w tym dniu jest on sam. Ta wskazówka obraca się już wiele lat zawsze w tym samym kierunku. Zawsze o jednej i tej samej godzinie wstawał, ubierał się, mył, czyścił zęby, jadł śniadanie, obiad, kolację. Jego żona przestrzegała tegoż samego porządku: gotowała śniadania, obiady i kolacje na czas i dbała o ich jakość, posługując się przepisami z grubej polskiej książki z wytartymi literami, którą miała po matce. W mieszkaniu buchaltera wszystko lśni, wymyte i wyczyszczone, wieczorami on czyta Gogola i Neczuj-Łewyckiego, żona robi na drutach skarpetki lub rękawice. Kilka razy w tygodniu buchalter bierze wędki, które stoją w przedpokoju, porządnie schowane w brezentowym pokrowcu, i idzie nad rzekę. Przy moście kołysze się uwiązana na łańcuchu niewielka łódka. Buchalter zdejmuje buty, wsuwa je pod siedzenie na dziobie, starannie podwija nogawki, wyjmuje z kieszonki kluczyk i otwiera kłódkę. Potem chowają ją w bucie, siada przy wiosłach i odbija od brzegu. Lubi te chwile, gdy niebo na wschodzie zaczyna się łagodnie rozjaśniać, cisza płynie nad wodą i na krzakach lśni umyte rosą listowie. Pluśnie niekiedy ryba, po rzece rozchodzą się spokojne kręgi, wiosła poruszają się w wodzie niby skrzydła, rytmicznie i bezgłośnie. Buchalter płynie w przedrannej mgle, w której jak nie-

wyraźne cienie tkwią nieruchomo pochyleni nad wędkami rybacy, przepływając obok nich kiwa każdemu głową — „dzień dobry”. O tej porze nie słychać nawet miasta — wszystko śpi, spowite czystym srebrem przedświtu. Dla buchaltera są to chwile spokoju i wewnętrznego uciszenia. Zatrzymuje się na środku rzeki, wolno opuszcza w wodę uwiązany na sznurku kamień, odmotuje wędki i kiedy czerwono-białe pływaki nieruchomieją na spokojnej powierzchni, mości się wygodniej i czeka. Ranek spływa nań jak coś żywego, by go otoczyć miłym chłodem i ukołysać. A tam, na skraju nieba, tylko patrzeć jak narodzi się słońce.

Nie bardzo się nawet denerwuje, gdy ryba zaczyna brać. Jest tylko czujny i wyciąga chudą, długą szyję. Pewną ręką ujmuje wędkę, a oczy uważnie śledzą poruszenia czerwonego korka, co drży, powodując leciutkie fale, póki nie drgnie i nie pójdzie pod wodę. Wtedy on, odczekawszy chwilkę, nagłym ruchem wyciąga wędkę. Srebrny błysk nad wodą świadczy o powodzeniu, i gdy ryba rzuca się po smołowanym dnie łódki, a pławak spokojnie drzemie na wodzie, buchalter znowu odczuwa wielki wewnętrzny spokój.

On lubi punktualność. Co dzień wychodzi do pracy, gdy jego zegarek wskazuje ósmą. Przecina podwórze, idzie w górę ulicy, na górze przystaje i patrzy na rzekę. Koło piwiarni przyspiesza kroku, bo lubi oszczędność. Dalej idzie znów wolniej. Nie zmieniając tempa mija plac z betonowym pomnikiem, wychodzi na ulicę Gorczakowską. Twarz ma poważną, oczy błędzą patrząc na domy, szyldy, tablice, drewniane kioski spożywcze. W ostatnim kiosku z gazetami kupuje miejscową gazetę, pozdrawiając sprzedawcę, przygarbionego, dobrodusznego Żyda. Znają się od lat i gdy buchalter się zbliża, gazeta już leży na okienku. Jeśli buchalter nie ma drobnych, bierze bez pieniędzy — zawsze zdążą się roz-

liczyć. Niekiedy wdają się w rozmowę, ubolewając, że pozostało w mieście tak mało starych mieszkańców, tych, którzy znali raz na zawsze ustalony porządek. Wtedy bezbarwne rzęsy buchaltera żałośnie trzepocą. Teraz czasy bardzo szybko się zmieniają. Na samą myśl o tym cień przebiega przez jego twarz. Idzie dalej trzymając w dwóch palcach gazetę. Przeczyta ją po obiedzie, i tylko czwartą stronę. Koło biura przystaje, rzuca okiem na wielki elektryczny zegar wiszący naprzeciwko i wchodzi do gmachu. Ma na sobie spodnie z porządnie zaprasowanymi kantami, nakrapianą marynarkę, a pod nią kamizelkę z kieszonką na zegarek. I nieodmienny krawat, też nakrapiany, jak marynarka. W biurze jak na razie jest pierwszy. Parę minut schodzi na to, by powysuwać szuflady, wyjąć potrzebne teczki, liczydła, kałamarz, linijkę i starannie zatemperować ołówki. Dopiero po tym wyciąga nogi, przymyka oczy i całą minutę rozkoszuje się spokojem. A kiedy na schodach rozlegają się kroki, on już patrzy w okno. Za oknem — wielkie podwórze, a na tym podwórzu dzieci od rana do wieczora grają w piłkę... Hałasują, biegają, niemiłosiernie kopiąc tę piłkę. Jego koledzy nie przychodzą nigdy wcześniej niż o wpół do dziewiątej, nie raz nawet później. Wtedy przepraszają, a on krzywi się i wybaczają. Od Łysiuka z samego rana zalatuje piwem, choć siedzi o dwa biurka dalej. A Korosteńska przynosi z sobą zapachy świeżo wypranej bielizny i przypalonej kaszy na mleku. Kasjerka Frajenberg przed pracą maluje usta jaskrawą pomadką. Nikt z nich nie czyta ani Neczuja-Lewyckiego, ani Gogola. Nie mają kiedy czytać. Nawet czwartej strony lokalnej gazety. Buchalter patrzy na nich, jakby ich widział po raz pierwszy. Ale zegarek wskazuje czas pracy, więc naciska guziczek dzwonek wmontowanego w biurko. Dzwonek rozlega się w korytarzu jak odgłos źle naoliwionego motoru.

Korosteńska i Frajenberg, opowiadające sobie o sprawach domowych, z hałasem przysuwają się z krzesłami do biurka. Gdzieś na dnie świadomości buchaltera żyje jeszcze rzeka, wisząca w powietrzu mgła, srebrny błysk ryby nad nieruchomą wodą i głęboka, kojąca cisza.

— Koledzy! — stuka ołówkiem. — Proszę się brać do roboty.

Korosteńska i Frajenberg rozkładają papiery. A on pozwala sobie jeszcze kącikiem oka zerknąć w okno, za którym chłopcy kopią piłkę, i pogrąża się w gąszczu cyfr.

Wieczorem buchalter zbiera ołówki, papiery, kałamarz, liczydło i zamyka w biurku. Klucze od szuflad wkłada do tej samej kieszonki, w której leży kluczyk od łódki. Zatrzymuje w niej palce, obmacując znajome kształty. Zalewa go fala ciepła. Stoi chwilę nieruchomo, przez jego twarz przemyka uśmiech zadowolenia. Ale od razu gasi go i kiedy wychodzi na ulicę, jego oblicze przypomina kamienną maskę.

L u s i a

Zatrzymali się na malutkiej łączce nad rzeką. Pachniało stojącą wodą, wyrzuconymi na brzeg wodorostami, mokrym piaskiem i kamieniem. Tola oparł się plecami o drzewo i patrzył na Lusię pochyloną nad wodą. Gdzieś w ciemności słychać było miękkie uderzenia wiosł, w parku naprzeciwko jaśniała spleciona sieć światła latarni, od strony placu tanecznego dochodziły dźwięki muzyki.

— Co robi moja żona?

Lusia odwróciła się do niego:

— Bawi się.

Podeszła i zarzuciła mu ręce na szyję. Pocałował ją z czułością.

— Nie znudziło ci się całowanie?

— Nie — odpowiedział. — Nigdy mi się nie znudzi.

— Każdemu się znudzi — zajrzała mu w twarz. — A ja nie chcę, żeby tak było. Chcę, żebyś zawsze mnie kochał.

— Przecież cię kocham.

Usiadła na trawie, obejmując rękami kolana.

— Nieraz patrzę na ludzi i myślę: wszyscy byli kiedyś młodzi, wszyscy mówili piękne słowa i wszyscy kochali.

— Nie wszyscy przecież są tacy sami — ukląkł za nią i objął jej ramiona.

— Dlaczego ludzie nauczyli się tak kłamać? Najgorsze draństwo wygłasza najwznioślejsze słowa. A ja boję się wielkich słów, Tol...

Patrzył na drugi brzeg rzeki, na domy świecące się pośród ciemnej zieleni sadów.

— A jak my będziemy żyli? — Luscia nagle się odwróciła i też uklękła. Sukienka uniosła się ukazując nogi, szybko ją obciągnęła.

— Mam pokój — rzekł Tola.

— Ale całkiem inaczej go urządzimy... Patrz — wyciągnęła rękę po kawałek patyka. — To jest nasz pokój — narysowała kwadrat. — O tu postawimy tapczan. A może tobie nie podoba się tapczan?

Patrzył na nią z czułym uśmiechem, jego oczy były nad wiek poważne.

— A więc tapczan postawimy tu. Nad nim powiesimy kilimek. Widziałam taki — całkiem ładny. A tu będzie szafa. Kupimy sobie nowoczesną, mahoniową, bo myślisz, że mi już nie zbrzydły te stare pudła, co stoją u mamy? Tu okno — starannie rysowała, pomagając

jąc sobie koniuszkiem języka — a tu... no, tu będzie spało nasze dziecko...

On wciąż się uśmiechał — na wpół smutno, na wpół poważnie. Luscia spojrzała na niego i chwyciła go za ramiona.

— Dlaczego jesteś smutny? Może żałujesz, że się żenisz?

— Dziwna jesteś — powiedział.

— A ty żenisz się dlatego, że będziemy mieć dziecko, czy dlatego, że mnie kochasz?

— Kocham cię.

— No to dobrze — uspokoiła się. — Pośrodku postawimy stół. Jakie są ładniejsze, Tol, niskie czy wysokie? Teraz modne są nie bardzo wysokie. Wiesz, taki stolik ze skośnymi nóżkami i cztery miękkie fotele.

— Myślisz, że są takie w sklepach?

— Nie przeszkadzaj — uderzyła pięścią w ziemię. — Mówmy o tym, co byśmy chcieli mieć.

— Dobrze — uśmiechnął się.

— No, co jeszcze? Kupimy serwis. Ja w domu nigdy nie piłam z kosztownych filiżanek. Nasze będą z cieniutkiej porcelany i będą miały złożone uszka. Lubisz jeść srebrną łyżką?

— Nie wiem. Nigdy czegoś takiego u nas nie było.

— U nas też. Ale my kupimy sobie srebrne łyżki i widelce. I nigdy nie będziemy kupować talerzy drugiej jakości. Bo ja zawsze jadłam tylko z takich.

— Wszystko będziesz miała — powiedział całując ją w czoło.

— Niedobry jesteś — nachmurzyła się — nadal jesteś smutny. A ja chcę dziś trochę pomarzyć... Wiesz, kiedyś marzyłam, by zostać tancerką. Możesz sobie wyobrazić — wspaniała, błyszcząca sala, ludzi bez liku i tylko ja jedna... — wstała, uniosła ręce, jak to czynią baletnice, i wspiąwszy się na palce zrobiła parę kroków.

Patrzył na nią wsparty plecami o pień drzewa i przebierał palcami w mokrym rzeczonym piasku. Naraz wydało mu się, że zaszło jakieś przemieszczenie czasu, że to nie on siedzi tu, pod drzewem, i nie jego Lusia wytańcowuje coś niezdarnie. Pomyślał, że istnieje inny świat, gdzie żyją ludzie, których twarze widywał w gazetach, w kinie, na ekranie telewizora. Nieraz spotykał i na ulicy. Wytworne, piękne kobiety. Kimże są, jaki jest sekret ich istnienia i czemu w ich twarzach tyle dumnej wyższości?

— Lusiu — odezwał się — a ty znasz tę aktorkę, która mieszka w waszym domu?

— Tfu, zmija — parsknęła Lusia. — Gdybyś ty widział! Ktoregoś dnia wylała pani Cukrowej na głowę wiadro pomyj. A pani Cukrowa walnęła ją za to żelazkiem, tak że przez dziesięć dni potem nie wychodziła na ulicę.

Przysunął się do niej blisko, zajrzał w roześmiane oczy. Ogarnęło go wzruszenie, jak zawsze, gdy ją całował. Szczupłutkie ciało ufnie podało się ku niemu i chłopiec poczuł przypływ gorącej fali w sercu...

Siedzieli na trawie i patrzyli na oświetloną latarniami szosę, po której, jak żuki, sunęły auta. Przy moście było mniej latarni i gdy auta brały zakręt — ciemność nocy rozcinały dwa snopy jasnego światła.

— Nigdy nie będziesz musiał żałować, że mnie pokochałeś — powiedziała Lusia. — Wiem, że jestem głupia, skończyłam tylko siedem klas. Kiedyś i uczyć się nie bardzo mi się chciało. Ale będę dbała o dom. Zapamiętałam jeszcze z dzieciństwa... — oparła brodę na pięści. — Wśród nocy podniósł się krzyk, gwałt, okropnie się przestraszyłam. Jakiś mężczyzna dobijał się do córki pani Cukrowej — ona wrzeszczała, a on walił kamieniami w okno. Potem zabrała go milicja. Córka pani Cukrowej wpierw żyła z nim, a potem go zdradziła...

Nie bardzo to wszystko rozumiem... — wstrząsnęła się, jakby nagle zrobiło jej się zimno, i poważnie popatrzyła na chłopca.

— Chcę, abyś pozostała czysta — powiedział. — Aby cały brud życia omijał cię, nie dotykając...

Zewsząd ogarniała ich cisza wieczoru. Od strony parku nie słyhać już było wrzaskliwych tonów modnej muzyki tanecznej. Park wyludnił się. Po rzece płynęła łódź, samotna postać na niej kiwała się miarowo w takt ruchu wiosła.

— No cóż, trzeba iść — powiedziała Lusia. — Późno już.

Poszli wzdłuż rzeki, wśród szelestu topoli, trzepocących twardymi, okrągłymi liśćmi na wietrze; w górze migotały gwiazdy, też okrągłe, duże i niespokojne. Przeszli przez kładkę — deski skrzypiąc ugiwały się pod nogami — i ruszyli asfaltowaną ulicą wzdłuż domów ukrytych w ogródkach za szczelnie zamkniętymi furtkami. Koło mostu przystanęli, by popatrzeć na pędzące samochody. Szyby, lakierowane budy szoferek, twarze kierowców — wszystko to zlewało się w jedno, hurkotało, wyrzucało chmury śmierzdzących spalin, parło w górę i niczym metalowy wodospad waliło się w dół. Skręcili w uliczkę — i znów ogarnęła ich cisza; paliła się samotna latarnia i świeciło się jedyne okno wybite w żółtej głuchej ścianie.

— Tam mieszka syn Fedora — powiedziała Lusia. — Ty go nie znasz. Okropnie śmieszny. A jego ojciec siedział w więzieniu.

Przeszli na drugą stronę ulicy i stanęli przed bramą.

— Może wstąpisz do nas?

— Nie teraz — Tola patrzył gdzieś przed siebie. — Teraz nie bardzo wypada.

— Tak, późno już — zgodziła się. — Mama pewno śpi. Chodźmy na podwórze...

Weszli do sieni, przeszli obok pojemnika na śmieci. Na pustym podwórzu ich kroki odbijały się głośnym echem. Tola spojrział w górę. Z dwóch stron wznosiły się mury, niby zbocza przepaści, z trzeciej stał cztero-piętrowy budynek, na którego dachu zapalała się i ga-sła reklama, z czwartej — znowu mur. Nad nimi, jak szmat granatowego jedwabiu, widniał skrawek nocnego nieba. Wsparte o dachy, wzdrygało się leciutko od nocnego chłodu i to był jedyny żywy fragment pośród tej zastygłej, kamiennej ciszy.

Pod samym dachem migotała poprzez firankę elektryczna żarówka. Lusia pokazała na nią:

— Wiesz, kto tam mieszka? Hajdajenko. Biedny człowiek, aż żal bierze patrzeć na niego. Żona mu niedawno zmarła, dwoje dzieci... A co ty zrobisz, jak ja umrę?

— Dlaczego miałabyś umierać? Jesteś taka młoda.

Lusia oparła się plecami o ścianę, wysuwając nogi do przodu.

— Obok mieszka Fedor — opowiadała. — Ma strasznie skąpą żonę. Wstaje rano — ona mu daje krupnik, przychodzi na obiad — też krupnik, wieczorem — znowu krupnik. On chodzi do stołówki... Ale ty nie będziesz musiał chodzić do stołówki...

— A artystka?

— Artystka na pierwszym piętrze — wolno opowiadała Lusie. — O tam, widzisz, nasze dwa okna, na lewo, a ona jeszcze o dwa okna dalej, potem okna nauczycielki i Eleonory... Ona pięknie recytuje, słyszałam. Jak gdyby całkiem inny człowiek. A przyjdzie do kuchni — twarz zaspana, usta wykrzywione...

— Nie będzie ci żal tego wszystkiego? — skinął głową w stronę okien.

— Czy ja wiem... Czasem miałabym ochotę uciec stąd i nigdy więcej nie wracać. To znowu wszyscy wydają

mi się bliscy, jak rodzina. Czy ty myślisz, że ja nic nie rozumiem?

— Nic nie myślę — Tola też oparł się o ścianę.

— A to nasza wytwórnia pączków. Kiedy byliśmy mali, zawsze biegaliśmy po pączki. A teraz już są młodsi od nas...

— Ja całe życie przeżyłem w małym domku — Tola wsunął ręce do kieszeni. — Nie znam tego wszystkiego, o czym mówiłaś, ale kiedy wychodzę na centralne ulice, czuję, że tu życie wygląda inaczej.

— A tam, na prawo, mieszkają Kowalczukowie. Ich drzwi są zawsze zamknięte. I nikt z sąsiadów nie przestąpił jeszcze ich progu. Kiedy przechodzę obok tych drzwi, wieje na mnie pustką...

— Już niedługo tego wystawania, będziemy mieli swój dom. Trochę to dziwne, prawda?

— Tak. A dlaczego jesteś dziś smutny?

— Sam nie wiem. Nieraz mi się zdaje, że czeka mnie jeszcze wiele zmian. Boję się, że mogę zatrzymać się w miejscu, czy... jak by to lepiej wyrazić... trochę boję się tych zmian, ale boję się i tego, że może ich nie być.

— Sądzisz, że ja stanę ci na przeszkodzie?

— Nie to miałem na myśli. Nasze życie nie skończy się przecież, gdy się pobierzemy, po prostu zastanawiam się niekiedy, jacy my będziemy, powiedzmy, za pięć lat?

— O ta-acy dorośli — rozłożyła ręce. — I ta-acy poważni — nachmurzyła brwi.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

— Zwariowałaś — przestraszyła się — jeszcze kto zobaczy...

— A niech zobaczy!

Łagodny chłód wieczoru słał się po ziemi, głośno wystukiwały po trotuarze kroki zapóźnionych przechod-

niów. Przed nimi — milczące szeregi ciemnych okien, tylko wysoko w górze migotała jedna jedyna żarówka, sącząc w mrok anemiczne światło.

— A jednak chcę stąd odejść — Lusia skinęła na okna. — Czasem bywa mi ciężko, gdy byłam mała, nieraz myślałam sobie — gdyby tak wyuczyć się na tancerkę i pojechać w świat. Jeszcze teraz, gdy widzę tancerki w kinie, chce mi się płakać. To znów przychodzi mi na myśl — czy one mają dzieci i czy mieszkają w takich zwykłych domach. A może one są takie same jak nasza artystka? Nie chciałabym, żeby tak było.

Umilkli, każde myślało o czymś swoim. Gdzieś tuż obok odezwał się świerszcz, jego ćwierk niby ostrze rozciął ciszę. Dom spał. Przyszła noc, przesłoniła oczy okien i dom, stary i trochę niezgrabny, pograżył się w spokoju. Tylko koty beznadziejnie wyczekiwały po kątach, czy nie wyskoczy jakaś głupia mysz i nie wpadnie w ich leniwie pożądlive pazury.

Okno Hajdajenki też zgasło, nie zauważyli nawet kiedy. I tylko w szparce ściany zanosił się świergotem obojętny na wszystko świerszcz.

S y n F e d o r a

Syn Fedora leżał po wierzchu łóżka trzymając nogi na poręczy. Była niedziela, więc się rozkoszował wolną od pośpiechu, należącą tylko do niego chwilą spokoju. Przez otwarte okno wlewało się sierpniowe ciepło, wokół leżały pootwierane książki: na stole, na podłodze, na łóżku. Tu też, na podłodze, stała popielniczka pełna niedopałków — przeciąg zdmuchiwał z niej popiół. Twarz leżącego spowijał siwy dym: papieros kopcił niechętnie, lekkie obłoczki kłębiły się aż pod sufitem.

Zegar wolno odmierzał czas, syn Fedora zgasił papie-

rosa i wyciągnął rękę po następnego. Słysząc było, jak głośno bulgoce na prymusie krupnik. Matka ciężko człapała obutymi w kapcie nogami, prymus huczał monotonnie wśród ciszy, co przypominało bzyczenie muchy, która usiadła na lepie i nie może się od niego oderwać. Zapach gotujących się jagieł zatykał oddech. Syn Fedora z niechęcią spojrział w otwarte drzwi, odwrócił się do ściany i począł wodzić palcem po konturach ledwo widocznych ornamentów na wytartym dywaniku. Potem znów odwrócił się na wznak i zapatrzył się w sufit. Po chwili opuścił rękę i wziął, nie patrząc, otwartą książkę z podłogi. W książce tej pełno było obrazków z okazami afrykańskiej flory i fauny. Syn Fedora długo im się przyglądał, próbował też czytać tekst, ale przeszkadzał mu irytujący zapach gotowanych jagieł.

— Weni — odezwała się z drugiego pokoju matka — nie śpisz?

Nie odpowiedział.

— Coś ty ostatnio przynosisz mniej pieniędzy — matka stanęła w progu, dobrodusznie, a zarazem wyczekująco patrząc na syna.

— Chcę sobie kupić ubranie — rzucił lekkim tonem.

— Alboż ty nie masz ubrania? — uniosła rzadkie, wypłowiałe brwi. — Dwa lata temu sprawiliśmy.

— A teraz sprawię sobie jeszcze jedno — syn Fedora usiadł, aż sprężyny pod nim głośno jęknęły. — I mama niech nie biadoli — spuścił nogi na podłogę — daję nie mniej niż w zeszłym roku.

— W zeszłym roku wszystko na rynku było tańsze.

Syn Fedora wstał, rozprostował kości, zrobił parę kroków w stronę okna i wystawił głowę na zewnątrz — chlusnęło na niego ciepłym słonecznym sierpniem.

— Gotuje mama krupnik?

— A ty byś wolał marcepań? — obłudnie łagodnym głosem powiedziała matka. — Nie ma marcepanów.

Syn Fedora odwrócił się od okna, schylił się, opierając dłonie na kolanach i nagle krzyknął głośno:

— A gdzie jest mamina pończocha?

Matka wzdrygnęła się i znieruchomiała na chwilę, ale zaraz odwróciła głowę.

— Gdybym miała za co — powiedziała zjadliwie — dawałabym wam tylko same marcepany...

— Ma ją mama przyszytą do koszuli — już spokojnie powiedział syn Fedora. — Nawet śpi mama z nią.

Matka odwróciła się do niego, błysnęła dwoma rzędami metalowych zębów:

— Skąd mogę mieć pieniądze? Myślisz, że leciały z nieba, a ja chodziłam po trawie i zbierałam?

— Och, pieniądze, znowu pieniądze! — syn Fedora ścisnął rękami skronie. — W tym domu słyszy się tylko o pieniądzach...

— Bez pieniędzy nie można żyć — spokojnie odparła matka.

Syn Fedora przymknął drzwi, zapach jagieł znikł. Znow się położył, opierając nogi o poręcz, i wyjął papierosa. Dym popłynął wijącym się sznureczkiem, ciało stawało się coraz bardziej ociążane od senności, w głowie zakłębiło się od sennych marzeń. Widział siebie w odległych czasach średniowiecza. Był postawnym i pięknym młodzieńcem. Oto pędzi w pościgu za rabusiami, którzy go ograbili, oto ich dogonił, odbiera swoje bogactwa... Syn Fedora uśmiecha się patrząc na pływające pod sufitem kółeczka dymu. Bardzo chciałby przedłużyć tę podróż, ale za drzwiami znów słyszać człapanie matczynych nóg, więc szybko zamyka oczy. Poleżał tak kilka minut, nasłuchując — kroki się oddaliły.

Poręcz łóżka boleśnie uwierała pięty — zdjął nogi i usiadł oparty łokciami na poduszce. Rozejrzał się po pokoju: nad łóżkiem przypięta była kartka z egipskim sfinksem, nieruchome kamienne oblicze ze spokojem

patrzyło na niego. Syn Fedora skoczył na podłogę i wyciągnął spod łóżka stare czasopisma. Gorączkowo przerzucał stronicę, aż zatrzymał się przy ilustracjach Guttusa. Młody robotnik w kraciastej koszuli siedzi przy oknie, a wokół płaskie dachy miasta. Syn Fedora wziął nożyce i starannie wyciął obrazek. Przypiął go pluśkiewką do ściany, biały pył posypał się spod palców. Poprzez firankę wchodziło do pokoju powietrze przesycone zapachem macierzanki. Syn Fedora wychylił się z okna i spojrzał w dół. Dokoła wznosiły się nierówne płaszczyzny głuchych ścian. Na skrawku asfaltu, wyciągając przed siebie ręce, chodziła mała dziewczynka z zawiązanymi oczami, przed którą chowało się, z minami spiskowców, trzech chłopczyków. Syn Fedora wyciągnął na środek patefon i włączył go. Spod igły wyrwała się wesoła muzyka, a on znów podszedł do okna. Dzieci wciąż jeszcze bawiły się na dole. Syn Fedora stał oparty o parapet, muzyka o nierównym, skaczącym rytmie biła w plecy. Odwrócił się do patefonu, zdjął igłę z płyty i wyłączył prąd. Na ścianie wisiał w złoczonej ramce duży, żółty kot wyhaftowany czyjąś niewprawną ręką. Syn Fedora wspiał się na palce, zdjął kota, odwrócił i z powrotem zawiesił. Teraz widać było splecione gąszcz nici, fantastyczny i barwny. W miejscu oczu zieleniły się dwa duże węzły. Syn Fedora znów się położył, wsparłszy nogi na poręcz.

Za ścianą przetupały kroki matki. Prymus przestał huczeć, nie słyszeć też było bulgotania: krupnik już się ugotował.

— Może będziesz jadł? — spytała zza drzwi matka.

Nie odpowiedział. Przyglądał się swojej fotografii z dzieciństwa, wiszącej naprzeciwno. Jasnowłose, rozchełstany chłopak patrzył na niego z powagą i skupieniem w oczach, jakby chciał go przed czymś przestrzec. Ich spojrzenia spotkały się: chłopaka, który odszedł w nie-

był, i dorosłego mężczyzny, któremu zmarszczki kreśliły już czoło. Syn Fedora uśmiechnął się, przymknął oczy, pragnąc dać nura w ciszę, głęboką i spokojną, ukryć się w niej i obserwować, jak na niezmiernych plantacjach macierzanki latają wielkie, brunatne pszczoły.

Wyszedł ze swego pokoju, przestąpił błyszczącymi bucikami dużą szparę przy progu i znalazł się w pokoju matki, którego połowę zajmowało podwójne łożo zaścielone ciemnym kocem. Spod koca wystawały troki poszew. Góra poduszek przykryta była tiulową kapką. Obok łóżka stał stary kredens z brązowego drzewa, z ostrokątnymi szybkami w szerniałym metalowym obramowaniu. Na ścianach, zawieszonych fotografiami w wymyślnych, zdobnych muszelkami ramkach, żółcił się deseń starego malowidła. Nad niską etażerką wisiał ślubny portret. Wylizane twarze jaśniały sztuczną młodością.

Matka siedziała przy stole i jadła krupnik. Kasza parowała, matka składała w ciup grube wargi i z przejęciem dmuchała na łyżkę. Nie uczesane włosy, gęsto przyprószone siwizną, tworzyły szarą plamę na tle żółtej ceraty.

Syn Fedora otworzył drzwi. Z ciemnego korytarza wionęło na niego wonią nafty i świeżymi oparami kaszy. Wyszedł na schody i wolno schodził w dół, popod szarą ścianą, głośno stawiając nogi na betonowych stopniach. Ściana była wilgotna, w rowkach zadrapań zieleniła się pleśń. Syn Fedora przyjrzał się napisom na murze, jakie pozostawiało tu po sobie każde pokolenie. Podczas remontów zamalowywano je, ale dzieci podraślały i nowe napisy pojawiały się na ścianach...

Syn Fedora wyszedł na podwórze. Czarne ubranie dobrze na nim leżało, olśniewająco bieliła się w słońcu

koszula, przybrana wąskim czarnym krawatem. Dziewczynki narysowały na asfalcie klasy i skakały po krzywych kwadratach. Za oknem wytwórni pączków stał mężczyzna i miesił ciasto. Pani Cukrowa siedziała na stołeczku i drzemała, dziobiąc długim nosem napiętą na biuście bluzkę. Syn Fedora pozdrowił ją, ale pani Cukrowa tylko ze świstem wciągnęła powietrze. Rozpalony kamień buchał żarem, czarne ubranie parzyło plecy. Syn Fedora spojrzał na czyste, błękitne niebo i chustką otarł czoło. Na ulicy przystanął obok automatu z wodą sodową. Wrzucił monetę, woda z sykiem połała się do szklanki. Z dna unosiły się i wyskakiwały w powietrze srebrzyste bąbelki gazu. Odstawił szklankę do mycia i wszedł na chodnik, po którym posuwały się, przystawały i znów się posuwały dziesiątki nóg. Obok niego raz po raz przepływały postacie, migały twarze ze swym codziennym, powszednim zatroskaniem, dziesiątki rąk niosły torby i siatki, napełnione rzeczami i jedzeniem, setki lśniących zębów przemiały słowa. Syn Fedora przyspieszył kroku i przeszedł na drugą, cienistą stronę ulicy.

Czerwony tramwaj wytoczył się zza rogu i stanął. Syn Fedora wszedł do wozu, usiadł w samym tyle. Wóz był pusty, tylko na przodzie, opierając się na lasce kościstymi palcami, siedział siwobrody starzec. Jego wielka twarz kołysała się w powietrzu w takt rytmicznego stukotu kół.

Syn Fedora przymknął powieki. Był niby na galerze. Skrzypiąca łupina płynęła pomiędzy dwoma grzbietami fal. Wokół kręcili się ludzie, a on siedział na rufie i patrzył, jak z wolna niknie w tych falach niewielka skalista wysepka. Żył na niej aż nadto długo, uciekwszy od ludzkiego mrowiska. Ale gdy nadpłynęła ta galera, nie wytrzymał i przestał się ukrywać przed ludźmi. Uwolnili go z tego dobrowolnego więzienia i oto teraz koły-

sało się ono za rufą, rozpływało, coraz mniejsze i mniejsze, aż wreszcie całkiem zniknęło w liliowej mgiełce. I zrobiło mu się żal...

Wysiadł z tramwaju na skraju przedmieścia, pokrątkowanego równoległymi płaszczyznami parkanów. Zapalił papierosa i rozejrzał się. Ledwo widoczne dymki z letnich kuchen były oznaką życia tutejszych domów. Naprzeciwko czernił się otwór drzwi sklepu spożywczego. Syn Fedora wszedł do środka, zdeptawszy papierosa u progu.

— Dzień dobry — powiedziała Wala. Spojrzała na niego dużymi, ciemnymi oczami, a on na mgnienie utonął w tym spojrzeniu.

— Widzisz, znowu tu jestem — powiedział zamiast przywitania, oparłszy się o ladę.

— Poczęstować cię piwem?

— Poczęstuj.

Dziewczyna schyliła się pod ladę. Prościutka sukienka obwisała po bokach, ciasno spleciony warkocz przesunął się po plecach i spadł na pierś. A on patrzył na jej wiotką postać, na cienkie palce otwierające butelkę i w każdym jej ruchu widział jemu tylko dostępną harmonię. Aż przymrużył oczy, przebierając ją w przepyszną suknię balową. „Trzeba rozpuścić włosy” — pomyślał.

— Co tak na mnie patrzysz?

— Znasz bajkę o królewiczu, który przychodzi do dziewczyny i robi z niej królową?

— Cha, cha! — wesoło zaśmiała się Wala. — To było tak dawno. Teraz nie ma na świecie królewiczów. Chyba że ty — uśmiechnęła się.

I naraz jej uśmiech zgasł. Przed nią stał przystojny, elegancko ubrany chłopiec. Jego wzrok przestał błędzić, w szlachetnym wykroju ust, w całej twarzy tyle było ujmującego ciepła, że wydała jej się jakby inna niż za-

wsze; z oczu, jaśniejących niby błękitny kryształ, promieniował przedziwny urok i mądrość. A wokół trwała sucha, dzwoniąca cisza, zagarniając w błękitną niewolę duszę i uczucia...

N a u c z y c i e l k a

Lato minęło nic po sobie nie pozostawiając, tyle że naruszyło zwykły, już ustalony rytm, kiedy to setki spraw domagających się załatwienia trzymały ją w ustawicznym napięciu. Wyszukiwała sobie robotę, by nie ulec melancholii, co osaczała ją ze wszystkich stron niby jakiś straszny, kudłaty stwór. Bała się wspomnień, nocy, kiedy sen ją odbiegał, bała się wyjazdów na wieś, gdzie żyła rodzina jej męża. Było tam nazbyt cicho, nazbyt sennie. Przyjeżdżała na odpoczynek, więc zmuszano ją, by spędzała czas beczynnie, dobrze odżywiano i pozwalano dużo spać; nieróbstwo było dla niej zabójcze, potem długo nie mogła wdroić się w stary porządek. W dodatku zbyt wiele tam wspominano. Wiedziała, że życie człowieka składa się z blasków i cieni. Blaski bywają różne — większe i mniejsze, różne też bywają cienie — od półmroku do czerni. System tych wahań właśnie tworzył nastrój. Ale niekiedy blask tak wraża się w pamięć, iż żadne cienie nie zdołają go zaćmić. I to poniekąd może dać się we znaki... Nauczycielka nie wytrzymała i uciekała ze wsi, zmyślając naprędce jakiś pretekst. Ale te jej preteksty zawsze były wymuszone i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Odprowadzano ją ze źle skrywanym niezadowoleniem, jako że dzieci znaczą dla rodziców znacznie więcej niż rodzice dla dzieci. Wzdrygała się na myśl o tej okrutnej prawdzie, posyłała bliskim paczki z prezentami, pragnąc gorąco, by wybaczyli jej melancholię i słabość ducha.

A tymczasem lato się kończyło. Miasto wydawało się obce bez codziennej pracy. Szkoła stała pustką, nieraz tam wstępowała i zawsze ogarniało ją dziwne uczucie, gdy tak szła opustoszałymi korytarzami; tylko w kącie zwykle drzemała staruszka woźna. Chodziła po klasach — tam też była przygniatająca, głucha pustka. Przypominało jej to wyludnione miasto, do którego uciekła od swoich wspomnień, sprawiających jej tyle bólu. Stało się to wówczas, kiedy otrzymała tę straszną wiadomość o mężu. Nie mogła dłużej żyć tam, gdzie wszystko rozdzierało duszę, w mózgu tkwiła wciąż jedna i ta sama myśl, niby migotliwa, gasnąca iskra. A potem, gdy ta iskra znikiała, słychać było dzwonienie — długie, monotonne, podobne do głosu szkolnego dzwonka. Żeby się jakoś od tego uwolnić, siadała w kącie kanapy, wpatrując się w ciemność. Czasem zjawiał się niespodziewany, piekący ból. Pewnego dnia, w takiej właśnie chwili, spaliła listy męża, spaliła swoje panieńskie dzienniki, spaliła nawet zawiadomienie o śmierci. Ale to wcale nie przyniosło jej ulgi. Siedziała wtedy przed ogniem, z twarzą niby mokra, czerwona maska. Łzy przyszły nieoczekiwanie, już nic nie widziała, migały jej tylko przed oczami czerwone platy. Od razu też zapagnęła mieć z powrotem i te listy, i to zawiadomienie, ale są rzeczy, których już odwrócić się nie da. Postanowiła więc uciec. Uciec od wojny, która jeszcze wyciągała ku niej swe szpony, uciec od wspomnień, od męki. I jakoś dalej żyć. Bo uczono ją, że sprawy osobiste winny być podporządkowane sprawom ogólnym. Człowiek nie zawsze ma prawo do własnego życia, myślała, i dopiero kiedy osiadła w zrujnowanym, na wpół wyludnionym mieście, gdzie zamiast ulic były zwały gruzów, zrozumiała, że to była dziecinna, okrutna i niewybaczalna zachcianka.

Nauczycielka miała swoje zasady. W ciągu tych dłu-

gich lat nauczyła się, mimo wszystko, nie ulegać nastrojom. W tym celu warto było stwarzać sobie sztuczne kłopoty, pracować, wkładając w to wszystkie siły, tak by starczyło ich potem tylko na dowleczenie się do łóżka. Stale rozmawiała z uczniami, myślała o nich, w każdej parze tak różnych oczu usiłowała odgadnąć duszę. To wszystko wymagało bardzo dużo czasu — toteż podzielała zdanie koleżanki, nauczycielki matematyki, która mawiała: albo szkoła, albo dom. Człowiek nie może się rozerwać, zwłaszcza gdy nie ma aż tak wiele sił. Cały problem w tym, czy mają sens te ich wysiłki? Nie mogłaby temu zaprzeczyć, bo jednak miała mocne, zdrowe ciało i wiele czysto kobiecej wytrwałości...

Myślała o tym, co pozostało poza nią. Dlaczego człowiek musi aż tak bardzo cierpieć? A może ona nie była dostatecznie przystosowana do życia? Ci, którzy je lepiej znają, raczej milczą. Nie tłuką głową o mur, jak ci, co przychodzą na świat w inkubatorach ze sztucznym słońcem.

Nauczycielka podniosła się z kanapy i otworzyła okno. Do pokoju wpłynęło gęste sierpniowe powietrze. Pomyślała, że prawie nie chodziła w tym roku na plażę. Może jej stosunek do życia staje się już nieco obojętny? Dawne dzieci podrosły i nie kryjąc się chodzą po ulicach parami. Kobiety bardziej dbają o siebie, spotyka się wiele elegantek. „Kiedy one się pojawiły? — nauczycielka ściągnęła brwi. — Chyba z początkiem lat pięćdziesiątych. A może z końcem czterdziestych? W miejscu ruin wyrosły czteropiętrowe pudła, dziesięć lat to niemały szmat czasu. Ale kto się tym interesował, czy tak jest ładnie, czy nie?”

To bardzo łatwe do zrozumienia: stare musi ustąpić nowemu, ale kiedy tym „starym” jesteś ty? Kiedy to stare — to twój ból i twoje lzy, twoje życie? „Człowiek nie ma prawa skamienieć” — powiedział jej kiedyś

Iwan. To było jeszcze przed wojną. Stara Korobenkowa w czarnej sukni siedziała na progu swego pustego domu i patrzyła na świat wymokłymi od starczych łez oczami. Czerniały ręce trzęsły się na sękatym kosturze. Często przechodzili obok jej chałupy — rano i wieczorem, w dzień, a nawet w nocy. A ona siedziała, jakby wrośnięta w próg, i nauczycielka bała się trochę jej ciemnej postaci i spojrzenia, które przypominało o istnieniu tamtego świata. „Te ręce były kiedyś młode i delikatne — wspiąwszy się na palce szeptała do ucha mężowi. — Powiedz, czy i ja też będę kiedyś taka? Wolę umrzeć młodo.” „Człowiek nie ma prawa tak skamienieć” — powiedział Iwan, a w jego głosie była moc silniejsza od czarnego mroku zionącego z otwartej chałupy Korobenkowej.

Usiłowała snuć dalej swe myśli. Jak żyła po wojnie? To było tak dawno. Długi ciąg dni, przedziwne muzeum zdarzeń i rozmów, wzruszeń i namiętności, większych i mniejszych, nikczemnych i wielkich, ogólnych i osobistych. Jaki porządek winien być w tym muzeum, gdzie przewodnikiem jest pamięć, a gospodarzem — sumienie?

Odeszła od okna, przyjrzała się ścianom, powiodła palcem po książkach na półce i śpiesznie, włożywszy kraciasty fartuch, zabrała się do sprzątanía. Wycierała kurze, froterowała podłogę. Włosy się jej rozsypywały, więc włożyła chustkę na głowę. Suwała meble, przestawiając je z miejsca na miejsce, poprzewieszała obrazy i fotografie na ścianach. Potem odeszła w najdalszy kąt pokoju i patrzyła stamtąd uważnym spojrzeniem, w którym przebijała energia na przemian z apatią.

Odszukała swój kostium kąpielowy, rzuciła na poręcz łóżka i wolno poczęła się rozbierać, patrząc w lustro,

w którym odbijał się pokój i meble. Rozebrała się całkiem i przyjrzała się swemu ciału, jakby było obce. Uda zrobiły się grubsze, skóra była już nie tak elastyczna, przezierały przez nią ciemne linie żył. Końcami palców powiodła wzdłuż ciała i rozpuściła włosy; rozsypały się po plecach i piersi, miękko łaskocząc skórę. Wolno włożyła kostium i znów przyjrzała się sobie. Potem zebrała włosy w węzeł, podpięła wysoko szpilkami, narzuciła leciutką sukienkę i jeszcze raz spojrzała w lustro: smagła twarz patrzyła na nią wyczekująco i niezdecydowanie.

Włożyła do torby włochaty ręcznik, a gdy się wyprostowała, znów ogarnęła ją apatia. Leniwie zamknęła drzwi i wyszła na podwórze. Pozdrowiła dozorczynię, która krzyczała na jakiegoś chłopaka; pokazał jej język, ale zobaczywszy nauczycielkę w jednej chwili skrył się w bramie. Ukłoniła się żonie buchaltera, przeszła przez podwórze i pozdrowiła żonę Fedora. Już wychodząc z bramy spotkała artystkę. Ta, mrużąc oczy, wyniosłe kiwnęła głową i pewnym krokiem poszła dalej. Nauczycielka zapatrzyła się na jej piękne nogi i poczuła zwyczajną kobiecą zazdrość. Wyszła na ulicę. Słońce hojnie ozłociło jej szczupłą postać w jasnej, kwiecistej sukience. Przystanęła, uniosła głowę i uśmiechnęła się. Na niebie, niby kopy śniegu, stały nieruchome obłoki, a spomiędzy nich spływało na ziemię przeczyste, olśniewające światło. Rzeka mieniła się złocistym odbłaskiem. Nauczycielka przeszła przez kładkę i znalazła się w cienistej alei czarnych topoli. Pachniało przywiedłymi ziołami. Zerwała parę listków mięty i roztarła w palcach; od mocnego, przyjemnego zapachu zakręciło w nosie.

Ludzi było mało, tylko grupka czarnych od opalenizny chłopców i dziewczyn, którzy stojąc w koło odbijali wielką, czerwoną piłkę. Piłka wlatywała wysoko

w górę, smukłe ciała wyciągały się i podskakiwały, piłka głucho stękała od uderzeń. Nauczycielka z przyjemnością patrzyła, zachwycona urodą młodzieży. Długonodzy, opaleni, o ciałach gibkich i lekkich, żyli pośród sierpniowego dnia, drzew i trawy jak coś całkowicie do nich przynależnego. To był już nie znany jej świat radości i emocyj, z jakim ona pożegnała się tak dawno! Wolno poszła wzdłuż brzegu. „Niczego sobie babka” — doleciał ją dźwięczny, młodzieńczy głos. Nauczycielka zarumieniła się powyżej uszu, pierś zalała gorąca fala. Przyspieszyła kroku, by szybciej zagubić się wśród plażowiczów, minęła zamknięte kioski i dopiero wtedy się rozejrzała. W pobliżu nikogo nie było.

Rozebrała się i podeszła do rzeki. Spróbowała nogą — zimno załaskotało palce. Wsunęła włosy pod czepek i wolno weszła do wody. Tysiące migotliwych błysków oślepiały oczy. Po przeciwległej stronie rzeki wznosiły się skały. Nad urwiskiem wlatywały czerwone dna łódek huśtawki i migały dziewczęce sukienki. Nauczycielka pochyliła się, odgarniając rękami wodę; tam w dole jaśniał piasek, nogi śmiesznie się załamywały, wielka skójką laźła po dnie pozostawiając po sobie kręty ślad. Wokół był spokój, nawet liście topoli nie drżały, tylko brązowe ciała chłopców i dziewcząt połyskiwały wypolerowaną przez słońce skórą. Z daleka to wszystko wyglądało na trochę dziwny seans pantomimy.

Nauczycielka zanurzyła się w przejmującej chłodem wodzie, odbiła się i popłynęła, zagarniając wodę rękami. Naraz doznała uczucia, że to ogromnie ważne, dokąd popłynie. Jakaś siła ciągnęła ją pomiędzy srebrne błyski, w wabiący żywioł wody i powietrza.

Na drugim brzegu zobaczyła Hajdajenkę, który siedział na kamieniu i przyglądał się jej.

— Co tak patrzysz? — zawołała wesoło.

Hajdajenko nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko. Podpłynęła bliżej i stanęła. Duże, złociste krople toczyły się po plecach i spadały w wodę.

— Chodź się kąpać — chlupnęła na niego wodą.

Pokręcił przecząco głową.

— Z kim zostawiłeś dzieci?

— Oddałem na wychowanie temu pijakowi Mikołajowi. On ma trzeźwe poglądy na życie. A przy tym jest kawalerem.

— Ty jak zawsze żartujesz — nauczycielka poprawiła czepek.

— Ciepła woda?

— Tak sobie. Chodź, popływamy. Chcesz?

— Nie. To znaczy, jest mi to obojętne. Kiedy szedłem tu — chciałem, a teraz nie.

Nauczycielka wyszła z wody.

— Ładna jesteś, Halu — powiedział Hajdajenko patrząc na nią przymrużonymi oczami.

— Nie pleć głupstw — usiadła obok na kamieniu. — Chciałabym jakoś ci pomóc.

— Wiesz przecież, czym się kończy przyjaźń między mężczyzną i kobietą.

Nauczycielka oblała się rumieńcem. Te słowa wzbudziły w niej echo jakichś odległych i bolesnych spraw.

— Wiele ludzi mi współczuje — Hajdajenko uniósł głowę i wesoło popatrzył na nią. — Nawet rada zakładowa dała pieniędzy...

— Albo to źle? — zdjęła czepek, włosy rozsypały się po ramionach.

— Masz ładne włosy — w zamyśleniu powiedział Hajdajenko. — Musisz być szczęśliwa z takimi włosami — pochylił się ku niej. W oczach miał ironiczne iskierki, ale gdzieś na samym dnie tych oczu, bardzo daleko i bardzo głęboko, przytała się starannie ukryta powaga. Ich spojrzenia się spotkały, nauczycielka nie

wytrzymała, opuściła głowę, wyrwała z ziemi jakąś trawkę. Na złamanym źdźbłe ukazała się kropelka gęstego, przejrzystego soku.

— Jak tam u ciebie w pracy?

— W pracy jak w pracy. Bywa ciekawie, bywa i nieciekawie. Ale na takie pytania zawsze odpowiada się „dobrze”. Nie wiesz dlaczego?

— Nie — uśmiechnęła się.

— Ja też nie wiem. Patrz, już jesień — skinał na drzewa.

Pośród ciemnej zieleni płonęło kilka jaskrawożółtych liści.

— Są trzy wypadki — Hajdajenko odchylił się od kamienia i objął kolana rękami. — Pierwszy — kiedy człowiek jest zaczarowaną duszą, drugi — kiedy nie jest zaczarowaną duszą, i trzeci — kiedy nie można człowieka podciągnąć pod żadne z tych dwu pojęć.

— Ty jesteś ten trzeci?

— Prawdopodobnie. Chcesz się przejść? — podniósł się.

— Chodźmy — nauczycielka narzuciła sukienkę i zapięła guziki.

— Tylko nie upinaj włosów.

— Nie pójdę przecież taka potargana — uśmiechnęła się. — Nie mam osiemnastu lat.

— No dobrze — Hajdajenko gryzł jakieś źdźbło. — Więc co ci powiedzieć? Marta mi mówiła — nachylił się i z bliska spojrzał jej w twarz — że ty jesteś nadzwyczajną kobietą. To prawda?

— Niestety, nic nadzwyczajnego.

Szli pod górę, pokonując dość strome zbocze. Krzaki drapały boleśnie, po nogach smagały cienkie jak różgi gałązki. Pachniało zeszłorocznymi liśćmi.

— Dokąd mnie prowadzisz?

— Pokażę ci ładne widoki — zwrócił ku niej prawie pogodną twarz.

Weszli na samą górę i przystanęli. Sierpień owionął ich wonnym, gorącym wiatrem. Odurzająco pachniała macierzanka, głośno grały świerszcze. Pola ciągnęły się słomianymi rzędami półkopków, na ścierniskach, niby niebieskie krople, kołysały się pojedyncze bławatki. A w dole miasto ukryte wśród zieleni, granatowa wstęga szosy wybiegała z niego na most i gubiła się wśród pagórków. Hajdajenko zasapał się, puścił rękę nauczycielki, otarł chustką spocone czoło i spojrzał na nią spod oka. Coś nieznajomego błysnęło w jego spojrzeniu. Na wpół łyśa głowa była wilgotna od potu, rzadkie popielate włosy wyglądały jak spleciona pajęczyna.

S z e w c

Szewc myślał o córce. Z dziwnym uczuciem powracał do czasu, który tak szybko i niepostrzeżenie stał się przeszłością. Zdawało mu się, jakby całkiem niedawno szedł z dworca, niosąc płaszcz i plecak, i ze zdumieniem rozglądał się dokoła. Miasto uderzało ciszą, pachniało mokrą cegłą, z ruin wyglądały nieśmiałe drzewka. Szedł jakby czarnym, ciemnym tunelem i myślał o tej ciszy. Potem przystanął i długo patrzył na miejski zegar leżący na placu przed kościołem...

Piwo osiadało w kuflu, tracąc pianę. Zina krzątała się w swojej klitce, ciemne plamy pod jej pachami rozlewały się coraz szerzej. Plecy też miała mokre, nad górną wargą wystąpił rześisty pot.

— Coś się tak zafrasował? — przysunął się Hołobucki. Jego wilgotna łysina błyszczała, usta chwytaly powietrze, oczy w dwóch obwisłych workach biegały jak na łóżyskach.

— Myśli, jak by się pocałować z baptystką! — ostrym falsetem wykrzyknął Musijczuk.

— Ile lat ma twój syn? — spytał Paweł Stacha Bondara.

— Dwadzieścia.

Szewc zapatrzył się na latarnię wiszącą nad urwiskiem, która oświeślała porośnięte chmielem i tarniną zbocze.

— Zauważyłeś, jak one zleciały?

— A po co się nad tym zastanawiać? — Hołobucki wytarł dłonią twarz. — Lecą, niech sobie lecą.

Musijczuk wytrzeszczył pijane oczki i zachichotał.

...Tak, to było całkiem niedawno. Podszedł wtedy do zegara i spróbował przesunąć pogięte wskazówki. Obracały się nad podziw lekko. Ustawił obie na cyfrze 12, bo ta godzina oznaczała dla niego dom, powrót, wokół niej często krążyły jego myśli. Podniósł zegar i oparł o mur. Z żalem patrzył na spękaną porcelanową tarczę — nieruchome wskazówki tworzyły jedną linię. Pomyslał wtedy, że ta linia oddziela wszystko, co przeżył, od tego nowego, w które właśnie wstępował...

— Mówisz o czasie — Stach Bondar uniósł znad kufła swą płaską twarz. — Czy tak dawno było się dzieckiem? Niedawno, a co się z tego pamięta?

— Moja córka wychodzi za mąż — powiedział Paweł.

— Czy nie za wcześniej? — z zainteresowaniem wtrąciła Zina.

— Otóż to, ja też mówię, że za wcześniej. Ale czyż dzisiaj dzieci słuchają rodziców? Kiedyś słowo rodzicielskie było święte.

— Pasem ich — Hołobucki pociągnął łyk piwa. — Jeden bity wart jest dwóch nie bitych.

Musijczuk czknął: zemdliło go. Stach Bondar wstał,

wziął go za kołnierz i powlókł w ciemność. Zina wyprostowała się, okrągłą twarz skrzywił grymas.

— Po co to pić w taki upał — powiedziała.

— Ja w lecie nie piję, nie — szewc stuknął kantem dłoni o stół.

— Ja swego najstarszego młóciłem co dzień — Hołobucki odchylił się na oparcie krzesła. — Myślisz, że nie pomogło? Wymęczył pięć klas, a wtedy powiedziałem: dosyć! Do roboty, psia twoja mać. Ja mam tylko dwie ręce, zarabiam na siebie sam. I poszedł. Całe zło w tym, że za dużo uczonych się namnożyło. Ja bym ich deptał, deptał... — jego oczki w dwóch wąskich szczelinkach przygasły.

— Tyle tylko potrafisz — Zina zagrzechotała talerzami.

— Pewno, że potrafię — krzyknął Hołobucki. — Bo ja na własnej skórze się przekonałem, co to znaczy zarobić rubla. A zarobiłeś człowieku — hulaj! Siedzi nam tych uczonych na karku... — rozłożył ręce. — Trzeba ich bić!

— Jesteś pijany i głupi — Zina odwróciła zmęczoną twarz.

— A rewolucja po co była? Żeby znowu oni się panoszyli?

Z ciemności wynurzył się mężczyzna w białym kapeluszu i rozmowa od razu się urwała. Mężczyzna zdjął kapelusz, mrużąc krótkowzroczne oczy popatrzył na towarzystwo.

— Zino, pacjent — powiedział szewc.

— Proszę o piwo — mężczyzna bębnił palcem po stole.

...Jakby całkiem niedawno skręcił z placu, gdzie leżał pogruchotany zegar, w ulicę biegnącą z góry. Tunel, przez który przejeżdżał tramwaj, zawalił się, nawet szyny były rozebrane. Spotkał po drodze kilkoro niezna-

mych ludzi i w pewnej chwili przystanął, bał się iść dalej. Usiadł na kamieniu nad rzeką i słuchał, jak szumi woda. Prąd załamywał się miękko, gdy włożył rękę do wody, o palce ocierały się ruchliwe drobne rybki. Od razu je poznał: jedwabiste zielonkawe ciała i jasnożółte oczka o dużych, czarnych żrenicach...

Zina przyniosła piwo, nowy gość wolno zaczął pić. Wypił, zapłacił i wyszedł. Wszyscy popatrzyli za nim. Stach Bondar przywłókł Musijczuka.

— Schlał się jak świnia — pchnął starego na krzesło i wytarł ręce. Musijczuk złożył wargi w ciup i coś tam zawył ochryple.

— Stachu — nachylił się szewc. — Pamiętasz, jak tą ulicą chodził tramwaj? Aż do rzeki...

— A chodził.

...Minał tunel, gdzie kiedyś chodził tramwaj, trochę dalej miał być jego dom. Czuł, jak ciąży mu głowa, a gdzieś głęboko w mózgu, niby iskra na nieprzejrzystym tle, trwało palące napięcie.

— Trzeba się szykować do wesela — Paweł przy-mrużył oczy. — Dzieci teraz mówią, że się żenia, kiedy się już pożeniły.

— Myślisz, że u mnie nie było tak samo? — rzekł Stach Bondar.

Siedzieli przy stole pod upstrzoną przez muchy żarówką. Brązowe ćmy parzyły skrzydełka o gorące szkło. Zina hurkotała talerzami, na jej plecach mocno napi-nała się mokra od potu suknia. Szewc oparł się łokcia-mi na stole i patrzył przed siebie nie widzącymi oczami, z nieruchomą twarzą, poddając się nastrojowi wieczora, nastrojowi wspomnień.

...Maria była bardzo chuda, zobaczył to rano, kiedy nachylił się nad nią. Nie potrafiłby nawet powiedzieć, jaka ona jest: młoda, stara? Po prostu znajoma i bardzo droga...

Przeprowadził linię, która oddzieliła go od wojny, dymu, huków, jęków i krwi. I nigdy więcej poza nią nie zaglądał. A na granicy tych dwóch czasów były narodziny syna...

— Pamiętasz — Stach Bondar przysunął się do Pawła — w tym miejscu, gdzie siedzimy, było kiedyś więzienie.

— Słyszeliście już? — Hołobucki wolno zdmuchnął z kufła pianę. — Pod siódmym umarł Karpenko.

— Młodszy ode mnie o dwa lata — uzupełnił Paweł.

— Zino, daj wódki — Musijczuk podniósł zamglone oczki.

— Dałabym ci łupnia, gdybyś ty był mój.

— Dostało ci się! — zaśmiał się Hołobucki.

Musijczuk głośno czknął. Jego mała główka zwisała bezsilnie na cienkiej szyi.

— Gdyby mój pił, prałabym go w dzień i w nocy.

— Twój już swoje wypił. — Hołobucki spojrzał na nią uważnie: — Dlaczego nie wychodzisz za mąż, Zino?

— Wyjdź za takiego — przepije i siebie, i żonę — ze złością odpowiedziała Zina.

— To znajdź sobie lepszego — śmiał się Hołobucki.

Szewc obserwował dużą ćmę, która wpadła do musztardy i taplała się w niej trzepocąc bezradnie skrzydełkami. Znów poczuł znajomy niepokój, połączony z napięciem w całym ciele. W takich chwilach coś go pędziło z domu, więc przychodził tutaj. Ale i tu zjawiało się to samo uczucie i wtedy wychodził na ulicę. Długo błąkał się po mieście, a potem, zmęczony i rozbity, wracał do domu, gdzie Maria opowiadała mu o wszystkim, co się zdarzyło w ciągu dnia. Mówiła o pani Cukrowej i artystce, o dozorczydni i Eleonorze, o dzieciach i dorosłych, o kłótniach i sprzeczkach, o nowych towa-

rach w sklepie i o kolejkach. Słuchał, potulnie pomrukując, i zasypiał przy jej świszczącym szepcie. Rano wychodził do pracy, niespiesznie wędrował uśpionymi jeszcze ulicami — siedł aż na drugi kraniec miasta. Spotykani przechodnie wchodzili w ranek tak samo jak on — też mieli swoje dni, wieczory i noce...

— Marnie teraz zarabiam — skarżył się Stach Bondar patrząc smutnymi oczami na szewca. — Już nie te siły. Młodzi wyprzedzają.

— Nie martw się, Stachu — szewc włożył do ust papierosa i potarł zapalną. — Pójdziemy na rentę, wtedy się już nasiedzisz i należysz.

— Właśnie, należę się — Stach Bondar pokiwał głową. — Powiedz mi, pamiętasz, jak byłeś chłopcem? A czyż to tak dawno było?

— Bzdura — Hołobucki naciągnął czapkę na łysinę i podniósł się. — Bzdura — powtórzył i zatoczył się. Machnął ręką na pożegnanie i z wolna rozplynał się w czarnej jak smoła ciemności.

— Będzie bił żonę — ponuro rzucił za nim Stach Bondar.

...Szewcowi przypomniało się zebranie baptystów. I palec pastora sunący po białym polu pomiędzy wierzbami książki. O szybę tłukła się mucha, a gruba kobieta obok niego szeleściła taftą. „Powinniście panować nad swoimi poczynaniami, zmierzać ku nieomyślnej prawdzie, a wtedy dostąpicie...”

— Zino, wódki! — jak zgrzyt padł w ciszę głos Musijczuka.

Szewc wzdrygnął się.

— Zaraz go stąd zabiorę. — Stach Bondar niżej pochylił się nad stołem. — Ale to naprawdę ciekawe: jeszcze pamiętasz siebie, jak byłeś małym chłopcem, a twoje dzieci już strugają dzieci. Chcesz, napijemy się wódki?

— Nie chcę — Paweł otarł mokre od piwa usta. — Byłem u baptystów, wcale się z tym nie kryję. Są tacy, którzy tam chodzą, a dlaczego?

Powiódł dokoła okrągłymi, otoczonymi siatką zmarszczek oczami.

— Pytam się, dlaczego? Ludzie wierzą w Boga, a dlaczego?

— Poszlibyście już do domu — Zina wykręciła myjkę, którą zmywała naczynia. Biała mydlana piana spływała po jej zaciśniętych palcach.

— Odczep się — machnął na nią ręką szewc.

— No, dlaczego? — Stach Bondar ziewnął, zakrywając usta dużą dłonią.

— Bo się boją śmierci — szepnął szewc ze wzrokiem nieruchomo utkwionym w powietrze.

Musijczuk czknął i pokręcił głową.

— Świnia — burknął Stach Bondar. — Nażłopał się jak świnia. Zaraz go odprowadzę. A moja matka nie bała się śmierci.

— Bała się — twardo oświadczył szewc. — Ale wierzyła, że tam — pokręcił palcem nad głową — jest raj. A tam nic nie ma.

— Kończcie już, mędrcy — Zina przystanęła obok nich i ujęła się pod boki. — I po co to było tyle pić. Jak wasze żony z wami wytrzymują?

— A ty byś nie wytrzymała? — zrobił do niej oko Paweł.

— Na sznureczku byś chodził — dobrodusznie powiedziała Zina.

Stach Bondar wstał, wziął pod pachę Musijczuka i zwrócił ku nim bladą twarz:

— Do widzenia.

— Idź, idź — wypchnęła go Zina. — A ty czego jeszcze siedzisz?

Paweł przebierał krótkimi palcami po stole. Jak wte-

dy, kiedy wrócił z wojny, lękał się przestąpić jakąś ważną, ale jeszcze niewiadomą granicę.

— Patrzysz na mnie jak na człowieka straconego.

— Coś ty, czy ja cię nie znam?

— Nie — pokręcił głową. — Nie znasz mnie, Zino. Jestem lepszy, niż myślisz.

— Czy ja coś mówiłam?

— Nic nie mówiłaś, ale zobaczysz!

Wstał i naciągnął marynarkę.

— Tak, wróć teraz do domu — rzekł cicho, zwracając się do Ziny — a ona, myślisz, będzie krzyczała? Ani słóweczka... Już bym wolał, żeby pokrzyczała.

— Przestałbyś pić, Pawełku — Zina ustawiała krzesła na stolikach. — Tyś dobry człowiek.

— Nie wszystko od razu, Zino — szewc zachwiał się. — Jeszcze tylko pójde w jedno miejsce...

— No idź już, idź...

Ociągając się wyszedł wreszcie. Głębokie niebo mrugało dużymi gwiazdami. Szedł nierównym chodnikiem, obijając o kamienie czubki butów. Wilgotne powietrze łaskotało twarz, wciskało się za rozpięty kołnierz. Na bruku tańczyły cieniutkie jak igły promyki gwiazd. I gdzieś daleko, daleko buczał ochryple, niby mucha zaplątana w pajęczynę, motor jakiegoś samochodu.

Najpierw wyszedł kościelny. Wolno i uroczyście zmierzzał ku ołtarzowi. Biała komża, opadająca równymi fałdami w dół, odbijała od ciemnego tła murów. W mętym mroku zapalały się płomyki świec. Żółte jęczyczki podrygiwały nad skręconymi knotami. Pachniało woskiem, stearyną i świerkiem. Cisza stała się jeszcze bardziej odczuwalna. W kącie ktoś zakaszlał, lecz ani jedna głowa nie odwróciła się.

Ostry dźwięk dzwonka przeciął ciszę, tłum ożywił się. Jakaś starsza kobieta obok zaciśnęła usta, mężczyzna koło niej nerwowo odwrócił kartkę modlitewnika i zniechęcił się w oczekiwaniu. W górze zabrzmiały pierwsze dźwięki organów. Muzyka wypełniła wszystkie zakątki świątyni, toczyła się po ścianach, opadała, to znów wzbijała się pod sklepienie. Wyszedł ksiądz, stanął przed ołtarzem, zaśpiewał. Ministranci wtórowali mu cienkimi, czystymi głosami. Ksiądz pochylił się do przodu i znowu odezwały się organy. Twarze obecnych wyciągnęły się, zniechęciły i naraz setki ust rozchyliły się — popłynął śpiew. Usta poruszały się spazmatycznie, rozciągały się i zwężały. W zaciśniętych dłoniach drżały modlitewniki. I wciąż ten grzmot organów. A głosy wznosiły się wyżej i wyżej. Tłum poruszył się, zaszeleściły gazety, ludzie wolno opuszczali się na kolana. Szewc rozejrzał się ze zmieszaniem. Ludzie śpiewali klęcząc na taflach posadzki i kołysząc się w takt śpiewu. Organy sprawiały wrażenie jakiejś maszyny, która chwytając obnażone nerwy i wypruwiała je z człowieka, nawijając na drewniane szpulki. Szewc czuł, jak rumieniec wstydu zalewa mu twarz. Sam jeden sterczał pośrodku kościoła, a gniewne spojrzenia niby lance wpijały się w niego. Kołysały się żółte płomyki świec, ich czad tamował oddech. Miał uczucie, jakby deptał po ludzkich ciałach. Chciał już też uklęknąć, lecz jakaś niewidzialna siła trzymała go ponad głowami tłumu. Zdało mu się, że trwa to już nieskończenie długo; połykał gorzką ślinę, usiłując opanować mdłości podchodzące do gardła.

Wreszcie ksiądz się poruszył. Znużonym krokiem wszedł na ambonę. Ucichły śpiew i muzyka, ludzie podnosili się z klęzek. Ksiądz patrzył na tłum ciemnymi, surowymi oczami i zaczął wolno: „Bóg stworzył nas po to, byśmy go poznali, kochali, służyli mu i w ten spo-

sób osiągnęli wieczne zbawienie. Chrześcijanin-katolik musi wierzyć we wszystko, co Bóg mu przez Kościół swój objawia. Wielkie zwątpienie idzie przez świat, ni-by człowiek, co błądzi od drzwi do drzwi. Pan Bóg po-dejdzie i spyta każdego z was: co uczyniłeś dla chwały imienia Bożego? I cóż odpowiecie? Pograżeni w bagnie pychy, niewiary i obojętności staliśmy się schizmatykami! — ksiądz wyrzucił przed siebie rękę, w jego głosie zadźwięczał metal, w oczach błysnęły skry. — Bóg mi-łościwy, wieczny, zna drogę do każdego. Czyż twój duch nie pragnie, wzgardziwszy rutyną życia, wznieść się w świat ideału? Czy nie słyszysz głosu, który przemawia w twej duszy: *Ad maiora natus sum*. Każdy z nas zrodzony jest do rzeczy wielkich. Trzeba ich szukać, bracia moi. I szukać na drodze, która wiedzie do Boga. — Ksiądz podniósł głos i wybuchnął gniewem: — A wy, coście wzgardzili imieniem Bożym — krzyknął — czeka was kara, kara! Sami wymyślicie mękę dla siebie!”

Szewc stał ściśnięty ze wszystkich stron w gorącym tłumie. Z powagą i skupieniem patrzyli wszyscy na ambonę, skąd z zapalem przemawiał mały człowieczek o dużej, grubej twarzy. Ksiądz wolno zszedł z ambony, spod sutanny powszednio mignęła podeszwa z mikroporowatej gumy. Światelka elektrycznych świec przy ołtarzu wydawały się martwe w porównaniu z płomykami świec prawdziwych. Ksiądz pomachał kadzielnicą dookoła siebie, zapachniało kadzidłem; ten zapach przypominał cmentarz, suche wieńce ze sztucznych kwiatów i muzykę orkiestry dętej. Szewc patrzył na pochyłą postać księdza usiłując sobie przypomnieć, o czym on mówił. Z pamięci wyłaniały się pojedyncze słowa, ale ich sens zgubił się gdzieś bezpowrotnie. Czuć było potem i nieświeżym oddechem setek ust. A z góry lało się żółte martwe światło, mieniając się zielonkawym re-

fleksem na niebieskich ścianach, i to też przypominało cmentarze z ich nienaturalnie bujną zielenią i barwin-kiem...

Uroczyście zabrzmiały w całkowitej ciszy organy, wszyscy znów poruszyli się i poczęli śpiewać, unosząc w górę oczy. Zatrzepotały płomyki świec. Szewc stał pośród owych błagalnych spojrzeń, zdawało się, że zaraz ludzie runą na kolana i staną się o połowę mniejsi. A on znów będzie sterczał sam jeden i będzie mu głupio. Ruszył ku bocznym drzwiom. W milczeniu robiono mu przejście, a on przekradał się obok dziesiątek oczu i dziesiątek otwartych ust. Ze wszystkich stron otaczały go ciemne, takie same postacie, aż raptem natknął się oczami na czarną taftową suknię. Kobieta była niezwykle podobna do tej z zebrania baptystów, wydało mu się nawet, że słyszy szelest tafty. Szybko przeszedł przez kościół, jego kroki rozlegały się głośno w nagle zapadłej ciszy...

Na dworze słońce zalewało kryte dachówką domy rozrzucone w dole, rzeka mieniła się srebrnymi błyskami, co były niby drogocenne ziarenka rozsypane w wodzie, a nad nią, usiłując pochwycić te błyski, latały jaskółki. Szewc przystanął pośrodku placu, rysy jego twarzy stwardniały, w znieruchomiałym wzroku pojawiło się skupienie.

S y n F e d o r a

Ranek wydarzył się cichy, od strony rzeki płynęły srebrne fale mgły, lecz syn Fedora nie przystanął, jak to miał w zwyczaju, na kamienistym grzbiecie pagórka. Dziś nie wabiło go ani ciche, spowite mgiełką zakole rzeki, ani poranne słońce, ani rybacy, których nieruchome sylwetki ciemniały nad wodą. Szybko szedł uli-

cą. Spotykał pojedynczych przechodniów, ale nawet ich nie zauważał, niepokój już wkradł się do serca. Przesunął nieuważnym spojrzeniem po dwóch rzędach dawnych sklepików żydowskich, które jeszcze spały za ciężkimi dębowymi drzwiami. Pachniało starym drzewem i wilgotnym brukiem. Zapalił papierosa, który błysnął płomykiem i zaraz zgasł. Wypluł go do kosza na śmieci i poszedł dalej, stąpając po nierównych płytach chodnika; ledwo się powstrzymywał, żeby nie biec.

Staął przed drzwiami laboratorium i wyjął klucze. Zgrzytnął zamek, powiało znajomym zapachem zwierząt, w głębi bulgotała woda — widocznie przyszła już laborantka. Syn Fedora szybko zbiegł schodami w dół. Ciężki zapach wiwarium zapierał oddech. W klatkach poruszyły się króliki, patrząc na niego czerwonymi oczami, morskie świnki wtykały nosy w otwory siatki, białe szczury miotały się od ścianki do ścianki, trątując się nawzajem. Podrzucił im karmy i przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Tu były psy. Trezor podniósł się, pomachał ogonem, Mucha patrzyła żałośnie, ale też wstała, Kort uniósł tylko kudłaty łeb. Syn Fedora pchnął jeszcze jedne drzwi. Tu stała klatka z królikiem, który leżał z wyciągniętym pyszczkiem, oczy miał na wpół przymknięte.

Laborantka weszła i stanęła za nim. Nachylił się nad klatką, uważnie przyglądając się zwierzątku.

— Pański kitel — usłyszał za sobą.

Wzdrygnął się, spojrzał na dziewczynę i włożył kitel.

— Dawno? — skinął na królika.

— Wczoraj wieczór.

— Dlaczego nikt mnie nie zawiadomił?

— Nie było pana w domu.

— Tak — syn Fedora wyprostował się. — Zrobimy sekcję.

— Kiedy?

— Zaraz, proszę przygotować wszystko, co trzeba.

Podszedł do okna i zapatrzył się przed siebie. Ulicą chodzili już ludzie; biegła w linii prostej, dalej było wzniesienie, nad którym górowała nadszczerbiona cerkiewna kopuła. Krzyże były zdjęte i sama kopuła ze swą zardzewiałą blachą ciemniała na tle nieba.

— Wszystko gotowe — powiedziała laborantka.

— Dziękuję — syn Fedora ciepło spojrzał na nią. Była to młoda dziewczyna, ze złotym puszkim nad warzą. — Była tu pani przez cały wieczór?

— Tak — odpowiedziała.

— To dobrze. A ja się wczoraj trochę zawieruszyłem — uśmiechnął się blade. — Profesora nie było?

— Nie. Nikogo wczoraj nie było.

Syn Fedora podszedł do kranu i począł starannie myć ręce.

— Jasne — powiedział rozciąwszy zwłoki. — Wszystko jest jasne.

— Co jest jasne? — spytała dziewczyna.

— E-e — syn Fedora skrzywił się.

Dziewczyna wzięła się do sprzątanía, syn Fedora wyszedł, pogładził Trezora, zatrzymał się przy klatce z morskimi świnkami. Zwierzątka sennie patrzyły na niego mętными oczkami. Westchnął, włożył ręce do kieszeni i wyszedłszy na schody, skierował się do swego działu.

— Dzień dobry — przywitał go Marcuniak. — Jak tam twoje sprawy?

— Prawie to samo co wczoraj.

— Cześć — powiedziała Kalinowska. — Słyszałam, że twój królik zdechł?

— Zdechł — odpowiedział syn Fedora. — Ale kiedy ty się już zdążyłaś dowiedzieć?

— Chyba nie wczoraj, skoro zdechł wieczorem.

Syn Fedora roześmiał się.

— Nie widzę w tym nic śmiesznego — wzruszyła ramionami Kalinowska.

— Ja też — odpowiedział jej syn Fedora.

— Ty naprawdę jesteś z tego zadowolony? — spytał go Iwaszczenko.

— Nadzwyczajnie — odpowiedział syn Fedora.

— Ale to na pewno nie jest jedyne wyjście — podniósł głowę znad stołu Stepanenko.

— Gdybyż to po raz pierwszy — z naciskiem rzekła Kalinowska.

— Co powiesz profesorowi? — Iwaszczenko zdjął okulary.

— Że do niczego się nie nadaję.

— Czy to prawda, że twego ojca wypuścili? — Kalinowska spojrzała na niego chłodnym wzrokiem.

— Wyobraż sobie!

— Teraz inne czasy — rzekł Stepanenko.

— A jednak Stalin zrobił bardzo wiele — Kalinowska spojrzała na niego surowo.

Syn Fedora usiadł przy stole. Czuł zmęczenie w całym ciele i ucisk w głowie, jakby zwała się na nią jakaś ciężka bryła.

— Tego można było oczekiwać — powiedział Iwaszczenko.

— Że królik zdechnie?

— Nie, ja o czym innym.

— Dawka była za duża — syn Fedora wolno wymawiał słowa. — Nad tym trzeba pomyśleć...

— Dziwny z ciebie człowiek — Kalinowska obrzuciła go wzgardliwym spojrzeniem. — Nie darmo nie dawano ci żadnej poważnej roboty.

— Daj spokój — gestem powstrzymał ją Stepanenko.

Syn Fedora podniósł się i wolno poszedł ku wyjściu.

— Wrócę za godzinę.

— Przyszedłeś dziś o godzinę wcześniej — powiedział Stepanenko.

Syn Fedora wyszedł z laboratorium i od razu chlusnął na niego hałas ulicy. Pomiedzy dwoma szeregami domów przystanęło olśniewające słońce. Spływał od niego na ziemię gęsty potok złotego światła. Zanurzył się w ten potok, rozplynał w nim i jakby stał się całkiem inny — nie taki zwyczajny i nie taki ograniczony. Wolno przeciął przejście dla pieszych i wszedł do tramwaju. Miał uczucie, jakby znalazł się na wysepce kołyszącej się w czystym powietrzu. A może to nie powietrze, lecz morze faluje wokoło, a zamiast chmur mkną po nim lekkie żaglowce? Syn Fedora patrzył na te żaglowce, prujące bezgłośnie niebieskie fale. Niosły mu szczęście, a on czuł, że czeka na nie już od bardzo dawna...

Dokoła ludzie rozmawiali, pchali się, deptali sobie po nogach i kłócili się. Konduktorka zbierała pieniądze za przejazd. Syn Fedora opuścił w jej dłoń o czerwonych, brudnych paznokciach swoje trzydzieści kopiejek i rzucił okiem na numer biletu. Numer nie był „szczęśliwy”.

Tramwaj szybko toczył się naprzód, przed oczami tylko migaly domy. Przypominało to wysoki parkan ze szczelinami. W dzieciństwie lubił biegać wzdłuż parkanu, z łoskotem przeciągając po deskach kijem. Słońce raz po raz błyskało w oczy, a na duszy było lekko i radośnie.

Szedł podmiejską uliczką, mijając zamknięte furtki, od których biegły wydeptane przez podwórze ścieżki. Malutkie okienka wyzierały spoza kwiatów georginii i malw, pobrzękiwały łańcuchami psy. Z ogrodów płynął zapach dojrzałej naci kartoflanej i rozgrzanych liści słoneczników. Żółte dynie leżały w ciepłym kurzu, przydrożne rowy gęsto były zarośnięte siwą lebiodą i piołunem. Kury rozsypały się po ulicy i zgodnie coś tam wy-

dziobiwały z kurzu. Z przeciwnej strony szły kobiety niosące wodę ze studni; słychać było, jak leci, rozbijając się o blachę wiader, zimny, iskrzący się strumień. Jakieś odległe skojarzenie, z czymś już zapomnianym, mignęło w duszy syna Fedora.

Koło sklepu było pusto. Tylko bosi chłopczyk siedział na schodkach i obgryzał kaczan kukurydzy.

Wala spojrzała na niego z półmroku sklepu.

— Zawsze przychodzisz niespodziewanie.

— Czy to źle? — spytał.

— Nie, nie ma w tym nic złego, ale to dziwne. Dać ci piwa?

— Dziękuję. Jeszcze nie jest tak gorąco.

— Dlaczego nie jesteś w pracy?

— Idę dziś na dziesiątą.

— Zaraz pójdziesz?

— Tak.

Wala podeszła do lady. Patrzył na znajomą szczupłą postać w mocno przewiązanym białym fartuchu.

— Nigdy cię jeszcze nigdzie nie zaprosiłem — powiedział.

— A chcesz zaprosić? — Mimo wszystko przyniosła mu piwa.

— Chcę.

— I dokąd pójdziemy?

— Pojedziemy do Kijowa. Wsiądziemy i pojedziemy. Podaruję ci pół świata.

— Jakiś ty hojny!

Popatrzył na nią uważnie i pokiwał głową.

— Jak myślisz, dlaczego ja do ciebie przychodzę?

— Pij — podsunęła mu butelkę i szklanę.

— Bo ty tchniesz ciszą — powiedział. — Nie wyobrazasz sobie, jak to wiele! Pewno po to przyszedłeś na świat, aby emanować ciszą — uśmiechnął się. — Lubisz hałas?

Wala wzruszyła ramionami.

— Jestem taka jak inne — powiedziała.

— Chodzisz wieczorami na tańce, potem chłopcy cię odprowadzają, rozmawiasz o nich z koleżankami, zajmujesz się domową robotą, znasz wszystkich swoich klientów i oni wszyscy ciebie znają...

— Tak — powiedziała Wala.

— A jednak jesteś inna. Tchniesz ciszą.

Nie odpowiedziała. Poszła w głąb sklepu i przyniosła mu serek.

— Jedz. Bardzo jesteś dziwny — oparła się łokciami na ladzie. — Ale dlaczego ja tobie tak ufam?

— Więc dokąd mam cię zaprosić? — spytał po prostu.

— Nie wiem. Chyba do kina.

— Dobrze, zapraszam cię do kina. A potem pojedziemy do Kijowa.

— To nie taka prosta rzecz — powiedziała rozważnie. — W ciągu jednego dnia nie zdąży się wiele zobaczyć. A żeby pojechać na więcej, trzeba jakoś dogadać się z rodzicami.

— Masz rację — przyznał. — No, lecę. A do kina musimy pójść. I na tańce. Odbiję cię wszystkim twoim kawalerom.

Wala śmiała się.

— Skąd ty się wzięłeś? — powiedziała. — Jakoś nawet nie zauważyłam, kiedyśmy się poznali.

— Kto wie, może ja naprawdę jestem twoim królewiczem.

Uśmiechnął się, a ona spoważniała. Na samym dnie dużych oczu mignął lęk, ale zaraz błysnęły w nich złote isierki. Syn Fedora włożył ręce do kieszeni, skinął głową na pożegnanie i wyszedł. A wokół triumfował sierpień. Złociły się w słońcu błyszczące, soczyste jabłka. Przed niewielkim domkiem krytym dachówką stał ogromny, dojrzały słonecznik, nisko opuściwszy ciężką

głowę, a szary wróbelek usilnie starał się dziobnąć go między oczy. Syn Fedora szedł myśląc o swojej pracy — dzisiaj znów będzie do północy siedział w laboratorium, pochylony nad mikroskopem. Wiedział, że Kalinowska pogardliwie wzruszy ramionami, dziwiąc się jego tępemu uporowi, że z profesorem będzie miał poważną rozmowę i że mimo wszystko będzie triumfował w swej zawziętości, jak triumfuje dziś po brzegi wypełniony słońcem sierpień.

S z e w c

Tam w mieście, wśród rozpalonych murów, zaczynał się już wieczór. Niedawno skończył się mecz piłki nożnej, szeroka ulica rozbrzmiewała męskimi głosami, ludzie szli prędko, wyprzedzając się nawzajem, i szewc nagle zapragnął ciszy. Skreślił w spokojną uliczkę i wstąpił na dywan gęstych cieni — słońce nie mogło się tu przebić przez szczelną zasłonę drzew. Otaczała go pyszna, bujna zieleń — ale przecież lato mijało, zielony aksamit ciszy tchnął jesienią. I czy to sprawiła ta właśnie cisza, czy może dzień był dziś osobliwy — naszły go naraz wspomnienia. Od czasów dzieciństwa upłynęło wiele, wiele chwil, pomyślał o tym z głębokim, acz przyjemnym smutkiem. Przepłynęły, przeszmiały i znikły...

Wyszedł nad rzekę i usiadł na kamieniu. Przypomniła mu się izba z wielkim wiejskim piecem, na którym, jak w gnieździe, siedziało ośmioro jego braci i sióstr. Większość z nich pomarła w dzieciństwie, dwoje zabrała wojna i on został na świecie sam. Stanęła mu przed oczami twarz matki, okolona szarą chustką, pokryta zmarszczkami i wiecznie zafrasowana. Matka gotowała na dwa dni gar barszczu i od rana do wieczora przepa-

dała na bazarze. Sprzedawała stare gazety, guziki, igły, szmaty, które zdobywała nie wiadomo skąd. A wieczorami chodziła myć podłogi do zamożnych ludzi i prała bieliznę. Pamiętał białą pianę spływającą z ciemnych, wychudłych matczynych rąk i podwórze zawsze zawieszane białymi prześcieradłami. Lubili bawić się pośród tych prześcieradeł, przypominały im one jakieś lekkie, baśniowe żaglowce.

Matka wracała późno z bazaru, często czuć było od niej wódkę, i wtedy przynosiła dzieciom obarzanki i bułki. A one już z daleka wykrzykiwały radośnie, gdy na tle pałającego nieba ukazywała się jej czarna, zgarbiona postać. Matka zawsze wracała od strony zachodu, kiedy na rzece, kołysząc się jak białe łódeczki, krzyczały gotujące się do nocy kaczki i słońce zachodziło za górę, rzucając czerwony blask na szyby. Matka szła ulicą, a za nią podnosiła się siwoczerwona kurzawa zmierzchu. Na plecach niosła duże czworokątne pudło — nie mogła się wyzbyć starych wiejskich nawyków — i jej postać wydawała się dlatego dziwnie szeroka w ramionach. Odgadywały jej niepewny chód — to znaczyło, że piła dziś i ma coś dla nich. Wolno wchodziła na podwórze, zdejmowała z ramion pudło, prostowała się. Zsuwała z głowy chustkę i patrzyła na nich dobrymi, pijanymi oczami. Potem rozdawała obarzanki — po jednym każdemu i po bułce na dwoje. Gładziła po głowie ciemnymi, sękatymi palcami, a zły płynęły po jej brązowych, pobrużdżonych policzkach. Tulili się wtedy wszyscy do niej, a ona dawała jeszcze każdemu po kogutku na patyku. Kogutki były słodkie, różowe i lepkie, pachniały przypalonym cukrem — w takich chwilach doznawali uczucia osobliwej, zaprawionej lekkim smutkiem, ale nad podziw czystej radości...

Szewc patrzył na mieniącą się rzekę i w tej samotności było mu dobrze...

Wyruszył za zarobkiem, kiedy miał dwanaście lat. W domu nie było co jeść, matka długo patrzyła na niego, potem upiekła placek z grubo mielonej mąki i zaprowadziła go do wsi, gdzie mieszkał jej daleki krewny. Wuj, potężne chłopisko o wielkiej twarzy, przyjrzał się Pawłowi chytrymi, wąskimi jak szparki oczami i nie wiadomo dlaczego pomacał jego chude ręce w miejscach, gdzie powinny być mięśnie. Nie wdawał się w długie rozmowy, bo roboty był huk — wszyscy chcieli chodzić w butach z cholewami! — i tylko gniewnie mruczał pod nosem: „Hołocie też się butów zachciewa!” Wujek miał go stale na oku. Gdy chłopiec nie dość starannie natarł woskiem dratwę, szybko nabierał na wielki, brudny palec kleju z mąki i przejeżdżał nim po wargach Pawła. Potem długo, z zadowoleniem rechotał, aż się trząsł pod fartuchem jego ogromny brzuch...

Szewc patrzył na płynące po rzece niebieskie łodzie. Siedziały w nich dziewczęta i głośno śpiewały. Zapragnął nagle, aby na którejś z tych łodzi, wśród tych dziewcząt, była i jego córka. Zapragnął, aby ta chwila, ten spokojny, zaciszny wieczór, z lekką mgiełką nad wodą i wspomnieniami nigdy się nie skończył...

W fabryce zaczął pracować po wojsku. Były to czasy głodu, w przedsiębiorstwie dawali mikroskopijny przydział chleba. Dyrektor wygłaszał przemówienia, apelował o nadobowiązkową pracę. „Kolacja będzie z chlebem” — mówił, i oni zostawali, bo byli młodzi i mieli dużo sił. A w domu było niewesoło. Najstarsza siostra zrobiła się strasznie gruba, jej skóra była niebieskawoszara. Matka zabierała z sobą na bazar oboje młodszych dzieci, przepadali tam do późna. Ale pewnego dnia nie zdołała już dojść do domu, Paweł znalazł ją na ulicy. Umarła szybko, bez zbędnych słów i testamentów. W pracy znowu mówili o kolacji z chlebem i on zanosił ten chleb do domu, gdzie czekały na niego trzy głodne

gęby. Otrzymał dyplom, to był bardzo piękny dyplom: kolorowe obramowanie z Dnieprogesem i łanami, na których pracował traktor, z fabrycznymi kominami i portretem Stalina w lewym rogu, z samolotami lecącymi nad groblą i zaporami wodnymi, z hutniczymi piecami. Pośrodku wmontowane jego zdjęcie: był wtedy młody i rwał się do pracy...

Szeweć podniósł się i wolno wyszedł na górę. Ich dom można było poznać z daleka — stary, żółty, z wąskimi oknami. A jednak dziś, może po raz pierwszy, poczuł, że i ten dom, i te żółte ściany są mu drogie...

Wspomniał wieczór, kiedy to poznał Marię. Przyszła kiedyś do ich fabryki, zatrzymano ją do obierania ziemniaków. Jemu natomiast polecono odprowadzić dziewczęta do domu. Maria mieszkała najdalej i w końcu zostali sam na sam. Był ciepły wieczór, szli zmęczeni, mijając uśpione obejścia, a ona opowiadała mu o swoim życiu, które prawie nie różniło się od jego życia. Jej rodzice też pomarli, pracowała i po ludziach, i w fabrykach. A parę lat temu okradziono ją, została w tym, co miała na sobie. Opowiadała o tym wszystkim jakoś tak zwyczajnie i jemu spodobała się ta jej szczerza prostota.

Szeweć zapalił papierosa i wszedł na podwórze. Dozorczyni polewała asfalt. Pozdrowił ją, zmierzając do swoich drzwi. Maria, która właśnie myła podłogę, uniosła głowę:

— Co tak wcześniej?

— Albo co?

— Nie lubisz siedzieć w domu — mruknęła, starannie wycierając wodę.

— Gdzie są dzieci? — spytał uroczystym tonem.

Maria wyprostowała się i popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Boria biega, a Lusja poszła do swego chłopaka.

— Wypadałoby go zaprosić — rzekł Paweł.

— Zaproś. Jesteś przecież ojcem.

— Musimy pomyśleć o weselu.

— Dużo mi dałeś pieniędzy?

Zaczął sapać, włożył rękę do kieszeni i wyjął plik banknotów.

— Masz — położył na stole.

— I ani rubla nie przepiłeś? — Maria podejrzliwie spojrzała na niego.

— Nie — odparł stanowczo. — Myślisz, że ja już jestem całkiem stracony?

Wolno usiadła na krześle, opuściwszy rękę z moką ścierką, na podłogę kapąły brudne krople. Patrzyła ze smutkiem przed siebie i szewc zakręcił się niespokojnie:

— No coś ty?

Podniosła na niego oczy.

— Nic, Pawełku. Pomyślałam, że ty zawsze byłeś dobry.

— Wezmę w pracy pożyczkę i pójdziemy kupić Lusi ładną sukienkę...

— Ona nie ma ładnej sukienki — przyznała Maria.

— Musi mieć ładną sukienkę — powtórzył szewc. — I myślisz, że to już wszystko? — mrugnął do żony. — Nie, to nie wszystko. Ja jej zrobię pantofle. Patrz — sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął dwie pary cholewek. — Dostałem w fabryce na taką okazję. Podobno najnowszy fason. Podeszwy kupię sam i myślę, że będą całkiem niezłe pantofle — gniótł w rękach białą skórę. — A na zakupy pójdziemy w niedzielę. Najłatwiej kupić gotową sukienkę, to prawda, ale może lepiej dać uszyć.

Maria siedziała przed nim jak przyrośnięta do krzesła. Jej chuda, pociągła twarz znieruchomiała — jakby w oczekiwaniu czegoś szczególnie ważnego. W pokoju zapadła cisza, słyszeć było tylko, jak skrzypi skóra w

rękach Pawła. Patrzyli oboje na siebie tak, jak nie patrzyli od dawna, od czasu gdy odeszła od nich młodość, a oni zaczęli się wstydzić mówienia o rzeczach, które należy rozumieć bez słów. Maria poczuła nagły skurcz w gardle, szybko przełknęła ślinę i uśmiechnęła się ciepło, mrugając powiekami...

Wrócił z wojska w trzydziestym drugim roku. Był w wysokich, chromowych butach, ciasno przylegających do nóg, w szerokich bryczesach i płaskiej czapce z gwiazdką. Najmłodsza siostra nie poznała go i wylekniona schowała się w kącie. Matka stała na progu, z ręką opartą na ramieniu najmłodszego brata; zza jej ramienia wyglądała najstarsza siostra i średni brat. Patrzyli na Pawła i uśmiechali się. Dwa lata wojska od razu wyleciały z pamięci, gdy tylko zobaczył swoich. Matka wyczuwała go, on uściskał dzieci, nawet najmłodsza siostrzyczka wylazła z kąta, bo od stołu smacznie zapachniało gościńcami. Poznała brata i cały wieczór siedziała u niego na kolanach, bojąc się poruszyć. Miała taką minę, jak wystraszone kocię. Napili się wódki i matka rozplakała się; brat milczał, starsza siostra zaczęła opowiadać, że mają ich wysiedlić: dom się wali, pójdzie na rozbiórkę, a im proponują piwnicę. Opowiadała długo, ze zbędnymi szczegółami. Matka siedziała przy stole i piła. Zauważył, że postarzała się, jej szczerne ręce całkiem wyschły, to już były tylko dwie ciemne kości...

Nazajutrz poszedł do urzędu mieszkaniowego. Za stołem siedział mokry od potu i łysy jak kolano mężczyzna. „Ty masz komunistyczną świadomość? — krzyczał do Pawła. — To po jakiegoż diabła tu przyszedłeś?” „Mam starą matkę i czworo rodzeństwa!” „Co ci poradę — wykrzykiwał mężczyzna. — Masz, zbuduj ze

mnie dom i wprowadzają się. Burżujskich domów już nie ma!” Paweł pochylił się nad stołem, z bliska zajrzał mu w twarz. Tamten zmrużył oczy i skulił się. Paweł chwycił go za barki i potrząsnął z całej siły: „Dom się wali — wrzasnął. — Dziś, jutro runie, a wy spychacie dzieci do piwnicy? Nie pójdę do piwnicy, a ty, żebyś miał stanąć na głowie, musisz zabezpieczyć dzieci!” „O-ho-ho! — krzyczał mężczyzna. — Ja ci zaraz zrobię chałupę i umieszczę w niej twoje dzieci. Daj mi siekiere, nigdy nie miałem jej w rękach, to ci zrobię dom!” Wytarł pot strumieniem spływający po twarzy i powiedział ciszej: „Sza, już coś wymyślimy. Tylko dlatego, że jesteś żołnierzem naszej sławnej armii, zrobię ci tę przysługę. Jest dom. Tylko sza. Głowa mi już puchnie od tych codziennych prośb... To brzydka, mała chałupka, sprzedaje się ją na licytacji. Weźmiesz udział w licytacji i będziesz ją targował. My ci pomożemy”.

Przeprowadzili się do małego domku nad rzeką. To było w lecie, a na wiosnę przyszła wielka woda i razem z krą uniosła ich domek i połowę mizernego dobytku, na który matka pracowała całe swoje życie. Teraz biegła po brzegu i zawodziła, wyciągając ku niebu czarne, kościste ręce. A potem ucichła, skuliła się i siedziała wśród tobołków jak czarna wrona. Mętne fale niosły szczątki mebli, belki i deski, próżną kołyskę, stół z odłamanymi nogami, resztki drewnianego mostu, wyrwane z korzeniami drzewo. Wszystko zmierzało w jednym kierunku, we wściekłym, niepowstrzymanym pędzie, rozlana szeroko woda rwała jak potok. Widać było, jak kra łamie na drugim brzegu drzewa, które niby drzazgi znikają w wodzie.

Paweł siedział na wzgórku i patrzył, jak buszuje i pnie się zły żywioł, jak pchają się na siebie ogromne kry. W miejscu, gdzie był ich domek, powstał wir, w którym pływały teraz suche sosnowe szczapy. Woda była

żółta od rozmytej gliny, niosła śmieci i próżne butelki, a Paweł siedział bez ruchu na tobołach, nie mając siły wyrwać się z odrętwienia.

— Gdzie mama? — spytał wreszcie. Dzieci obejrzały się. Daleko przed nimi, w świetle zachodzącego słońca, wchodziła pomiędzy domy samotna, zgarbiona postać. Paweł przytrzymał siostrę, która chciała biec za nią, a matka szła nie oglądając się, jej chude ręce bezsilnie zwisały wzdłuż ciała. Wróciła późną nocą. Paweł wciąż jeszcze siedział na tłumokach z najstarszą siostrą, młodsze dzieci rozeszły się po sąsiadach. Matka wyszła z gęstego mroku i stanęła kiwając się za ich plecami, nie śmiała podejść bliżej. „Niech mama siada” — powiedział, odwróciwszy się do niej Paweł. Matka usiadła nieśmiało, wyjęła z chustki i wetknęła im w ręce po obarzaneku. Paweł uśmiechnął się. Siostra gryzła czerstwy obarzanek, od matki czuć było wódkę. „Czy bardzo ci żal? — spytała. — Nie żałuj, Pawełku, wszystko popłynie — zamilkła, wpatrzona w rozszalałą wodę. — Co tam majątek, majątek też popłynie — powtórzyła cicho. — Ja całe życie go nie miałam, nie będę miała i teraz. Nic nie miałam oprócz was. A i z was została tylko garstka — szeptała już na ucho Pawłowi, dotykając jego ramienia kościstą ręką. — Wierz mi, ja dobrze wiem...”

— Niech mama idzie spać — łagodnie powiedział Paweł.

— Nie — pokręciła głową. — To już ja posiedzę, a wy idźcie. Dobra była chałupa...

Siedzieli tak do samego rana i matka znów przypominała czarną, nieszczęsną wronę. Rano wzięła swoje pudło i w milczeniu poszła na bazar. Długo chodziła, wypatrując towaru, targowała się, sprzedawała igły i stare gazety, a za zarobione pieniądze nakupiła dużych, słodkich cukierków w kolorowym papierkach...

Jej chuda postać zawsze była zgarbiona, oczy niespokojnie biegały. Dopiero po kieliszku uspokajała się, łagodnie ciepło promieniowało z jej jasnoszarych oczu, a na ustach pojawiał się spokojny, mądry uśmiech.

Kiedy woda opadła, poszli popatrzeć na dom. Cuchnęło błotem, rybą, na krzakach i burzanach wisiały wodorosty. Z domu zachował się tylko fundament, w piwnicy chlupała woda. Matka znalazła ożóg i porządnie go wymyła. Potem długo grzebała w gęstym rzeczonym mule...

Otrzymali mieszkanie pod dwunastym, Paweł już nie żałował, że nie ma własnego domu. Ale matka długo jeszcze tam chodziła i rozgrzebywała swoim ożogiem błotnisty szlam. Opierała się na nim jak na lasce i tak też pozostała mu w pamięci — czarna, zgarbiona, z niespokojnym spojrzeniem. Co dzień przynosiła znajome od dzieciństwa przedmioty: naparstek z przekłutymi igłą otworami, stare nożyce, młotek, żelazko na węgiel, połamany samowar, gar, w którym tyle lat gotowała barszcz. Długo jeszcze zносиła gwoździe, szewskie narzędzia, blaszanki, w których rosły ongiś kwiaty, a teraz pozostały tylko zgniłe badyle. Zapomniała nawet o bazarze i dopiero gdy roztajały ostatnie, najmniejsze kry, stanęła na brzegu i długo patrzyła w dal. Jej oczy dziwnie błyszczały, jakaś uroczysta wróciła wtedy do domu, złożyła cały odnaleziony skarb do płachty i odniosła na złom. A nazajutrz poszła na bazar i wróciła jak zawsze wieczorem. Jej postać kołysała się nierówno na złocistym tle, a w wielkim pudle na plecach przetaczały się obarzanki dla dzieci. Jasnoszare oczy patrzyły ciepło, na ustach miała mądry, spokojny uśmiech.. I z takim uśmiechem zeszła do grobu...

N a u c z y c i e l k a

Nauczycielka kupowała chleb. Gdy wkładała bochenek do torby, zobaczyła przez szybę Hajdajenkę. I nieoczekiwanie doznała uczucia, jakby spotkała kogoś bliskiego. Długo patrzyła, póki znajoma postać nie znikła za rogiem, i wtedy ogarnął ją smutek.

Z opuszczoną głową szła w stronę skwerku, rozmyślając. Życie ma swoje prawa: kobieta nie powinna pozostawać samotna, dziecko nie może być pozbawione rodziców, człowiek nie powinien czuć wokół siebie pustki. Usiadła na ławce i splotła ręce na kolanach. Od tych myśli rozboleła ją głowa, najchętniej zwinęłaby się w kłębuszek i żyła tak, jak żyją kwiaty, drzewa. Patrzyła, jak spomiędzy gęstych liści, oślepiając oczy, błyska słońce, wieczne i niezmiennie.

Myślała o Hajdajence. Nie, nie chciała zaczynać znów tego, co już odeszło w przeszłość. „Iwanku, musisz przypomnieć o sobie” — szeptała patrząc na migocące wśród listowia słoneczne błyski. Trzeba mieć zdecydowanie Zosi, by się na to odważyć. Ona by powiedziała: „Po co dreptać w miejscu, kiedy można iść naprzód?” A artystka? Ta uśmiechnęłaby się malowanymi wargami: „W naszych czasach traktuje się pewne sprawy bardziej naturalnie!” Człowiek stale natyka się na jakieś bariery, które tak trudno przekroczyć! A co powiedziałby dyrektor? „Jako czynnik moralny — powiedziałby — pani wierność to rzecz chwalebna. Ale życie, moja droga, jest życiem!” I obmacałby ją całą spojrzeniem. Bo w głębi jego oczu mimo wszystko kryje się zawsze drwina. A co powiedziałyby dzieci? One by jej powiedziały jedno słowo: „Tak!” Dzieci zawsze patrzyły na nią z powagą. „Jako czynnik moralny” — uśmiechnęła się.

A jednak Hajdajenko ją pociągał. Miał zmęczoną

twarz, na której często malowała się bezradność. Ale bywał też zły. Wtedy pani Cukrowa pukała do jej drzwi: „Pani nauczycielko, pani powinna tam pójść”. Wreszcie oboje byli tacy sami, oboje czepiali się przeszłości. Nauczycielka potarła skronie. „Tak, tak, tak” — powtórzyła sobie. Miała ochotę rozplakać się i ukryć gdzieś, jak mała dziewczynka.

Wiatr szeleścił wśród listowia, kołysząc drzewami, i niebo zdawało się kołysać. Obok przemknął na hulajnodze chłopak, w którym rozpoznała swego ucznia.

— Kornijczuk! — zawołała.

Chłopiec zatrzymał się, wepchnął koszulę w spodenki i podszedł ze spuszczoną głową.

— Cóż to, nie przywitasz się? — spytała łagodnie.

— Dzień dobry — burknął.

— Jak idzie zabawa?

Błysnął zębami w uśmiechu:

— Dobrze!

Mogła mu zwrócić uwagę za wyłażącą na wierzch koszulę i brudne, bose nogi, ale nic nie powiedziała, tylko przygładziła mu czarne, rozburzone włosy i lekko popchnęła:

— Idź, idź, baw się. Niedługo już do szkoły.

Patrzyła za odchodzącym chłopcem i wciąż jeszcze myślała o Hajdajence. Związki pomiędzy ludźmi często bywają bardzo efemeryczne i mogą mieć niezliczoną ilość odcieni. Pomyślała o Marcie. Kiedy Marta żyła, Hajdajenko był dla niej, jak inni — znajomy, ale obcy. Marta była czysta, aż jasna — miała duże, świetliste oczy dziecka, o wilgotnym, ciepłym spojrzeniu. Uczniowie jej nie słuchali, a ona nie mogła ich przekrzyczeć swoim cichym głosem. Gdy przychodziła do pokoju nauczycielskiego, całą przerwę siedziała skulona i płakała. Wtedy ona podchodziła do niej i łagodnie kładła jej rękę na ramieniu. „Nie potrafię być pedagogiem — poły-

kając łyżę mówiła Marta. — Absolutnie nie mogę sobie z nimi poradzić. Czy na nich musi się krzyczeć?” Po zajęciach razem wychodziły na ulicę i żeby rozerwać trochę Martę, Hanna zapraszała ją na lody. Siedziały na tarasie kawiarni, wiatr targał jasne włosy Marty, jej twarz się rozjaśniała. Miała ładny i dobry uśmiech. „Lubię dzieci — mawiała — i dlatego nie mogę na nie krzyczeć. Ja nie umiem krzyczeć. Czy tego też można się nauczyć?” „Nie wiem — odpowiadała Hanna — pewno można.” „W jaki sposób?” Nie mogła na to odpowiedzieć, nie chciała powtarzać tych wszystkich dobrych rad, jakimi nabijano im głowy na uczelni i jakie naukowo określa się nudnym słowem „metodyka”. Bywają sytuacje, których nie może przewidzieć najdoskonalsza teoria, bo rzeczywistość jest o wiele bardziej skomplikowana. A potem stało się nieszczęście...

Nauczycielka wzdrygnęła się. Wokół tak samo świeciło słońce i wesołe, słoneczne plamki skakały po jej nogach.

Obok jej ławki przeszła elegancko ubrana kobieta, z powagą popychając dziecięcy wózek. Wózek skrzypiał niemiłosiernie, ale kobieta miała spokojną, zadowoloną minę. Nauczycielka podniosła się i wolno poszła przed siebie. Naraz przystanęła, bo znów zobaczyła Hajdajenkę, idącego z rękami w kieszeniach. Cofnęła się w głąb alei i patrząc na niego pomyślała, że warto by im obojgu przekroczyć pewną barierę, nawet nie przekroczyć, ale pozwolić sobie na to w wyobraźni — a staną się sobie całkiem bliscy. I już ani rozsądek, ani sumienie nie zdołają ich zawrócić. Przelekła się tej myśli. Co na to powie pani Cukrowa? Będzie się użalała nad swoimi córkami, którym nie udało się wyjść za mąż. I będzie żałowała, że pukała do niej, aby przywróciła porządek i spokój w domu. „Jaki tam ze mnie arbiter!” — pomyślała. Szła wciąż przed siebie, nie widząc nawet, w

jakim kierunku, mijała ulicę za ulicą, przeciskała się przez tłumy ludzi i daremnie usiłowała opanować podniecenie. A nad głową wisiało rozpalone słońce, szeleściły drobne listki akacji, płynęły białe obłoczki i wpijały się w niebo anteny telewizorów.

— Mamy ostatnio szczęście — powiedziała.

Hajdajenko spojrzał na nią, w jego oczach błysnęła ciepła iskierka. Zauważyła tę iskierkę i zmieszała się. „Tak — powtórzyła w myśli — mamy szczęście do spotkań.”

— Posłuchałem twojej rady — zaczął Hajdajenko.

— Jakiej?

— Oddałem starszego do internatu, a małego do żłobka. Jak się okazuje, żłobek — to problem!

Pokiwała głową.

— Chodźmy do mnie, dawno już z nikim po ludzku nie rozmawiałem.

Stali przed bramą, w szerokim, gorącym potoku słońca. Tonęły w nim drzewa, domy i ulice z granatowym od skwaru asfaltem. Na czole Hajdajenki wystąpiły krople potu, twarz zrobiła mu się bardziej gładka i miękka. „Ludzie młodsze od słońca — pomyślała nauczycielka. — Kto to powiedział?” Opuściła głowę, żał się jej zrobiło tego, co mogło być, a nie było, żał, że tyle lat żyła w odrętwieniu. Wstrząsnęła włosami, jakby chciała odpędzić natrętne myśli, i spojrzawszy mu w oczy powiedziała:

— Ja też dawno z nikim po ludzku nie rozmawiałam.

Weszli na podwórze. Siedziała tu, jak zawsze, pani Cukrowa i nauczycielka poczuła nagły skurcz serca. „No, no, śmiało!” — sama sobie dodała otuchy. Na twarzy pani Cukrowej pojawiło się zaniepokojenie, ale

zaraz znikło. W bramie spotkali Kowalczukową, obójtnie przeszła obok nich. „Są ludzie, których nikt nie zauważa i którzy nikogo nie zauważają.”

Wolno szli schodami w górę. Pachniało kawą i wilgocią, na ścianach szarzały napisy wyskrobane przez dzieci w mokrym tynku, słychać było szum prymusa i brzęk naczyń. Nauczycielka szła za Hajdajenką i ukradkiem spoglądała na jego profil: szeroki nos, niezbyt starannie wygolony policzek... Dawniej też do nich czasem przychodziła. Ale wtedy jej odwiedziny nie miały tego głębokiego sensu, bo Marta potrafiła wszystko zneutralizować (jak gdyby nie istniała tak prosta rzecz, że czyjś mąż może się podobać innej kobiecie).

— Musisz tylko wybaczyć rozgardiasz — odwrócił się do niej Hajdajenko.

— Nie masz zamiaru przyjąć pomocy domowej?

— Nie, nauczyłem się sam prać białiznę, smażyć jajecznicę, gotować makaron... Proszę, wejdź.

Otworzył drzwi, ona ostrożnie przestąpiła próg i położyła na stole swój chleb. W mieszkaniu panował nieład: koc byle jak narzucony na pościel, na podłodze popielniczka pełna niedopałków. Hajdajenko podniósł popielniczkę i wyniósł do kuchni. Nauczycielka patrzyła na portret Marty wiszący nad łóżkiem.

— Pusto tu u mnie — powiedział Hajdajenko wróciwszy. — Przywykłem, że dom ma być pełen ludzi. Dlaczego nie wyjechałaś nigdzie na lato?

— Nie chciało mi się — odpowiedziała. — Poza tym absolutnie nie ma tam co robić.

— Czym mógłbym cię ugościć?

— Nie trudź się. Ja tylko na chwilę.

— Ostatnim razem naplotłem głupstw. Czy nie wydaje ci się, że nasze działania czasem bywają efemeryczne?

— Nie — odparła. — Wszystko zależy od tego, w jakim stopniu człowiek jest zaangażowany życiem.

— Co to znaczy „zaangażowany życiem”?

— Nic szczególnego. Człowiek żyje wśród ludzi — nauczycielka wolno wymawiała słowa, jakby to było dyktando na lekcji. — Żyje w rodzinie, w mieszkaniu, w domu, chodzi do pracy, spotyka się z innymi ludźmi — wyęźlała myśl, dobierając możliwie najcelniejszych słów. — To wszystko — to jego życie. I każdy człowiek szuka czegoś w tym życiu.

Pokiwał głową, nie odrywając od niej oczu.

— Tak, dzieci mnie zmęczyły, kiedy były ze mną, a teraz, kiedy ich nie ma, czuję pustkę. Bo, rozumiesz, w naszych czasach człowiek nie może być sam. Kiedy się jest młodym, ma się przyjaciół. Potem rozsiewają się oni po świecie, pozostają najwyżej dobrzy znajomi, których można zaprosić do siebie w święto. Gdy się ma rodzinę — nie ma mowy o samotności. Ale kiedy człowiek zostaje sam jak palec — nachylił się ku niej i oczymu błysnęły — wtedy w najlepszym razie ma się ochotę pić. W pracy co dzień wysłuchuję nie kończących się opowiadań kolegów o ich życiu. Łączą nas jednak tylko sprawy zawodowe, rozumiesz?

— Tak — odpowiedziała.

— Całej duszy w pracę włożyć nie można.

— Każda ma swoje uroki...

— Ale trzeba je znaleźć — skrzywił się. — Albo być tak prymitywnym, żeby znajdować zadowolenie w kreśleniu już nakreślonego.

— To też może być twórczym działaniem.

— Ale go nie ma, bo w większości biura konstrukcyjne same prawie o niczym nie stanowią. Otrzymują gotowe zadania. Ale nie o to chodzi. Mimo wszystko na życie człowieka składa się praca i czas poza pracą. Gdy

się traci przyjaciół, dom, kiedy to wszystko przestaje istnieć... Rozumiesz, dlaczego mówię o efemeryczności?

— Tak — nauczycielka spuściła oczy. Chętnie opowiedziałaby temu wytraconemu z koleiny człowiekowi o sobie. O wyschłych rękach świekry, wyciągających się ku ślepych oknom: „Tyś wielki, tyś wszechmocny, tyś miłosierny, Boże!” O małej Zoi i ich tańcowaniach, gdy wieczorem wracała do domu, o szkole, gdzie uczy dzieci, i o sytej gębie dyrektora: „Jako czynnik moralny”... Ale nic nie powiedziała, tylko ciepło popatrzyła na Hajdajenkę...

— A ja cię jednak czymś poczęstuję! — zakrzętała się. — Zaraz nastawię czajnik.

— Lepiej ja to zrobię.

— Co prawda, nie mam nic takiego...

— Na czym gotujesz?

— Na maszynce naftowej.

Podszedł do stołu kuchennego, potarł zapalnik, ale ją złamał. Nauczycielka wzięła od niego pudełko i zapaliła knot. Potem nabrała wody do szerniałego aluminiowego czajnika.

— Ile ty masz lat, Mikołaju?

— Trzydzieści pięć. A ty?

— Trzydzieści trzy — odpowiedziała. — Wydaje mi się, że ludzie trochę boją się siebie nawzajem. Nauczyli się mówić akurat tyle, by nie powiedzieć nic zbędnego.

Stała odwrócona do niego plecami. Przed sobą miała otwarte okno, a za nim — jasnoblękitne niebo.

— Nieraz miałbym ochotę zerwać się i gdzieś wyjechać.

— To wyjedź — powiedziała z prostotą.

— Tak — Hajdajenko oparł się o futrynę drzwi. — Ale zawsze coś stanie na przeszkodzie.

— Kiedy widzi się wokoło ludzi, mniej myśli się o sobie.

— Mam się uczyć od ludzi spokoju? — uśmiechnął się ironicznie.

— Ładu w życiu — poprawiła nauczycielka. — Cała tajemnica polega nie na tym, że ludzie umieją nie myśleć, ale na tym, że realnie podchodzą do życia.

— A ty nauczyłaś się tego?

— Tak.

— Jesteś kochana optymistka — powiedział. Otworzył drzwiczki kredensu i wyjął masło i chleb.

— Pozwolisz, że zrobię tu porządek — zaproponowała.

— Chyba nie sądzisz, że jestem aż taka niezdara.

— Skądże — uśmiechnęła się. — Wcale tak nie myślę. Po prostu mam ochotę ci pomóc.

Rzeczowo rozejrzała się po pokoju i pomyślała: „Przed wszystkim trzeba zdjąć firankę”. Oberwana z jednej strony firanka sięgała podłogi, błękitne niebo widziane przez nią wydawało się całkiem szare. Nauczycielka wzięła jakąś szmatę i poczęła ścierać kurz leżący wszędzie grubą warstwą. Należałoby wszystko wytrzeć, ale nie mogła teraz wyjść na podwórze. Zbyt wiele było ciekawskich oczu i złych języków. „A ludzkie języki są przecież wszechmocne, gdy idzie o czyjąś moralność” — pomyślała.

Weszła na krzesło i zdjęła z kąta gęstą pajęczynę.

— Sądzę, że nie pomyślisz sobie nic złego — powiedziała zwracając się do Hajdajenki, który stał z czajnikiem w ręce przy drzwiach od kuchni.

Z jego oczu znikła powaga.

— Oczywiście, że nie — odpowiedział.

Nie przekroczyli bariery. Za oknem latały jaskółki, jakby przed deszczem.

W e s e l e

— Jak myślisz, ile będzie gości? — spytał szewc, wycierając twarz niebiesko-różowym włochatym ręcznikiem. Dziś wstał wcześniej niż zwykle, ale i tak słońce zalewało już pokój.

— Trzeba policzyć — odparła Maria krzątając się przy stole.

— Mnie goście nie są potrzebni — wtrąciła się do rozmowy Lusia. W starej domowej sukience wyglądała jeszcze całkiem dziecinnie.

— Dajże spokój — szewc rzucił ręcznik na poręcz łóżka. — Czyż my nie możemy wyprawić porządnego wesela? Taka rzecz bywa tylko raz.

— Z naszej strony będzie ze dwadzieścia osób, teraz z ich — Maria zastanawiała się chwilę — razem będzie z pięćdziesiąt.

Szewc podszedł do okna i otworzył je na oścież. Wionęło zapachem rzeki — do środka szczerze napływało orzeźwiające powietrze. Ktoś szedł na dole, echo kroków odbijało się od przyprószonych rosą murów. Szewc przechylił się przez parapet: wyasfaltowany czworobok podwórza błyszczał, nierówno odzwierciedlając linie okien i rynien.

— Zrobimy wesele na dole — oświadczył zwracając się do żony.

— Urządzać teatr? — znów wtrąciła się Lusia.

— Co za teatr — rozzłościł się ojciec. — Chcesz zmieścić wszystkich gości w tej dziurze? Tu wejdziesz najwyżej dwadzieścia osób. A tam jest miejsce i na orkiestrę — można potańczyć na asfalcie. To nie to co piętro.

— A dlaczego jesteś taki pewny, że wesele będzie u nas?

— A u kogoż?

— Świetny pomysł — Lusia złożyła dłonie, zabierając się do mycia. — Cztery rzędy okien — proszę bardzo, wystawa, patrzcie i łykajcie ślinkę.

— Niech łykają — zaśmiał się szewc. — A ty byś może wolała, żeby się kryć? Ja nie chcę się kryć, bo lubię ludzi...

— Trzeba zaprosić jego rodziców i razem postanowić...

— Tylko się za bardzo nie zapalajcie. Bo naspraszacie i dalekich, i bliskich.

— O to już niech ciebie głowa nie boli — Maria gniewnie brzęknęła talerzem. — Tyś się zatroszczyła o to, żeby wyjść za mąż, to my się już zatroszczymy o wesele.

— Jeśli tak mówisz, to ja za wszystko dziękuję.

— O proszę! — Maria plasnęła jajkiem na patelnię, aż tłuszcz zaskwierczał, pryskając ciemnymi kulkami.

— Tylko się nie kłóćcie — szewc naciągnął koszulę. — Wyszła — to wyszła. My też nie byliśmy lepsi. A co do wesela, to rzeczywiście pozostaw już to nam.

Lusia popatrzyła na niego z wdzięcznością i to nieoczekiwanie wzruszyło go. Odwrócił się do okna, żeby ukryć rozczulenie — i oślepiło go słońce. Wielkie i olśniewające, stało w górnej szybce, zalewając pokój złotym ciepłem.

— To powiedziałaś, żeby przyszli?

Maria zdjęła patelnię z ognia i wyłożyła jajecznicę na talerz.

— Przyjdą — Lusia podeszła do lustra i poczęła się wycierać.

— To wszystko nie jest takie proste — mówił szewc. — Kiedy myśmy się pobierali, to co było? Bochenek chleba i duży baniak kartofli. No i samogon.

Maria spojrzała na męża, oczy jej zwilgotniały.

— A pamiętasz, jak Frajerman obiecał kolację z chlebem?

— Oho, już się zebrało na wspominki — mruknęła Lusia. — Już to słyszałam milion i jeden raz.

— Skoro cię to nie interesuje, to nie słuchaj — obraziła się Maria. — Ty też będziesz kiedyś opowiadać swoim dzieciom o sobie milion i dwa razy.

— Gdy człowiek ma co wspominać — szewc usiadł przy stole i przysunął do siebie talerz — to znaczy, że był szczęśliwy. Takich rzeczy się nie zapomina.

Lusia stała pośrodku pokoju i patrzyła to na ojca, to na matkę.

— Nie żyłaś w luksusach — Maria zalała kawę wrzątkiem. Mocny zapach rozszedł się po pokoju. — Ale wesele ci wyprawimy.

— Tam na dole będzie w sam raz — szewc podniósł do ust jajecznicę. — Kiedy już wychodzisz za męża, to wychodź jak ludzie...

— No dobrze, jak ludzie — Lusia rozczesywała włosy. — Ale skąd weźmiecie tyle pieniędzy?

Z pokoju wyszedł zaspany Borys.

— Jeszcze ciebie tu brakowało — Maria szybko zdjęła z płyty mleko. — Czemu nie śpisz?

— Takie krzyki, akurat można spać — odburknął mały.

— To nie twoje zmartwienie, pieniądze — powiedział ojciec. — Wesele wyprawimy my, a nie ty.

— Och, jaka jednomyślność.

— A coś ty chciała!

— Bor'ka, marsz stąd! — krzyknęła Lusia do brata.

— Co marsz, co marsz. A może ja chcę do ustępu!

— To idź i nie płacz się tutaj!

— Też mi panna młoda! — pogardliwie wykrzywił się Borys.

Lusia jak wichher skoczyła ku niemu i chwyciła go za barki.

— Ma-a! — wrzasnął chłopiec.

— No i czego ty od niego chcesz?

— Niech się stąd wynosi. Nie ma tu nic do słuchania!

— Idź, synku — powiedział ojciec. — Nie masz ładnej sukienki, Lusi. Jeszcze dzisiaj pójdziecie z mamą do salonu mody. Zamówisz białą, jak teraz się nosi.

— Naprawdę? — Lusia z radości klasnęła w dłonie.

— Dlaczego do salonu? Można by poprosić Święciką. Alboż ona źle szyje? — Maria zdjęła z ognia kawę.

— Żadnych Święcickich! To, że ty nie miałaś białej sukni — to takie były czasy. A ona ma mieć luksusową! I ty powinnaś to rozumieć.

— No, luksusową jak luksusową — Maria nalała do filiżanki gęstego naparu. — Żeby tylko ładnie uszyli.

— Ja wcale nie chcę luksusów — Lusia usiadła do stołu. — Ale w salonie, dobrze, mamo?

— Niech będzie. Nigdy tam jeszcze nie byłam.

— To będziesz.

Maria westchnęła i dołała do kawy mleka. Znowu zjawił się w kuchni Borys, ziewając od ucha do ucha.

— Mógłbyś chociaż zasłonić paszczę!

— A ciebie co to obchodzi?

— Jak ci zaraz dam, to zobaczysz, co.

— Uspokójcie się! — krzyknął ojciec. — Nie jesteś już dzieckiem, Lusi. Ktoś musi być mądrzejszy.

— Gdzie tam nie jest dzieckiem — Maria postawiła na ogniu patelnię. — Będiesz jadł śniadanie, Boria?

— Będę — burknął Borys. — Tylko nie chcę się myć!

— Fe, niechluj!

— Dobrze, że ty jesteś chluj — Borys obrażony poczłapał do pokoju.

Szewc popijał małymi łykami kawę z mlekiem i wspominał:

— A ile u nas było gości na weselu, Mario?

— Ileż? — Maria smażyła jajecznicę dla dzieci. — Twój brat nieboszczyk, Bujmustruk z żoną i Kornicki...

— Tak — szewc pokiwał głową i wstał zza stołu. — Już nikogo z nich nie ma, Mario. Bujmustruka powiesili Niemcy, pamiętasz?

Lusia przysłuchiwała się uważnie.

— Jego żona umarła. To była twoja koleżanka jeszcze z panieńskich czasów.

— A tak — westchnęła Maria.

— Brat nie wrócił z wojny. Pamiętasz, jak on wtedy się upił i tańczył?

Maria zapomniała o jajecznicy i patrzyła na męża. Całkiem tak, jak patrzyła na niego przeszło dwadzieścia lat temu.

— A Kornickiego wywieźli do Niemiec. To był jeszcze chłop jak dąb — powiedziała.

Lusia podeszła do maszynki i zdjęła przypaloną jajecznicę.

Młoda para siedziała u szczytu całego rzędu stołów nakrytych białymi obrusami. U góry zawieszono dwie latarnie, wokół nich krążyła ruda chmura owadów. Żółte światło spływało w dół dwoma równymi strumieniami, w których poruszały się twarze. Jadło i napitki rozebrały ludzi, rozmowy krzyżowały się, goście przekrzykiwali się nawzajem i tylko toasty skupiały uwagę wszystkich na chwilę.

— Orkiestra, tusz dla młodej pary! — zawołał szewc podnosząc się zza stołu. Z wąskiego kieliszka chlupnęło na obrus wino i rozpełzło się, wżerając się czerwonymi wąsikami w tkaninę. Zagrmiał tusz, Tola i Lusia wstali.

Muzykanci dmąć w trąby nadymali policzki, oczy im błyszczały od wypitych trunków. Szewc wolno powiódł wzrokiem po stołach i nie spiesząc się wychylił kieliszek.

— Coś ty za dużo pijesz — szturchnęła go Maria.

— Ach, Mario, w taki dzień... Czyż ty nie widzisz, co to za dzień?

— Nie zwracaj uwagi, kumo — odezwała się żona Fedora, ocierając usta. Przed nią stał talerz, kopiało napelniony ziemniakami, kotletami, smażoną rybą w sosie pomidorowym i galaretą. Jadła nie patrząc, co je — kotlety z rybą i rybę z sałatką.

— Nie znam nawet połowy z nich — powiedział Tola przyglądając się gościom.

— Ja też. Widocznie ty nie znasz moich, a ja twoich — Lusia uściśnęła pod stołem jego dłoń.

— Za głośno się zachowują — nachmurzył się Tola. — Chwilami zdaje mi się, że to nie nasze, ale ich wesele.

— Nie chmurz się — uśmiechnęła się do niego Lusia. — Dziś nie wolno...

— Rozumiem — spojrzał jej w oczy. — Kiedyś będziemy jeszcze wspominać ten dzień.

— Czyż on jest taki zły?

— Skądże. Chcesz, opowiem ci o moich?

— Najpierw ja o swoich...

Stach Bondar nachylił się nad stołem. Nad jego górną wargą błyszczały kropelki potu, które od czasu do czasu zlizywał różowym językiem.

— No i wydałeś córkę, Pawle.

— Wydałem — Paweł uniósł głowę. — Popatrz, jaka ładna...

— I zięć też niczego sobie chłopak.

— Pani nauczycielko, pani nauczycielko — mówiła głośno pani Cukrowa — pani wcale nie pije. To wiś-

nióweczka. Mario, pani nauczycielka nie chce skosztować twojej wiśnióweczki.

Pani Cukrowa miała maślane oczki, jej wargi lśniły od tłuszczu.

— Proszę wypić, pani Hanno!

— Ja już i tak jestem pijana.

Żona Fedora chwyciła wielki puchar i głośno wciągnęła w siebie skrzącą się, złocistą lemoniadę.

— Słuchaj — Lusia przytuliła się ramieniem do Toli. — Widzisz tam, na samym końcu? To ciotka Luda.

Ciotka Luda mrugała czerwonymi oczkami i bolesnym wzrokiem patrzyła na świat.

— Jego krewnych — szepnęła do ciotki Nasti — posadzili bliżej niż nas.

— Gdzie tam bliżej! — ciotka Nastia miała dobroduszny baryton.

— Ona jest taka śmieszna — Lusia przymknęła powieki, wspominając. — Zawsze przynosiła nam kolorowe kulki. Jej mąż był stolarzem, umarł w pięćdziesiątym drugim roku, robił bardzo ładne kulki. A wiesz, jaka ona pracowita? Jej dom to istne muzeum. Żelastwo, szmaty, podkowy, gwoździe, klucze — co tylko chcesz! — Lusia cicho zaśmiała się. — I o co byś tylko spytał, wszystko u niej jest.

Muzykanci usiedli przy stoliku specjalnie dla nich przygotowanym i oparli trąby o krzesła. Najstarszy z nich, ogromne, niezgrabne chłopisko, zagarnął widelcem porządną porcję galarety.

Nauczycielka myślała o swym nieoczekiwanym uczestnictwie w weselnym przyjęciu. Zaproszono ją, gdy tylko pokazała się na podwórzu, nie pozwolono nawet wstąpić do domu. Usiadła, czując się trochę głupio — wypadałoby ofiarować młodemu jakiś prezent ślubny. Już po pierwszym kieliszku poczuła przyjemne odurze-

nie... Wspominała, jak zamiast wyprawiać wesele, pojechali z Iwanem zobaczyć morze, to było przed samą wojną. Pogoda się popsuła i morze było szare i puste. Tylko na redzie stały okręty. W Odessie kupili dużą morską muszlę z różowym brzuszkiem. Prawdopodobnie długo leżała w komisie, nim się doczekała swego kupca. „Podarowałabym ją wam — myślała nauczycielka patrząc na młodą parę — ale wam ona nic nie powie. Po prostu dla was to będzie muszla z różowym brzuszkiem.” Biegali po bezludnym morskim brzegu, wzięwszy się za ręce i pozostawiając na piasku okrągłe dołki — ślady bosych stóp...

— A tam siedzi żona Fedora, widzisz? — szeptała Lusia. — Strasznie lubi krupnik. Wieczór — krupnik, rano — krupnik. I na obiad. Popatrz tylko, jak ona dużo je — Lusia uśmiechała się pobłażliwie. — Wiesz, to też nasza krewna. Moja matka chrzestna. A kiedy przychodzi do nas w gościnę, siada tylko na miękkim...

Stach Bondar siedział koło swej żony i usiłował jak najczęściej wychylić kieliszek. Żona rozmawiała z sąsiadką i od czasu do czasu pociągała go za połę. Wzdychał i odstawiał kieliszek na stół.

— Napijmy się, Pawle — zwracał się do szewca.

— Dziady już z nas, Stachu — prawil szewc z pijanym uśmiechem. — To znaczy, ja jestem dziad. Ale ty też, Stachu.

— A dziad — przyznawał Stach. — Napijmy się za dziadostwo, szlag by to trafił!

— Co wam będę opowiadał — cienkim głosem wywodził swoje ojciec Toli. — W wojnę, kiedy się chodziło po sól do Berdyczowa, to ja z tą moją nogą — uniósł kolano spod obrusa — drałowałem, aż się kurzyło.

— A co to z tą nogą? — zainteresowała się ciotka Nastia.

— No, zaraz się zacznie — matka Toli ceremonialnie zesnurowała usta.

— Nie wtrącaj się, jak ja z kimś rozmawiam — bez złości powiedział ojciec Toli. — A z tą moją nogą, szanowna pani, to było tak: Jak miałem ze dwadzieścia lat, już wtedy nawet byłem żonaty, upadłem na kamień i roztrzaskałem rzepekę...

— Aj-aj-aj — pokiwała głową ciotka Nastia.

Główny muzykant nalał sobie potężny kufel piwa i wychylił.

— Wlej jeszcze do trąby, żeby się lepiej grało!

— Nie można — spokojnie odpowiedział główny muzykant. — Będzie bulgotać.

— A tam — Fedor — mówiła Lusia. — Wiesz, on siedział w więzieniu. Kiedy byłam małą, strasznie bałam się więzienia.

Fedor miał dużą, podługowatą twarz z masywnym podbródkiem — same kości obciągnięte szarą skórą. Nos rozszerzał się ku dołowi, dwoje niedużych, ale nad podziw dobrych oczu z zadumą patrzyło na świat i ludzi.

— Wcale go nie znałam — opowiadała Lusia. — Aż pewnego dnia wrócił. Stał na podwórzu i przyglądał się oknom. Wiesz, on nigdy się nie uśmiecha, a wtedy się uśmiechnął. Gdybyś ty widział ten uśmiech! Potem mi powiedziano, że to Fedor. Dotąd nikt o nim nawet nigdy nie wspomniał. To pewnie musi być straszne, kiedy człowieka nikt nie wspomina. Pani Cukrowa poznała go i przestraszyła się. Podebrała spódnice i w nogi...

— Opowiadaliście o Berdyczowie — odezwała się kobieta z bujnym biustem. — W wojnę i ja tam chodziłam. Przychodzimy pewnego razu, a tam pełno porozrzucanej skóry. Nabraliśmy soli z jam, brudna była ta sól, ale skąd wziąć inną, obwiązaliśmy się skórą i idziemy. A na Puszkina złapał nas patrol. No, myślę sobie, koniec ze mną. Poprowadzili nas, a ja rozluźniłam sznurek pod

piersiami i wyrzucam po skórcie na ulicę. Nawet nas wtędy nie zrewidowali. Odebrali sól i przepędzili...

Syn Fedora patrzył na gości. Trochę to było dziwne, że mała Luśka, która jeszcze niedawno ganiała po podwórzu z innymi dziećmi, już wychodzi za mąż. Myślał o sobie, że ma już dwadzieścia osiem lat i że ostatnio nachodzi go nieraz jakiś niepokój. „Trzeba więcej pracować” — postanowił, grzebiąc widelcem w talerzu.

Maria wstała z za stołu i pobiegła do mieszkania, gdzie gospodarzyła dziś dozorczyńni.

— Poszlibyście, kumo, posiedzieć przy stole — powiedziała Maria.

— Ja już lepiej tu... — odparła zaaferowana dozorczyńni. — Co teraz podajemy?

— Dajmy makaron.

Poniosły na dwór miski napełnione parującym makaronem.

— O, nasze gospodynie — szewc był już pijaniuteńki. — Siądź, żono, wypijemy za nasze dawne czasy.

— Idźże, idźże — szepnęła Maria. — Już nażłopał się...

Szewc popatrzył na nią ciepłym wzrokiem.

— Stachu — nachylił się do Bondara. — Ty wiesz, o czym ja myślę? Że nikt z tych, co tańcowali na moim weselu, nie dożył dzisiejszego dnia. Jak myślisz, czy my doczekamy do wesela naszych wnuków?

— Kto to może wiedzieć? — Stach Bondar wychylił kieliszek. — Może i doczekamy. Aby tylko nie zerwała się zawierucha...

— Całe nasze życie było takie — szewc patrzył gdzieś dalej, na ciemny rząd okien naprzeciwko. — Wojna, głód, wojna... Dopiero teraz zaczynamy do czegoś dochodzić.

— Już i przed wojną było nie najgorzej.

— Co ja się nachodziłem po świecie, gdzie mnie dia-

bli nie nosili — ciągnął dalej szewc. — Tylko się nie śmieć — pogroził wielkim brązowym palcem. — I co myślisz, Stachu — nachylił się nad stołem — wszędzie jedno i to samo. Nie wiesz dlaczego?

— Widać nie tam chodziłeś, gdzie trzeba. — Stach Bondar nalał swój pusty kieliszek. — A po co o tym mówić. Napijmy się, niech to wszyscy diabli...

Szewc wstał.

— Uwaga — zawołał. Gwar ucichł, a on podniósł w górę kieliszek napełniony po same brzegi. — Posłuchajcie, co wam powiem, dzieci — zachwiał się, ale uchwycił się ręką oparcia krzesła. — To dla was bardzo ważne... Jak by to powiedzieć? O, dotąd słowa podchodzą — pokazał kieliszkiem na gardło — a wypowiedzieć nie mogę. Jednym słowem — zapamiętajcie ten rok. Tyśiąc dziewięćset pięćdziesiąty...

— Grać tusz? — szeptem spytał muzykant.

— Tusz? Nie, nie trzeba. W tej chwili nie trzeba.

Muzykant wrócił na swoje miejsce, a szewc osunął się znużony na krzesło.

— Może będziemy podawać słodkie? — zwróciła się dozorczyńni do Marii.

— Za wcześniej, niektórzy jeszcze jedzą. Jak skończą, wtedy podamy.

Żona Fedora wyciągnęła rękę przez stół i wzięła miszkę z parującym makaronem. Nałożyła sobie porządną porcję i z lubością popatrzyła na talerz.

— Ta kobieta — opowiadała Lusia wskazując na tę, co chodziła po sól do Berdyczowa — jest dla nas całkiem obca. Ale podczas wojny, kiedy byliśmy z mamą bez kawałka chleba, przynosiła nam to kartofle, to trochę mąki. Umiała to jakoś zdobywać i nigdy nie brała nic w zamian. Rodzice znali się z nią dawniej, ale ona nie jest naszą żadną krewną. A teraz jakby była kimś z najbliższej rodziny. Tak też może być, prawda?

— Może — odparł Tola. — A wiesz, co byłoby dobrze zrobić, Luś? Uciec stąd!

— Dokąd? — parsknęła Lusia.

— Chociażby nad rzekę. Myślisz, że zauważyliby?

— Naturalnie, że by zauważyli.

— Ale nie od razu. Popatrz, każdy jest zajęty sobą.

— A cóż ty byś chciał? Żeby cały czas patrzyli na nas?

— Nie wiem — wzruszył ramionami. — Ale kiedy zaczną krzyczeć „gorzko”, trzeba się będzie całować na oczach wszystkich?

— Ja też tego nie lubię — westchnęła Lusia. — Ale pewno trzeba będzie.

Tola dotknął palcami jej uda.

— Zwariowałeś? — przestraszyła się.

— Stęskniłem się za tobą.

— Całkiem zwariowałeś — Lusia spojrzała na niego czule.

Pani Cukrowa zwróciła swoją obrzękłą twarz w ich stronę i wpatrywała się w nich, mrugając bezbarwnymi rzęsami. Jej szerokie usta drgnęły i znieruchomiały. Pomyślała o swoich córkach: Katia polazła dzisiaj z Jaszą do kina, a Zosia stanowczo odmówiła pójścia na wesele.

— Chcesz, to ci opowiem o swoich? — zaczął Tola. — Ja mam same ciotki. Ojciec był jedynym chłopcem w rodzinie. O tam, na prawo, w kącie — ciotka Wira. Jak ona potrafi się kłócić! A pracuje ciężko. Przychodzi z tej swojej fabryki filcu i kłóci się. Kłóci się z synem, o tam on siedzi, widzisz, zaleca się do twojej koleżanki. Taki ładny chłopak, ale kłócić się potrafi nie gorzej od niej... Jak myślisz, dlaczego ona usiadła w kącie? Potem będzie cały czas to wspominać i użalać się nad sobą. Ona musi mieć jakiś powód, żeby się nad sobą użalać.

Ciotka Wira melancholijnie rozglądała się po podwórzu. Malutki człowieczek z oswiałymi oczami na próżno starał się ją zabawić. Twarz ciotki Wiry pozostawała bołściwa i uroczyta.

— Żal mi jej — powiedziała Lusia. — Podejdziemy do niej, gdy się to wszystko skończy.

Gdzieś spoza domów, od ciemnej płachty gwieździatego nieba, zawiewało rzeczonym chłodem. „Jednak trzeba im coś podarować — myślała nauczycielka. — Taki dzień bywa tylko raz.”

— Pani nauczycielko — nie dawała jej spokoju pani Cukrowa. — Pani jednak nie dopiła wiśnióweczki. Pawle!

— No? — szewc odwrócił się do nich.

— Pani nauczycielka gardzi waszą wiśnióweczką.

— Ale co też pani — nauczycielka zmieszała się. Ciotka Luda z zaciekawieniem przechyliła się przez stół. Nauczycielka wzięła kieliszek i niewprawnie wychyliła do dna.

— O tak — pani Cukrowa była zadowolona. Po czym przysunęła się bliżej do nauczycielki i poczęła szeptać: — Przepraszam, pani nauczycielko, ale czy to prawda, że i pani wybiera się za męża?

Nauczycielka oblała się rumieńcem.

— Skądże, ja i za męża!

— A dlaczego by nie? Taka młoda i ładna. Oj-oj, gdybym ja była taka młoda i ładna...

— Weniu — po raz pierwszy przerwał milczenie Fedor, zwracając się do syna — powinienesz wygłosić toast.

— Powiedz coś, synku — dołączył się szewc.

Syn Fedora zaczerwienił się.

— Nigdy nie wygłaszałem toastów.

— Tyś przecie taki uczony — z szacunkiem odezwał się Stach Bondar. — Szczęśliwy z ciebie człowiek, Fedorze. Udał ci się syn! Niech nam teraz wygłosi toast.

Pawle, niech on nam powie jakieś mądre słowo! Ciszzej! — krzyknął.

Rozmowy nagle umilkły i syn Fedora ujrzał dzieciątki oczu patrzących na niego z ciekawością.

— Nie umiem przemawiać — zaczął — ale skoro już tak się złożyło, to powiem. Wszyscy byliśmy kiedyś dziećmi. Dobrymi czy złymi, nie nam o tym sądzić. Potem powyrastaliśmy. Nawet nie zauważyliśmy, kiedy. Bywają chwile, które przechodzą ot tak w życiu. Ale bywają takie, których się nigdy nie zapomina. Dla nich — skinął w stronę młodej pary — właśnie teraz jest taka chwila. A może i jeszcze dla kogoś z tych, co tu siedzą. Obojętne, czy to sobie uświadamiamy, czy nie. Zresztą to nie ma znaczenia. Dobre chwile wypływają na powierzchnię, złe — toną. Niechajże więc będzie więcej tych dobrych niż złych...

Syn Fedora nerwowo poruszał palcami i usiadł. Kobieta, która chodziła do Berdyczowa, dłonią otarła łzę. Fedor aż poczerwieniał z dumy.

— Z serca to powiedział — rzekła Maria, ciepło patrząc na syna Fedora. Ten, speszony, pochylił się nad talerzem.

— On jest bardzo mądry, ten syn Fedora — powiedziała Lusia. — Słyszałeś, jak pięknie mówił. Ale dziwny. On zawsze był dla mnie strasznie dorosły. Młody, a dorosły. A teraz ja wychodzę za mąż wcześniej od niego... Ale ty opowiadaj o swoich...

— Koło ciotki Wiry siedzi ciotka Stasia — podjął Tola. — Widzisz, jaką ona ma drobną twarz. Cała jest ma lutka. Ale jak zacznie śpiewać... Połyszysz jeszcze, jak ona śpiewa. Powinna była zostać artystką, a nie po prostu kasjerką w fabryce. U nas wszyscy pracują w fabryce filcu. I ojciec, i ciotki, mnie też tam chcieli posłać, ale się sprzeciwiłem. Już wolę warsztat samochodowy.

— Miałem taki wypadek — mówił ojciec Toli. — Idę kiedyś przez miasto, a tu pies mi pod nogi, o mało mnie nie przewrócił. To jakiś niedobry znak, myślę sobie. No i co, kiedy schodziłem z Góry Królewskiej, samochód rozbił się o dom. Rozwalił cały węgiel. Ja wierzę, że znaki nigdy nie kłamią...

— Bzdura! — skrzywił się Stach Bondar. — Zabobony!

— A ja wam mówię, wszystko ma swój związek — ciągnął swoje ojciec Toli. — Ot, choćby wziąć moje kołano.

— A nie dało się go wyleczyć? — zaciekawiała się ciotka Nastia.

— Gdzie tam...

Ciotka Stasia wzniosła w górę pełne zadumy oczy, złożyła przy piersi malutkie ręce i zaintonowała „Noc taka dziś jasna”. Żona Fedora wsparła ją swym ostrym altem.

— Czas już podawać słodkie — z westchnieniem podniosła się Maria.

Orkiestra zagrała do tańca. Żywa melodia wyrwała się z głębokiej studni podwórza i pomknęła ku niebu, na którym mrugały zimne gwiazdy. Syn ciotki Wiry tańczył trzymając w objęciach dziewczynę w białej sukience, ale starsi siedzieli na swoich miejscach — trzeba było jeszcze trunku, by rozgrzać ich krew. Zresztą już się rozgrzewała — mężczyźni szeptali komplementy sąsiadkom, a kobiety wstydliwie zakrywały dłońmi usta i broniły się: „No co też pan mówi!”

Muzykanci z zapalem nadymali policzki, a skrzypce skakały w wielkich rękach głównego muzykanta, wydając ostre, piskliwe dźwięki.

— Och, jak on gra — marząco kiwała głową ciotka Luda. — Och, jak gra!

— A chodźcie tu, kumo! — zawołała Maria.

Dozorczyńni podeszła do niej, Maria nalała dwa kieliszki i podała jej jeden.

— Napijmy się — powiedziała — żeby nie pamiętać złego...

— A ten wujek — Tola pokazał oczami — to Roman, mąż ciotki Mani. Ona umarła, ta ciotka. Była bardzo cicha i spokojna. A on to straszna kutwa. Łowił ryby i co rano biegał na targ. Wszyscy mówią, że ma porządnie napchaną kabzę. Całe życie trząśł się nad groszem. A ostatnio zaczął pić. Stawia każdemu, kogo tylko spotka, pożyczka pieniądze i nawet zapomina je odebrać. Nie wiesz, dlaczego tak jest?

— Pewno mu wszystko zbrzydło.

Maria i dozorczyńni rozstawiały deser.

— Lubię gruszki — mówił Roman. — Mam sad, same grusze. Przyjdźcie kiedyś oboje z mężem, Ludmiło Iwanowno — wziął gruszkę i podał ciotce Ludzie.

— O, co też... dziękuję — certowała się ciotka Luda. — Może kiedyś i przyjdziemy. Bądź co bądź jesteśmy już swojakami.

Roman kiwał głową.

— Jego rodzina to grzeczni ludzie — szepnęła ciotka Luda do ciotki Nasti; po wypitym winie jej twarz promieniała dobroduszością, już zapomniała, że posadzono ją zbyt daleko przy stole.

Orkiestra zmęczyła się i muzykanci usiedli, by coś przekąsić. Dyrygent wychylił nieduży kieliszeczek i powiedział:

— Niemcy piją po obiedzie. Najpierw się najedzą, a potem piją. I bez zakąski...

— Jakiż sens ma wtedy picie? — odezwał się ten, co dał w największą trąbę. — Ja, kiedy tu szedłem, specjalnie nie jadłem obiadu...

Nauczycielka patrzyła na młodą parę i było jej dobrze na duszy. Tak dobrze, jak dawno już nie było. „Je-

szcze tydzień — myślała — i znów pójdę do szkoły. Obiecano mi nową klasę, chociaż lepiej byłoby pozostać z tą samą... A jednak podaruję im muszlę — zdecydowała się. — Może kiedyś i dla nich będzie ona coś znaczyć...”

— Słyszałeś — Stach Bondar dotknął ręki szewca. — Chcą zamknąć naszą piwiarnię. Zina jest niepokieszona. Podobno mają zrobić tam bar mleczny — Stach zachichotał chrapliwie. — Będziemy chodzić na mleczko, Pawle.

Szewc zasępił się.

— To niedobrze — powiedział. — Człowiek powinien mieć miejsce, gdzie by mógł posiedzieć. Kto ma więcej pieniędzy, ten pójdzie do restauracji. Ale my tam nie pójdziemy, Stachu.

— Pewno że nie — kiwnął głową Stach.

— Może restauracje też zamkną?

— Nie zamkną. A ty już dawno nie byłeś u Ziny. Pytała, czy przypadkiem nie zamierzasz przestać pić.

— A żebyś wiedział! Ale przyjść posiedzieć przy kuflu piwa, co do tego się nie zarzekam. Nie, to przecież niepodobieństwo — szewc po pijacku wymachiwał ręką.

— To szczęście, a nie niepodobieństwo — rzekła ciotka Nastia. — Będziecie mniej przepijać pieniędzy.

— To się tylko tak zdaje — zauważył ojciec Toł. — Żeby tam nie wiem jak zamykali, będą przepijać. Po podwórzach, w bramach. I tak będą przepijać...

— Jestem trochę zmęczona — westchnęła Lusia. — Ty przecież wiesz, nie jestem już sama...

— Nie jeszcze nie znać...

— Dużo ty się na tym znasz — prychnęła. — A co wy, mężczyźni, w ogóle rozumiecie! Zaraz, zaraz, przecież mi jeszcze dotąd nie powiedziałaś, jak ci się podoba moja ślubna suknia?

— Bardzo! Prawie cię nie poznałem. Taka w niej jesteś ładna i dorosła.

Lusia aż się zaczerwieniła z dumy.

— A przedtem nie byłam ładna?

— Teraz jeszcze ładniejsza.

Lusia zadowolona spojrzała po sobie.

Ciotka Stasia znów zaśpiewała. Jej głos wybił się ponad gwar rozmów i wszyscy zamilkli. Żona Fedora zawtórowała altem.

— Po co się pchasz? — nie wytrzymał Fedor.

— Nie przeszkadza — ofuknęła go żona — jak śpiewać, to wszyscy.

Jeszcze kilka głosów podchwyciło pieśń. Głos ciotki Stasi płynął jak srebrny strumyczek.

— Słyszysz, jak ona śpiewa? — rzekł Tola.

— Pięknie — przyznała Lusia. — Ja tak nie potrafię...

Dołączyli się też do chóru. Pani Cukrowa wlepiała w nich przymglone oczy. Zwiotczała skóra podbródka zwiślała jak worek i co pewien czas drgała. Rozśmieszyło to Lusie, ale opanowała się i spuściła oczy. Jej ręka pod stołem mocno uściśnęła rękę Toli. „To mój mąż — myślała nie przerywając śpiewu. — Boże, jacy my jesteśmy dorośli!”

— Gorzko! — zawołał naraz Stach Bondar. — Gorzko!

— Gorzko! — wołała żona Fedora i ciotka Wira, i mąż ciotki Wiry.

— Zaczyna się — westchnęła Lusia. — Przypomnieli sobie o nas.

— No, cóż, wstańmy — rzekł Tola.

Wstali, on dotknął wargami jej chłodnych ust.

— Boże, jacy oni młodzi — pokiwała głową ciotka Stasia.

Goście podnieśli gwar.

— Tusz! — zawołał szewc.

Muzykanci wstali i zadęli w trąby. Dyrygent przycisnął podwójnym podbródkiem skrzypce i kiwnął łysą czaszką.

— A teraz tańce — krzyknął szewc, odstawiając swoje krzesło.

Nauczycielka niepostrzeżenie wymknęła się z tłumu i przestąpiła próg klatki schodowej. Otarła chustką spoczone czoło i naraz poczuła, że w kącie ktoś się przyczaił. Wyteżyła wzrok i zobaczyła małą figurkę.

— To ty, Saszku? — spytała półgłosem.

— Ja — cichutko odpowiedział chłopczyk.

— Co tu robisz?

— Patrzę.

— A gdzie mama?

— Pojechała na występy.

— A babcia Eleonora?

— Śpi.

Pogładziła go po jedwabistej główce i zobaczyła, jak błysnęły mu oczy.

— A ty jeszcze nie zamierzasz się żenić?

— Nie — zawstydził się chłopiec.

Nauczycielka spojrzała w stronę, gdzie patrzył mały. W jasnym prostokącie widać było tańczących. Rozwiewały się szerokie suknie wyciągnięte z szaf pachnących naftaliną; bieleły się koszule mężczyzn, którzy pozdejmowali marynarki. Twarze wpływały w prostokąt drzwi, niby maski — znajome i nieznajome, pokryte kroplami potu i wilgotnym pudrem. Włosy lepiły się do opalonych czoł. Przepływały usta: otwarte w rozmowie, zamknięte, to znów rozciągnięte w uśmiechu. Przepływały oczy: błyszczące, zamglone, uprzejme, wstydlive, lubieżne. Nogi tupały w takt muzyki i szary kurz osiadał na męskich, wyglansowanych butach, na kolorowych pantoflach kobiet, na skarpetkach i rąbkach sukien. Bęben dudnił, aż dzwoniły szyby, muzykanci na-

dymali policzki dmąć w trąby, oni też mieli w czubie — zapominając, że przyszli tu na zarobek, wkładali w grę wszystko, na co ich było stać. Dyrygent też zapomniał, że to tylko fucha; jego wielkie plecy były pochylone, ramiona opuszczone, a malutkie skrzypeczki tańczyły zapamiętałe w jego ciężkich rękach...

Nauczycielka uśmiechnęła się. Było jej dobrze, tak dobrze jak wtedy, gdy spotykała ją jakaś radość. W takich chwilach pokój nie wydawał się jej tak pusty, miała ochotę śmiać się i patrzeć na słońce... Weszła na schody, gwar weselny wpadał przez otwarte drzwi i cichł w mroku korytarzy. Znów się uśmiechnęła i otworzyła swój pokój. Odgłosy wesela dochodziły i tutaj, ale prawie nie mąciły ciszy. W milczeniu trwały meble, które — jak się jej zdawało — żyły takim samym życiem jak ludzie — pełnym napięć i śmiertelnym. W mroku połyskiwało lustro, odbijając szare ściany. Czowała, że i to lustro ma swoje utajone życie — wszystkie dawne odbicia nie znikły, bo zniknąć nie mogły, lecz niewidzialnie nałożyły się na połówkę szkła. Wzięła do rąk dużą muszlę — palce przesuwwały się po nierównej powierzchni pancerza, pobiegły we wgłębienia, zatrzymywały się na wypukłościach, obiegały zmarszczki, dotykały ostrych wyrostków. Muszla już od dawna nie pachniała morzem i piaskiem. Tamtym morzem i tamtym piaskiem, po którym biegali boso w ostatnie przedwojenne lato. Być może nie było już nawet tego piasku, podobnie jak nie zachowały się na nim ślady ich bosych stóp. Ale nie, one jeszcze były. I będą tak długo, jak długo będzie ona, jak długo istnieć będzie pamięć i zdolność do powrotów. Zdolność odczuwania żalu i w ogóle zdolność do tego, aby b y ć. Być w tym pokoiku, wśród tych rzeczy, przed tym oknem, za którym jaskrawo rozbłyskuje reklama, widzieć ludzi, drzewa, rzekę, niebo.

Nauczycielka zamknęła za sobą drzwi i mocno przyciskając do piersi muszlę wolno przeszła przez korytarz, a gdy zamknęła drzwi wejściowe, znów dobiegł do niej gwar wesela. Słabo oświetlone zakurzonymi żarówkami schody wiodły wyżej i wyżej, betonowe i wszystkie do siebie podobne, wydeptane nogami wielu pokoleń. W oczach nauczycielki zapalił się figlarny błysk, przymrużyła oczy i ostrożnie poczęła wchodzić na górę. Szła z miną spiskowca, starając się stąpać na palcach. Słychać było, jak skrzypi pod stopami piasek. Nauczycielka mocno przyciskała do piersi muszlę i wolno pokonywała schody. Przy drzwiach Hajdajenki nacisnęła biały guzik. Melodyjny dźwięk dzwonka przetoczył się przez pustkę; poczekała chwilę, ale wokół była cisza. „Gdzie jesteś, samotniku!” — pomyślała i jeszcze raz nacisnęła guzik. Posypały się srebrne kuleczki dzwonka, ale znów odpowiedziała jej cisza. Położyła rękę na klamce. Drzwi otworzyły się wolno, wchodzącą owionęło zastale powietrze mieszkania. „Hej, Mikołaju! — zawołała. — Śpisz?” Przeszła cichutko korytarzem, wciąż z tą miną spiskowca, stąpając bezgłośnie. Miała wielką ochotę roześmiać się, jak dziecko — wesoło i swawolnie. „Dlaczego on się nie zamknął?” — pomyślała. Pchnęła drzwi do pokoju, było tu ciemno. Przypomniła sobie, że kontakt powinien być po lewej ręce. „Hej, Mikołaju!” — powtórzyła naciskając kontakt. Jasne światło zalało pokój i od razu rzucił się jej w oczy cały rozgardiasz tego domu...

Orkiestra zanosila się fokstrotem. Wzlatywał w górę cieniutki głos klarnetu, głos trąb zstępował niżej, brzęczały talerze, oklejona filcem kula pałeczki waliła w naciągniętą, błyszczącą skórę bębna, znów wybijał się klarnet, dźwięki podskakiwały na miedzianych nogach, buch, buch, buch, znów łoskot talerzy i pojękiwanie, motały srebrną nić skrzypce, buch, buch, buch, mie-

dziane nogi zbyt szybko się unosiły, zbyt szybko się opuszczały, buch, buch, buch, a nad ciemnym dachem biegł świetlny strumień niemej reklamy i dachy też zbiegały w dół, pomiędzy szeregi ulicznych latarni, buch, buch, buch, szurały podeszwy po asfalcie, na ścianie tykał zegar, wskazówki jak pajaki wpijały się w cyfry, buch, buch, buch, muzykanci nie znali wytchnienia, i wszechmocna noc nie знаła wytchnienia, a bęben z głuchym jękiem przyjmował uderzenia obszytej filcem pałeczki.

Buchalter

Spotkali się w gęstym mroku, w którym słyhać było tylko plusk rzeki. Buchalter przywiązał łódkę i wyszedł na brzeg. Niósł wędki, wiosła i kilka złowionych w ciągu wieczora piskorzy.

— Dobry wieczór! — powiedział głucho Fedor.

Buchalter lękliwie przystanął.

— A, to ty — mruknął. — Dobry wieczór. A ja właśnie, bracie, z rybą...

— Nie przywitasz się? Dlaczego? — mówił dalej Fedor. — A może zapomniałeś?

Buchalter zamrugał powiekami. Otworzył usta, ale nie mógł wypowiedzieć ani słowa.

— Dawno już chciałem z tobą porozmawiać — powiedział wreszcie. — Nie zapomniałem, Fedorze...

— Usiądźmy — Fedor siadł na kamieniu, wyciągnął rękę i zerwawszy jakiś chwast, począł obskubywać listki. Przed nimi niewyraźnie majaczył przeciwległy brzeg, na samej górze świeciło się przecięte na cztery kwadraty żółte światelko w samotnym domku.

Buchalter rzucił wiosła na piasek, ostrożnie położył wędkę i ryby i usiadł obok.

— No, jak ci się żyje? — spytał zmienionym od napięcia głosem.

— Jakoś leci — obojętnie odparł Fedor — pracuję...

— Nikt się nie czepiał?

— Nie.

Długo siedzieli w milczeniu i patrzyli przed siebie. Czasem wyskoczyła na powierzchnię ryba i wtedy po wodzie rozchodziły się kręgi, za rzeką ktoś błyskał kieszonkową latarką.

— A jak u ciebie? — spytał Fedor, nie odwracając głowy.

— Dziękuję. Sławko jest w wojsku, czekamy na niego. Sami teraz jesteśmy z Jadzią.

Buchalter spojrzał na Fedora z tajonym niepokojem. Profil tamtego rysował się wyraziście na ciemnym tle, podświetlonym dalekimi ulicznymi latarniami.

— Zawiniłem wobec ciebie, Fedorze — powiedział i przełknął ślinę. Twarz mu się skrzywiła, usta zacisnęły się mocno.

— Ty? — odwrócił ku niemu głowę Fedor.

— Tak, ja. Kazali mi, a ja musiałem... Rozumiesz, kiedy człowiek chce ratować tę swoją przeklętą skórę... A ja chciałem wtedy ratować skórę...

Fedor oberwał z chwastu ostatni listek.

— Pamiętasz — piwiarnia, piliśmy razem. Czekałem, żebyś powiedział... — buchalter znów przełknął ślinę.

Fedor kreślił linie na piasku i słuchał.

— Możesz mi dać w twarz — rzekł cicho buchalter. — Powinieneś to zrobić. Bo byliśmy przyjaciółmi.

Fedor w milczeniu patrzył przed siebie. Nisko nad nim przeleciał nietoperz. Fedor przełamał w grubych palcach łodygę chwastu.

— Postanowiłem się przeprowadzić — powiedział buchalter, spuszczaając głowę — mówiliśmy już z Jadzią, że zmienimy mieszkanie...

Fedor wyrzucił połamaną gałązkę do wody. Rozległ się cichy plusk.

— Poczujesz się do winy? — spytał.

Buchalter spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Całkiem niepotrzebnie — Fedor mówił apatycznie. — Myślałem, że już nie pamiętasz. Chlapnąłem coś po pijanemu...

— Powiedziałeś wtedy...

— Wiem, co powiedziałem — przerwał mu Fedor. — Nie ma co do tego wracać...

— Przeprowadzę się — powtórzył buchalter.

Fedor spojrzał na niego uważnie.

— Bałem się, że przez to mój chłopak nie ukończy studiów. Ale jakoś wszystko się dobrze skończyło.

Znowu wionął nietoperz. Fedor odprowadził go wzrokiem. Na niebie migotały gwiazdy. Jedna z nich się urwała i szybko poleciała w dół.

— Byłem przekonany, że już nie pamiętasz — powtórzył Fedor.

— Jak my teraz będziemy się spotykać? — rzekł buchalter.

— Nie wiem — Fedor wzruszył ramionami. — Ja nie mam na ciebie złości.

— Lepiej będzie, jak się przeprowadzę — buchalter podniósł się z wędką i rybami w ręce. Potem schylił się po wiosła.

— Nie mam na ciebie złości — powtórzył Fedor.

— Wiem, że nie masz — buchalter wyprostował się. — Ale ja mimo wszystko się przeprowadzę.

— Jak uważasz — rzekł Fedor.

Buchalter postął chwilę w miejscu, przestępując z nogi na nogę, po czym ruszył przed siebie. Po paru krokach stanął i obejrzał się. Fedor siedział na kamieniu, złożony na kolanach długie, wąskie dłonie, i patrzył

na rzekę; błyski latarki kieszonkowej z drugiego brzegu odbijały się w jego oczach jak błyszczące iskierki.

Buchalter lubi punktualność. Wyjmuje z kieszonki zegarek, paznokciem podważa wieczko i patrzy na godzinę.

— Jakoś się spóźniają — mówi.

Jadwiga siedzi na krześle pośród porozrzucanych rzeczy i tobołków i patrzy na zsunięte meble. Myśli o tym, że każda rzecz powinna mieć swoje stałe miejsce, drobiazgi można przesuwać i przekładać, ale rzeczy ciężkie powinny stać tak, jak się je od początku ustawiło. Nie trzeba wiele, by naruszyć harmonię. Wystarczy zsunąć kanapę i łóżko, postawić krzesła do góry nogami i związać je razem, zdjąć serwetę ze stołu, by dom od razu stał się obcy. Patrzy na męża, chodzącego po pokoju w kamizelce i spodniach w paski.

— Wszystko spakowałaś? — pyta buchalter.

— Chyba wszystko.

— Ile to tego — przystanął przy oknie — uzbiera się w ciągu lat...

Znów wyjmuje zegarek.

— To niesłychane — mruczy. — Zamówilem ich przecież na siódmą.

— Trzeba zawiadomić Sławka, by pisał na nowy adres.

— Jeszcze nie napisałaś? — buchalter patrzy na nią wyblakłymi niebieskimi oczkami.

— Nie miałam kiedy — mówi Jadwiga. — Nimopakowałam wszystko...

— Sam do niego napiszę.

Buchalter lubi punktualność. Stoi przy oknie i patrzy na czworobok podwórza. Widzi okno wytwórni pączków, kręcą się tam białe postaci, na górze — gabinet

dentystyczny, i tam też białe postaci. Właśnie podprowadzają do fotela pacjenta z przewiazaną twarzą i skrzywionymi ustami. Siada na fotelu i zadziera brodę.

— A ile trzeba będzie dać tragarzom? — pyta znad tobołów Jadwiga.

— Ile zażądają, tyle trzeba będzie dać — buchalter bębni palcami po parapecie. — Nie będę przecież sam dzwigał.

— Gdzieżby tam, z twoim sercem... — wzdycha Jadwiga.

Pacjent za oknem gabinetu kręci głową. Pochyla się nad nim biała postać lekarza.

— Chwała Bogu — mówi buchalter, wyglądając przez okno. — Przyjechali.

Stara półtoratonówka zatrzymuje się przed domem. Dwóch potężnych drabów zeskakuje na asfalt, wchodzi w bramę. Buchalter patrzy gdzieś ponad dachy. Niebo jest czyste i błękitne. Latają jaskółki, tnąc czarnymi skrzydłami powietrze, niebo i słońce.

— Otwórz im — mówi buchalter wsłuchany w dzwonek rozlegający się w korytarzu. „Nie zdjęło się dzwonka” — myśli. Przechodzi przez pokój, bierze narzędzia i idzie na korytarz. Tragarze już uchwycili mocnymi rękami szafę i wyciągają ją z pokoju. Buchalter staje na stołku i zaczyna odkręcać śrubki.

— Ostrożnie — mówi do niego Jadwiga. Ona szczególnie odczuwa pustkę tego domu. Powiodła wzrokiem po nagich ścianach i widzi kalendarz. „Przywykło się, że wisi zawsze w tym samym miejscu” — myśli. Przechodzi pomiędzy tobołami i zdejmuje kalendarz.

Tragarze wrócili i zabrali się do wynoszenia kanapy. Ich twarze są bez wyrazu, oczy — obojętne. „Przyzwyczaj się człowiek — myśli Jadwiga, wciąż jeszcze patrząc po ścianach — i byle szmatka staje się drogą.”

Bierze wiadro pełne naczyń kuchennych i idzie ku drzwiom.

— Ty tu uważaj, żeby czego nie zwędzili.

Buchalter zdejmuje dzwonek i zrywa drut. Ma takie wrażenie, jakby zrywał nić wiążącą go z przeszłością. „Trzeba było zdjąć i drut” — myśli. Bierze obcęgi i zaczyna wyciągać gwoździe ze ściany.

Tragarze wynieśli łóżko. Jeden z nich załapał pudernicę Jadzi i spokojnie włożył do kieszeni...

Buchalter podchodzi do okna. Na dworze tragarze ładują kanapę na ciężarówkę. Błyskając białymi pierśiami, latają jaskółki, pacjent naprzeciwko wciąż jeszcze siedzi na fotelu, szeroko rozdziawiwszy usta, w rękach mężczyzny w bieli połyskują instrumenty. Wróciła Jadzia, wzięła skrzynkę po owocach.

— Może i ja bym coś wziął? — pyta buchalter.

— Idź na dół i uważaj na rzeczy — odpowiada żona.

— Nie — kręci głową buchalter. — To już lepiej zostanę tu.

Siada na krześle i patrzy na łożących, jeden za drugim, tragarzy. W milczeniu stąpają ciężkimi butami, od tego ich szwendania się parkiet robi się coraz brudniejszy. W pokoju już tchnie pustką. Pustką tchną kąty i nagie ściany. Z korytarza dochodzi zapach rozdeptanej gliny. Buchalter podnosi się, z trudem prostuje grzbiet, jest mu głupio kontrolować każdy ruch tragarzy. Znowu podchodzi do okna. Koło ciężarówki zebrała się już gromada dzieci. Dorośli patrzą przez szyby.

Jeden z drabów bierze porcelanowego kota wystającego z tłumoka i wkłada do kieszeni. Pracują w milczeniu, buchalter słyszy ich urywany oddech. „Którego jest dzisiaj?” — myśli buchalter i odwraca się w stronę, gdzie wisiał kalendarz. Drab cofa rękę od wielkiej torby. Na ścianie zamiast kalendarza — jasna plama.

Tragarze mają obojętne twarze. Leniwie człapią po

parkiecie i znoszą w dół tobołki. Koło ciężarówki stoi Jadzia. Stąd wygląda całkiem jak dziewczynka i buchalter długo patrzy na nią. Jadzia wchodzi na ciężarówkę, przytrzymuje ręką suknię, którą podwiewa jej wiatr. Potem układa w porządku rozrzucone rzeczy. Dzieci otoczyły samochód ze wszystkich stron. Jadzia z wysiłkiem podnosi tłumok i przekłada go na inne miejsce.

— W tej skrzynce jest porcelana — zwraca się do tragarzy buchalter. — Ostrożnie, z łaski swojej.

Tamci chodzą z papierosami w zębach. Stukają buciarami. Pokój jest prawie zupełnie pusty i głos buchaltera rozbrzmiewa tu nazbyt głośno. Jeden z tragarzy chwytą w ogromne łąpska skrzynkę z porcelaną i ostrożnie idzie korytarzem. Zza jego ramienia wije się niebieska smużka dymu. Buchalter raz jeszcze patrzy w okno. Pacjent już wstał i teraz kłania się człowiekowi w bieli. Buchalter bierze do jednej ręki wędki, do drugiej dużą tekę, gdzie złożone zostało wszystko, co najcenniejsze: pieniądze, kwity, dokumenty, obligacje powojennych pożyczek, stare listy, fotografie — i idzie do drzwi. W drzwiach przystaje i raz jeszcze się ogląda. Mieszkanie tchnie zimną pustką.

Jadwiga wsiadła do szoferki, tragarze usadowili się na tłumokach. Znowu zapalają papierosa, ich twarze pozostają tak samo nieporuszone. Buchalter chwytą się rękami za burtę, staje jedną nogą na kole, podciąga się i przekłada nogę przez burtę. Siada na skrzynce i kładzie tekę na kolanach. Ciężarówka rusza, dzieci z wrzaskiem biegną za nią.

S a s z k o

Saszko siedział na stopniu ganku, oparłszy łokcie na kolanach i trzymając brodę na złożonych dłoniach. By-

ło mu trochę nudno, trochę smutno i w dodatku czuł się pokrzywdzony. Wczoraj matka wróciła do domu i z miejsca pokłóciła się z Eleonorą, z Zosią i panią Cukrową. Wieczorem przyszli do niej goście, a jego wyprawiono do Eleonory. Najpierw leżał, a potem wstał i wyszedł na korytarz. W ich pokoju paliło się światło. Ostrożnie, by nikt nie widział, podkraść się do dziurki od klucza. Matka siedziała akurat naprzeciwko drzwi i on długo patrzył na nią. Była bardzo piękna i cały czas uśmiechała się do nieznanomego mężczyzny. Mężczyzna też się uśmiechał. Eleonora cichutko podeszła od tyłu i wzięła go za ucho. „Ci-i-cho — szepnęła. — tylko nie piszcz! — i z triumfem poprowadziła go do swego pokoju. — Kto cię nauczył podglądać? — spytała mentorskim tonem. — Pytam cię, kto?” Saszko w milczeniu patrzył w okno. Wcale się nie bał Eleonory, było mu tylko bardzo smutno. „A pani sama nigdy nie podsłuchuje?” — powiedział; Eleonora z wielkiego zdziwienia otworzyła usta, jej oczy zrobiły się jak ołowiane guziki. „I ty śmiesz mi to mówić? — załamała rękę. — Boże, co za niewdzięczność! Nie, słuchajcie tylko, co za niewdzięczność! Kiedy dorośli coś robią — powiedziała podnosząc palec — to znaczy, że tak trzeba. Nie wszystko, co robią dorośli, wolno robić dzieciom.” „A dlaczego?” — spytał Saszko, patrząc w ołowiane guziki oczu Eleonory. „On jeszcze pyta, czemu! — oburzyła się stara. — Kiedy dożyjesz mojego wieku, wtedy wszystko zrozumiesz. Bo dzieci trzeba wychowywać!” „Wcale nie trzeba mnie wychowywać” — rozzłościł się chłopiec. „Trzeba — westchnęła Eleonora — pomyśl nad tym, a sam przyznasz, że trzeba.” Przymilnie uśmiechnięta podeszła do Saszka, słabymi palcami wzięła go za rękę, lecz nim doprowadziła go do stołu, te palce były już jak z żelaza. „Kto buszował po moich szufladach? — spytała słodko. — Kto rozsypał puder i wy-

mazał ścianki szminką?" — popatrzyła na Saszka z triumfującą miną. Saszko westchnął: „Dzieci trzeba wychowywać” — powiedział. „Otóż to!” — radośnie wykrzyknęła staruszka i oczy jej pocieplały. „Dzieci trzeba wychowywać” — powtórzył chłopiec i najchętniej by się rozplakał...

Rano Saszko siedział na stopniu ganku, wsparłszy się łokciami o kolana. Mężczyzna, który miesił ciasto, mrugnął na niego, ale chłopcu było dzisiaj nie do żartów. Tamten w zdziwieniu uniósł brwi i pokazał język. Saszko nie wytrzymał i roześmiał się. Mężczyzna przywołał go skinieniem palca. „Coś królewicz dziś smutny” — powiedział. „Wcale nie jestem smutny” — odpowiedział Saszko. „Chwileczkę” — mężczyzna uniósł w górę ręce z rozcapierzonymi palcami i kuśtykając poszedł do kobiet. Wziął rumiany pączek i podał przez okno.

— Królewiczowi chyba jest bardzo smutno? — powiedział ze współczuciem.

Saszko wziął pączek.

— Ależ ja nie jestem żaden królewicz — powiedział ze zdziwieniem. — Jestem po prostu Saszko.

— Jesteś królewiczem — powtórzył tamten — tylko sam o tym nie wiesz...

Saszko odszedł od okna i odgryzł kawałeczek, pączek pachniał smażonym tłuszczem, powidło było jeszcze ciepłe i przyjemnie rozpływało się w ustach.

Potem podszedł do piwnicy i ukradkiem zajrzał do środka. Zawiało wilgocią. Saszko przełknął ostatni kęs, wytarł ręce o spodniki i przymknawszy oczy wstąpił w mrok. Eleonora przemawiała do niego mentorskim tonem: „Dzieci trzeba wychowywać!” Saszko otworzył oczy i zawołał: „Wychowy-y-wać!” Głos dudniąc utonął w pustce. Ale jemu wcale nie było straszno. „Gdzie jesteście, strachy?” — myślał ze smutkiem, schodząc

coraz niżej. Strachy pochowały się gdzieś bardzo głęboko i nie atakowały go. Saszko już doszedł do beczek, namacał kij, ale strachy wciąż milczały. Począł bić kijem po beczkach. Beczki dudniły, rodząc echo; zdawało się, że cała piwnica jest nimi zapełniona — całymi rzędami głośno dudniących beczek. Pustka powoli znikła, echo zlewało się z dźwiękiem, a dźwięk z echem. Łzy płynęły po twarzy Saszka — nie ocierał ich, tylko z całej siły walił w pokryte pleśnią i rdzą żelazo.

Wreszcie przestał walić i osunął się na ziemię. Wokół otaczał go głuchy mrok. Uważniej wpatrzył się w ciemność i poczuł, jak po plecach zaczynają mu biegać całe tabuny ruchliwych mrówek. Wtedy przyszły strachy. Szły z daleka, włócząc za sobą długie ogony, wybałuszały bezbarwne oczy, mrugały powiekami, nadymały policzki i dmuchały na niego zimną wilgocią. Czepiały się ścian, sklepienia, wiły się po ziemi, wymachując rozcapierzonymi dłońmi, rozdziawiały zębate gęby i węszyły okropnie szerokimi, płaskimi nosami. Miały po pięcioro oczu i po pięć języków. Z nozdrzy wyrывało się syczenie i dym. Krótkie ręce nagle robiły się strasznie długie, ciągnęły się przez całą piwnicę, zagarniając palcami powietrze. Strachy z wywieszonymi językami nacierały jak wojsko, zgrzytały zębami. Saszko przestał płakać i z zachwytem patrzył na nie. „Przyszłyście?” — zawołał radośnie, czując zarazem, jak gdzieś koło serca budzi się niepokój. Strachy łaskotały go w pięty, chwytaly za ramiona. Skoczył i wojowniczo machnął kijem. Strachy rozpierzchły się, ale już sunęły nowe, jeszcze okropniejsze. Ścisnęły żelaznymi kleszczami jego nogi i zbliżały do twarzy żelazne paszcze. Saszko jeszcze raz machnął kijem, ale strachy już włożyły za kołnierz, ciągnęły za uszy. Wtedy począł się wycofywać, ale strachy dopadły go, bijąc ogonami po nogach. I Saszko nie wytrzymał. Odwrócił się i uciekał co

tchu, a serce w nim radośnie dzwoniło. Biegł w stronę, gdzie jaśniał błękitny, pełen słońca i gęstego sierpnio-
wego powietrza prostokąt wyjścia.

Syn Fedora

Syn Fedora leżał na łóżku, wieczór wkradał się do pokoju, w zapadającym zmierzchu wszystko stawało się nierealne i złudne. Przez otwarte okno wchodził wilgotny chłód od rzeki i sierpniowy zapach burzanów. W niebieskim prostokącie już zaczęły się pojawiać gwiazdy, duże i aksamitne. Syn Fedora palił, ognek papierosa czerwono oświeślał ręce i twarz. Dym snuł się w mroku — miękki jak wata, nieprzejrzysty, przesłaniał okno i niebo. Gwiazdy ukazywały się w prześwitach i znów znikwały. W sąsiednim pokoju ojciec jadł kolację stukając łyżką o fajansowy talerz. Matka opowiadała mu o cenach na targu, o sąsiadach i o pogodzie. Mrok zalał kąty i pokój wydawał się teraz całkiem okrągły. Syn Fedora przymknął oczy — było mu pogodnie na duszy. Sen miękko opłatywał świadomość, podsuwając pod oczy nie kończące się widzenia...

— Śpisz? — spytała matka stając w progu. Światło padało zza jej pleców i w tym świetle sylwetka matki była ciężka i gruba.

— A co takiego? — syn Fedora usiadł, opuściwszy na dywan nogi w skarpetkach.

— Przyszła jakaś panienka — umyślnie obojętnym tonem powiedziała matka. — Powiedzieć, że śpisz?

— Co za panienka? — poderwał się.

— Młodziutka — odparła matka.

Syn Fedora szybko włożył buty, przebiegł przez drugi pokój — ojciec dopijał herbatę przechylając szklankę nad otwartymi ustami — wypadł na schody.

Laborantka z laboratorium przestępowała z nogi na nogę.

— Co się stało?

— On znowu — powiedziała — wije się...

Syn Fedora szczelnie zamknął za sobą drzwi.

— Żyje jeszcze?

— Żyje — odparła dziewczyna. — Ale znowu się wije.

Syn Fedora zbiegł ze schodów, dziewczyna ledwo nadążała za nim.

— Kiedy przyszedłam na dyżur — mówiła — wszystko było dobrze...

— A potem zaczął czekać Trezor — dokończyła już na ulicy. — On zawsze czeka, gdy przeczuwa coś niedobrego...

Syn Fedora spostrzegł się, że ma rozpiętą koszulę. Szybko zaczął zapinać, ale drugi guzik dostał się do trzeciej dziurki i koszula przekrzywiła się.

— Trezor zawsze czuje takie rzeczy — mówiła dziewczyna do jego pleców. — Pobiegłam tam, a on patrzy na mnie i skomli. Myślałam, że mu się nudzi...

Syn Fedora nareszcie rozpiął koszulę i począł zapinać od nowa. Skręcili w zaułek i przez przejściową bramę wyszli na Gorczakowską.

— Myślałam, że mu się nudzi — powtórzyła dziewczyna. — Ale tam, gdzie był królik, zrobił się jakiś ruch. Przybiegłam — a on się wije...

Syn Fedora otworzył drzwi, dziewczyna włączyła światło. Pobiegł w dół, uderzając dłońmi w skrzydła drzwi, a dziewczyna pstrykała za jego plecami światło. Z wiwarium tchnęło na nich ostrym odorem zwierzęcego potu. Trezor zaskomlał żałośnie. Syn Fedora pchnął ostatnie drzwi i dziewczyna po raz ostatni pstryknęła światło.

W pomieszczeniu panowała cisza. Martwa cisza. Oczy

królika już się zaszklify. Syn Fedora przełknął ślinę, siadł na lakierowanym stołku i oparł się o ścianę. Wokół martwo bielily się przedmioty. Białe ściany, biały stół, biała gaza na szybach, białe skrzynki z instrumentami. Białe stołki i białe drzwi. I nieoczekiwanie czerwona podłoga. Syn Fedora wyjął papierosa, zacisnął go w zębach i potarł zapałkę. Czerwony płomyk zachybił pomiędzy palcami. Zapałka dopaliła się i sparzyła palce.

Laborantka stała za nim trzymając w rękach kitel. Miała wylęknione oczy, wargi jej drżały.

— No? — syn Fedora rzucił zapałkę i odwrócił się do niej.

— Proszę kitel — powiedziała, ledwo wstrzymując łzy dziewczyna.

— Kitel? — spojrzał na nią w zamyśleniu. — A tak, kitel — rzekł po chwili. — I proszę przygotować instrumenty... — W skroniach mu pulsowało gwałtownie, usta zacisnęły się z uporem.

Gdy wszedł do sklepu, Wala ważyła cukier. Starsza kobieta bacznie śledziła strzałkę wagi. Syn Fedora przystanął przy witrynie, przyglądając się etykietkom: cukierki „pilot”, „złoty klucz”, „południowe”, „sportowe”, drażetki z orzeszkami arachidowymi. Podniósł oczy. Wala postawiła torbę na ladzie.

— Sto gramów „kluczka” — powiedziała kobieta.

Syn Fedora przeniósł wzrok na półki. Wódka, wino, konserwy — rybne, mięsne, owocowe. Wianek kiełbasy zawieszony na sznurku.

— Dwieście margaryny — powiedziała kobieta i poczęła wyjmować pieniądze.

Syn Fedora przyglądał się papierosom „prima”, „bielomor-kanal”, „priboj”, „siewier”.

Kobieta schowała portmonetkę, włożyła zakupy do torby i wyszła, obrzuciwszy go podejrzliwym spojrzeniem.

Syn Fedora uśmiechnął się.

— Znowu przyszedłeś po ciszę? — jak gdyby nigdy nic spytała Wala, opierając się łokciami o ladę. — Wiem. I zawsze w godzinach pracy. Powiedz, czy ty pracujesz?

— Pracuję — odpowiedział syn Fedora. — I naprawdę przyszedłem po ciszę. A skąd to wiesz?

Wala zaśmiała się.

— Ja wszystko o tobie wiem. Zaraz odejdziesz? — spytała.

— Nie. — odparł. — Ty zamkniesz tę budę i pójdziemy razem.

— Dokąd? — spojrzała na niego ze zdumieniem. Zdjęła łokcie z lady, wyprostowała się i stała w cieniu, smukła i szczuplutka.

— Dokąd tylko chcesz — rzekł syn Fedora. — Chcesz pójść do kina? A może chcesz, to wsiądziemy do łodzi i popłyniemy do Tanganiki.

— A może do Wenezueli?

— Można i do Wenezueli — odpowiedział prawie serio.

— Poczęstować cię piwem?

Skinął głową. Wala przyniosła butelkę i szklanę.

— Tylko się nie dziw — powiedział. — Pójdziemy na tańce i do kina. Zaproszę cię na huśtawkę, potem posiedzimy w parku... Będzie cudownie.

Ona znów oparła się łokciami o ladę.

— Wydaje mi się, że już cię trochę znam — powiedziała. — Ale dlaczego jest mi z tobą tak dobrze? Zaraz pójdę się przebrać. I nie musisz wszystkiego robić aku-

rat tak, jak to jest przyjęte. Zrobimy tak, jak nam wypadnie.

Dopił piwo i odstawił szklanę na ladę. Wala rozwiązała tasienki na plecach, zdjęła chałat i stanęła przed nim — jeszcze szczuplejsza.

— Wiesz, wydaje mi się, że znam cię już strasznie dawno — powiedział syn Fedora.

— Mnie także. Tylko że ja stwierdziłam to już wcześniej.

Podniosła deskę lady i podeszła do niego.

— Zaczekasz na mnie — powiedziała. — Ja też muszę ładnie wyglądać...

Usiadł na schodku, położył dłonie na kolanach. Słońce stało pośrodku nieba, okrągłe i niegorące. Po ulicy chodziły kury, coś tam wydziobując. W pyłe grzebały się wróble... Wala założyła na drzwi sworzeń, zakręciła mutrę, włożyła w kłódkę czystą kartkę papieru i zamknęła... Pachniało piołunem i suchymi deskami. Syn Fedora patrzył na niebieskie pagórki widoczne na widnokręgu, na rozsypane wokół domki, na kury dziobiące rdest. Chłopcy biegali z kółkami prowadzonymi na kawałku drutu, które dzwoniły na kamieniach, dziewczynki skakały przez sznurek — bose, brudne nożyny migały tylko w powietrzu.

— Zaraz wrócę — nachyliła się ku niemu Wala. — Nie zanudź się.

Kiwnął głową.

Poszła ulicą, pasek mocno obejmował jej talię, nogi zdawały się być przejrzyste w promieniach słońca. Jej krótki cień padł na piasek, w którym grzebały się wróble — pierzchły spłoszone, wzbijając kurz. A on siedział na ganku i patrzył na dziewczynki skaczące przez sznurek. Skakanka uderzała o ziemię i kurz dymił się jak z ognia. A słońce wciąż tak samo stało nad głową,

okrągłe i niegorące. I było w nim coś z tej ulicy, gdzie grzebały się kury i wróble. I z szczuplutkiej figurki Wali, która z wolna roztopiała się w złotym blasku dnia.

F i n a l e

Przyjezdny człowiek zjawił się w mieście wczesnym rankiem. Zatrzymał się w hotelu i zawiesiwszy na szyi aparat fotograficzny, od razu poszedł oglądać miasto. Mijał ulicę po ulicy, uważnie rozglądając się dokoła. Wreszcie zatrzymał się koło fontanny, przykucnął, zdjął skórzany futerał z aparatu, spojrzał w prostokątne okienko i przesunawszy je w bok, aby objąć wierzbę z nisko opuszczonymi gałęziami, nacisnął migawkę. Aparat szczęknął, mężczyzna przekręcił błonę i ruszył dalej. Szedł wolnym, spokojnym krokiem, przyglądając się domom ze starodawnymi daszkami ganków, wielkim gnejsowym płytom chodnika, drzewom pobielonym u dołu i schludnie otoczonym płótkami. Sfotografował cerkiew i budynek muzeum ze średniowiecznymi działami przy wejściu, chłopczyka, który pociągał nosem nad połamanym dziecinny autkiem, i grubą, dobroduszną sprzedawczynię lodów. Sprzedawczyni uśmiechnęła się do przyjezdnego, a on uśmiechnął się do niej.

Doszedł do rzeki, sfotografował pagórki na drugim brzegu, zszedł nad wodę i ruszył przed siebie. W górze świeciło słońce, promienie padały w wodę i drobne fale zapalały się blaskiem jak latarenki. Mężczyzna podszedł do samej wody, zdjął buty, podwinął nogawki spodni i usiadł na kamieniu. Obejrzał panoramę miasta, zatrzymując wzrok na każdym budynku. Coś zwróciło jego uwagę, na chwilę znieruchomiał. Potem zsunął się z kamienia w wodę i wolno poszedł wzdłuż brzegu. Szmerząca woda pieściła jego łydki. Pochylił się, za-

czerpnął dłonią, woda srebrnymi kroplami pociekła przez palce.

Przyjezdny człowiek wyszedł na brzeg i zapalił papierosa. Słońce prześwietlało jego oczy i na samym ich dnie zapalało złociste skry. Człowiek patrzył na miasto i uśmiechał się. Miał szeroki nos i pulchne, dobroduszone wargi. Wiatr rozwiewał splecione na głowie włosy i nadymał, niby żagiel, koszulę na jego plecach...

1964—1965 r.

Odmieniec

„...krótki jak mgnienie i nikomu niepotrzebny przypadek, nie istniałem przedtem i kiedyś przestanę istnieć; ze zdziwieniem stwierdzam, że moja myśl sięga dalej niż ja...”

E. Sénancour *Obermann*

R o z d z i a ł I

Ten nastrój zawładnął Michałem jeszcze z wieczora. Chlusnęła na niego jesień, zagarniając go jak niepostrzymany strumień, taka jesień, jakiej nie pamięta, od kiedy żyje, zapaliła nad nim gigantyczne watry, zapaliła cały Kijów — tyle było tego ognia, aż zabrakło mu powietrza. Za miastem, koło akademika, uderzył go widok nieba. Było do głębi zmaczone, chmury jak żywe kotłowały się nad dachami. W owym kalejdoskopie, pośród przydymionej wieczorem pożogi — drzewa stały skąpane w blasku przyćmionego złota — obudził się w nim ten niepokój. Nie miał początku ni przyczyny — to była fala, która tocząc się nakryła go z głową. Dziś, kiedy walczył jeszcze ze snem, kiedy próbował przywołać wczorajsze odczucie i ułożyć na znajomych półeczkach, wiedział już, że ma ono głębsze korzenie, niżby można sądzić, że nie minie tak po prostu, że to początek nowego. Sen nie opuszczał Michała, a on usiłował balansować pomiędzy nim i swoimi myślami. W takich chwilach, kiedy majaki wyobraźni dziwnie zgodne były z jego myślami, Michał czuł w sobie zaciszny spokój.

Tego wieczora nie mógł znieść napięcia — watry gorzały nad nim coraz jaskrawiej — i skierował kroki do budki telefonicznej. Blask odbijał się w szybach, rzekłbyś — płoną wokoło domy. Wrzucił w automat mone-

tę — z tego, co miał na trolejbus — i usłyszał sygnał w słuchawce, który zabrzmiał jak syrena straży pożarnej.

— Halo! — powiedział.

— Chciałeś czegoś? — spytała Lida.

— Chciałem ciebie zobaczyć — odpowiedział.

— Ty co, piłeś? — zaśmiała się Lida.

— Chciałem ciebie zobaczyć — powtórzył.

W słuchawce huczał wiatr, trzeszczały wyładowania elektryczne; długo jeszcze stał po odłożeniu słuchawki, nie mogąc sobie dać rady z tym dziwnym przypływem, co tak przemożnie go zagarnął...

Ranek sącył się przez okno mizerny i blady, w pokoju już było pusto, chociaż to była niedziela, kiedy każdy pragnie się wyspać. „Widać już późno” — pomyślał Michał. Ale długo jeszcze leżał, podciągawszy pod brodę kołdrę i usiłując uporać się jakoś z nastrojem, który od razu dał znać o sobie, gdy tylko on rozwarł powieki. Cisza w pokoju była taka, że czuł ucisk w mózgu. Za oknem odezwała się betoniarka, długo słuchał, jak zgrzytliwie, niczym stara baba, przeżuwa kamienie, i wyobrażał sobie, jak lepka masa obraca się między łopatkami. „Przecież dziś niedziela — przypomniał sobie — a oni tam za oknem pracują.” Zresztą było mu obojętne, czy betoniarze pracują w niedzielę, czy nie — hałas nie pozwalał mu się skupić i to go irytowało. Niepokój nie znikał, przeciwnie, jeszcze się wzmaczał. „Tak to bywa — myślał — przychodzą czasem takie dni, kiedy trudno utrzymać się na powierzchni.”

Coś mu przeszkadzało, coś dawnego, od czego właśnie pragnął się uwolnić. Leżał, mocno zaciskając powieki. Ranek przecież dotarł do Kijowa, czuł nawet jego chorobliwą przejrzystość — za oknem rozciągały się sady, rząd topoli stał na baczność jak żołnierze przed generałem, a jeszcze dalej jakiś bajeczny ptak pogubił po nie-

bie ogromne pióra. Można by pójść dziś do Wsewołoda Kaszczenki, myślał, i nasłuchać się muzyki: Wsewołod godzinami przesiadywał przy adapterze. Albo wsiąść w okólny tramwaj „A” lub „B”, pojeździć dookoła miasta...

Walczył z falami senności, myśli przeplatały się z szeregiem odległych, na wpół zapomnianych obrazów; w takich chwilach najczęściej nachodziły go wspomnienia domu, wodząc po ciepłych śladach dzieciństwa, i pragnienie, by raz jeszcze przebyć to, co już przebyte, znaleźć w tym jesiennym chaosie klucz do dnia, który się właśnie zaczynał. Widział daleką drogę do Bachmacza i sam Bachmacz, widział tonącą w zieleni łąkę, po której spokojnie i statecznie chodził wielki, czerwono-nogi bociek.

Rozpalał się ranek. Matka wetknęła mu w rękę gliniany dzbanek ze śmietaną przyniesiony z piwnicy, na którym niby pot wystąpiły drobne kropelki, i posłała do Bachmacza, do wujka. „U nich nie ma takiej śmietany.” Mama wiedziała — wujek da za to kielbasy, którą lubiła nade wszystko. Michał też lubił kielbasę nade wszystko... Wstawiał dzbanek do koszyka, przykrywał kawałkiem białego płótna i z chęcią szedł. Wujkowi ta śmietana była potrzebna jak psu piąta noga — pracował w fabryce przetworów mlecznych — ale matka była nieubłagana: „U nich takiej śmietany nie ma”. Owego pogodnego ranka on, Michał, był w doskonałym nastroju, szedł drogą podskakując na jednej, to na drugiej nodze i na całe gardło wyśpiewywał lekko chrapliwym jeszcze od snu głosem: „Roz-przę-gaj-cie chło-o-pcy ko-nie!” Niekiedy zatrzymywał się, stawiał koszyk na ziemi i brodził po zielonkawych kałużach, płosząc żaby. W jego wyobraźni ożywało wtedy wszystko: i drzewa, i kukurydza, nawet domy. Ożywały ścieżki i dalekie zagajniki. Biegł dalej, czując w ustach wędzony smak

kielbasy. W drodze powrotnej zawsze odłamywał kawałeczek, o ile nie było dokładki, a potem przysięgał się, że tak było.

Tego dnia — Michał zawiercił się w łóżku, dojmujące uczucie przykrości powróciło do niego z dawną ostrością i chwyciło za gardło — trzeba było pecha, że wbił sobie drzazgę w piętę. Włożył już kielbasę do koszyka, ale zatrzymał się w otwartych drzwiach na ganku, by wyciągnąć drzazgę. Wtedy doszedł go podniesiony głos ciotki:

— Długo jeszcze będziemy karmić tę hołotę?

— A tobie szkoda?

— A może nie? — naczynie zabrzączało w rękach ciotki. — Za tę śmierdzącą śmietanę tyle mięsa...

Michał nie wyciągnął drzazgi. Znieruchomiał czując, jak pali go wstyd.

— A co mam zrobić — powiedział wujek — nie przyjąć, wypędzić?

— Kupiłbyś chociaż końskiej — gniewnie burknęła ciotka.

Bachmacz to miasto kombinatów. Bachmacz to miasto, gdzie jest wszystko, jak mówił wujek. Bachmacz — tajemne marzenie Michała... Wyprostował się, zapomniał nawet o drzazdze, krew napłynęła mu do twarzy. Uchwycił się palcami futryny, całym ciałem przewiesił się do sieni i wrzasnął, ile miał siły: „Żryjcie sobie swoją koninę sami! — Wrzeszczał tak, aż go rozboleło gardło. — Żryjcie i udławcie się!”

— Coś ty, Miszko? — wypadła na ganek ciotka.

Zostawił wtedy koszyk z kielbasą i co tchu popędził drogą, nie odczuwając nawet bólu od drzazgi, która wbijała się coraz głębiej w piętę. Świat przesłoniły mu łzy: trysnęły z oczu, skrapiając czerwone jak burak policzki...

Z korytarza dochodziły zwykłe odgłosy: gdzieś strze-

liły drzwi, wstrząsając cienkimi ścianami, słychać było kroki, ktoś rozmawiał poprzez korytarz, głosy odbijały się od ścian. Na piętrze popiskiwała dziewczyna, wabiąco i słodko. Przez szczelinę w drzwiach wciskał się drażniący zapach cebuli i ziemniaków — dom studencki żył swoim codziennym życiem... Michał wyszedł na ulicę i zanurzył się w spokojny jesienny wieczór; drzewa gubiły spłowiałe liście, które padały na martwą trawę jak pogubione chusteczki. Chłopiec z dziewczyną, objęci, wchodzili w cień — popatrzył za nimi z zazdrością. Droga i postaci na niej, i drzewa, wszystko jakby zastygło w bezruchu. Nad topolami leciał samolot, zniżając się do lądowania. Liliowa mgiełka miękko spowijała i drzewa, i zakochanych, których sylwetki widoczne były na tle drogi, i samolot, co zawisł nad topolami, i światła latarni, które też przypominały jesienne liście... Obok Michała przechodzili studenci, pojedynczo i w grupach, wymachiwali rękami, coś mówili lub milczeli, poruszali się wolno i jednostajnie i on nagle uświadomił sobie, że ów niepokój, jaki tak ostro dziś odczuł, nie znika — jest gdzieś tam, w głębi tego liliowego przestworu, w niewyraźnych sylwetkach, snujących się po drodze jak mrówki, trwożąc swoją zagadkowością. „Dziś już taki dzień — pomyślał — i trzeba go przeżyć.”

Dom, w którym mieszkała ciotka Michała, kuzynka jego matki, stał w głębi ponurego, zakopconego podwórza. Zewsząd otaczały je szare mury z wybitymi w nich wąskimi oknami. Połamane rynny zwisały jak stalaktyty, blacha była zżarta rdzą, z żółtymi zaciekami. Bruk podwórza połyskiwał wyszlifowany przez miliony podszew, kran wodociągu jak zawsze był odkręcony i z kurka ciekła pienista woda, rozpryskując się w betonowym, zzieleniałym rynsztoku. Ile razy Michał wchodził

na to przedpotopowe podwórze, zawsze odczuwał pewien lęk i z zamieraniem serca wstępował w chłodną paszczę bramy. Dalej był ciemny szyb z wąskimi schodami, wijącymi się w górę, gdzie tliła się żarówka z ledwo nagrzaną spiralą. Ściany zdawały się być śliskie od wilgoci i pleśni. Schody z szarego granitu były wydeptane, z wyszczerbionymi brzegami stopni i gęstym mchem pajęczyny i kurzu przy żelaznej balustradzie. Spod nóg wyskakiwały koty i znikały w ciemności. Odgłos kroków gubił się w mroku — wokół zastygła pustka, ślepe drzwi z otwartymi ustami skrzynek pocztowych i prostokątami wyblakłych kartoników z nazwiskami lokatorów miały przedziwną zdolność połykania echa...

Ciotka miała dużą, nieomal kwadratową twarz, obramowaną siwymi, drobniutko skręconymi w trwałej ondulacji włosami, niewielkie mrugające oczy i tęgi korpus na krótkich, grubych w łydce nogach.

— A-a, to ty — powiedziała. — Wejdz, dobrześ trafił...

Michał obciągnął marynarkę i przestąpił próg.

Ciotka szła przodem, kołysząc się jak kaczka, suknia wchodziła między fałdy ciała i też miękko się kołysała. Michał potknął się na progu pokoju, a gdy uniósł głowę, patrzyły na niego zza stołu białe plamy twarzy.

— To mój siostrzeniec — przedstawiła ciotka. — Syn ciotecznej siostry.

Przy stole siedziało pięć osób. Ciotczyna synowa, baryłkowata jak ciotka, z zadartym nosem i ciężkim podwójnym podbródkiem, mrugnęła do Michała, wołając:

— A cóż to postawiła mama chłopca koło drzwi? Niechże siada.

— Siadaj, siadaj, Miszko — zakręciła się ciotka.

Posadzono go za stołem, podsunęto nadszczerbiony fajansowy talerzyk i żelazny widelec z kościaną rączką.

Mąż ciotki, trzeci z kolei — pierwszy zmarł jakieś dziesięć lat temu, drugi gdzieś zawieruszył się w świecie — przyjął pozę egipskiego bóstwa. Siedział z nieruchomą okragłą twarzą, jego wodniste oczka w workowatych oczodołach patrzyły z wyrazem pijackiego uporu. Na szerokich ustach pojawił się grymas — mąż ciotki chciał coś powiedzieć.

— Krewniak — wymówił wreszcie i roześmiał się. — Myśmy się razem, che-che, przygotowywali do egzaminów. Na jakiej to ty jesteś uczelni?

— Na uniwersytecie — rzekł Michał.

— Dobrze wiem, że na uniwersytecie. Ale jakim?

— Dajcież człowiekowi zjeść spokojnie — krzyknęła prawie nad uchem ciotczyna synowa. Na jej policzkach kwitł wiejski rumieniec, dorodny podbródek lekko się kołysał.

Obok męża ciotki siedziała jakaś zasuszona paniusia z buzią w ciup. Była w białej bluzeczce z wysokim kołnierzykiem, wiązany z przodu na niewielką kokardkę. Od kokardki szły podłużne stebnowane zakładki, pomiędzy nich wynurzały się perłowe kuleczki pewno jeszcze przedwojennych guzików.

— A której to siostry? — przechyliła się przez stół do ciotki. — Nie Nataszki?

— Serafimy — odpowiedziała ciotka.

— Razem przygotowywaliśmy się do wstępnego egzaminu — mąż ciotki nalewał kieliszki. — Powiedz, Miszko, prawdę mówi wujek Grisza, że gdyby nie on, to byś tej uczelni nigdy nie zobaczył?

Michał uśmiechnął się uprzejmie.

— Nie gadałbyś tyle — z niezadowoleniem wtrąciła ciotka. — Bierz, Miszko! Grzyby, rybka, gołąbki. Ja robię gołąbki z kaszy perłowej — zwróciła się do zasuszonej paniusi — bo ryż powoduje obstrukcję. A ja mam trudności z trawieniem...

— Mnie to nie robi różnicy — odezwała się paniusia. Obok niej, zagłębiony w fotelu, siedział łysy człowieczek o drobnej, bezbarwnej twarzy.

— Mnie też — powiedział. — Mój żołądek trawi...

— Kiedy bolą zęby — poważnie zaczęła tęga kobieta o dużych, męskich rękach — bardzo pomaga świeże mleko, lekko podgrzane, z miękiszem pszennego chleba. Trzeba wziąć do ust i trzymać jak najdłużej. A jeszcze lepiej namoczyć korzeń pokrzywy na dwanaście dni w wódce zmieszanej z piwem, wysuszyć na słońcu i kłaść wprost na ząb...

— Pijemy, pijemy — niecierpliwił się mąż ciotki. — Zdrowie, kumo — huknął do „znachorki” — żeby diabłom, którzy będą smażyć nasze dusze na ogniu piekielnym, dobrze się czknęło!

Podniósł się, trzymając kieliszek w obu rękach, usiłował coś zaśpiewać chrapliwym basem, ale wychylił kieliszek nie dokończywszy śpiewu. Michał też wypił i zakąsił marynowanym grzybkiem.

— A ty wychodzisz na ludzi — przysunęła się do niego bliżej synowa ciotki. — Kiedy przyszedł pierwszy raz, to takie to było mizerne, w cajgowym ubranku — zerknęła w stronę gości, czy wszyscy słyszeli. — A teraz nie ten chłopiec. Miejski. I ubranie niczego sobie, i fryzura modna.

— Nastia, gitarę! — komenderował mąż ciotki.

— Lubię grzybki — głądził pomarszczony człowieczek, dojadając potężnego gołąbka i siorbiąc żółtawy sos — kiedy się je zasoli, jak trzeba, potem trochę czosnku... Pan, Hryhoriju Mujsijowiczu — zmienił temat — nie dokończył, czy dobijemy interesu. Ja nie chcę dużo, byle...

— Byle kieliszek — przerwał mu, szarpiąc struny gitary, mąż ciotki. — Da się zrobić...

— Grisza teraz figura — poważnie szepnęła do Michała ciotka.

— Jaka?

Ciotka zrobiła tajemniczą minę i pokazała ręką:

— Pisze.

— Mówiła pani — odezwała się „znachorka” do ciotki — że źle pani trawi. Trzeba zrobić tak: wziąć srebrną monetę, wrzucić do wina albo wódki i pić potem trzy razy dziennie po stołowej łyżce... Można też inaczej: bierze się żółć wołową i smaruje nią dobrze naokoło pępka. A jak i to nie pomoże, trzeba pochodzić boso po wilgotnej ziemi, a potem dobrze wyparzyć nogi w gorącej wodzie.

— Ja ci coś powiem — mówiła synowa ciotki do Michała. — Poszukaj sobie dziewczyny z Kijowa. Jak już będziesz na piątym roku, wtedyżeń się, i zostaniesz w mieście. Co masz miesić błoto na wsi?

— Patrzę tak na Miszka — sentymentalnie kiwała głową ciotka — i przypomina mi się wieś! Ileż to już lat żyję w mieście, a nie mogę zapomnieć wsi. Nieraz mi się zdaje, że wszystko bym rzuciła — powiodła wzrokiem po pokoju, dając jednakże do zrozumienia, jak wiele by rzuciła — i wyjechała. Słońce świeci, powietrze czyste, woda jak kryształ. Napije się człowiek wody ze źródła i od razu czuje się młodszy. A jakie u nas jabłka! Nigdzie takich nie ma. Jadę na wieś, żeby się najeść tych jabłek...

Mąż ciotki znów próbował śpiewać, tocząc dokoła bezbarwnymi oczami.

— A ja znam twoją mamę — zawołała przez stół do Michała wysuszona paniusia. Przełknęła nabity na widelec kawałek ogórka, otarła usta i dokończyła: — Co za kobieta, złoty człowiek! Kiedyś bawiliśmy się u Iszczenków, pewno wiesz?

— U Kieliszczenków — poprawił mąż ciotki. — Nie

u Iszczenków, a u Kieliszczzenków. Ja sam jestem Kieliszczenko, cha-cha!

— Griszo! — z wyrzutem rzekła ciotka.

— Nie mieszaj się — warknął mąż ciotki. — Bo ci się pomieszam!

— Rozebrało dziadygę — mruknęła ciotczyna synowa.

— Nasprawadzała tu darmozjadów!

— Griszo! — podniosła głos ciotka. — Wstydzilibyś się chociaż ludzi!

— Pluję na twoich ludzi — stary nieprzytomnie już wodził szklistymi oczami. — I plunę. O, ten — wparł tępy palec w Michała — jak myślisz, po co on przychodzi? Żeby się nażreć...

Michał rzucił widelec i wstał.

— Miszko! — jęknęła ciotka.

Zasuszony człowieczek patrzył z zaciekawieniem w paciorkach oczek. Jego żona ceremonialnie zesznurowała usta, dając do zrozumienia, że po pierwsze nie jest pijana, a po drugie — w jej domu takie świętstwo nie mogłoby się zdarzyć.

— A ja powiadam — darł się mąż ciotki, wybałuszając mętne oczy — że skorych do wyżerki jest do diabła i trochę, ale robić nie ma komu!

Michał już zmierzał do wyjścia. Ciotka rzuciła się za nim.

— Miszo, nie obrażaj się. On jest głupi. Że też go diabli przynieśli na moje utrapienie. Jak nie jest pijany, to złoty człowiek. A jak się napije — nie wie, co robi. Nie gniewaj się, kochany, co ja się mu nagadam, ale nic nie pomaga.

Podeszła do niego — gruba, niezgrabna, ze łzami w oczach. Czuć było od niej wódką i czosnkiem, ręce, które przytrzymały Michała, zdawały się nie mieć kości — były jak dopiero co usmażone naleśniki. Michał

próbował się uśmiechnąć, żal mu było i ciotki, i tej nieudanej wizyty. Pożegnał się spokojnie i wyszedł na korytarz, gdzie czatowały na niego zielone światelka kocyk oczu i dziesiątki spojrzeń ciemnych dziurek od kłucza.

Gdy Michał wyjeżdżał do Kijowa, ojciec pożegnał się z nim rano wychodząc do pracy. Matka odprowadziła go do wrót, ucałowała i Michał ruszył znajomą, wciąż tą samą drogą na Bachmacz.

Bachmacz to duży węzeł kolejowy, jak mówił im nauczyciel geografii. Trzynaście tysięcy mieszkańców. Nie mogło to być mniej albo więcej, tylko akurat trzynaście! — mawiał wujek. — Fatalna liczba! Bachmacz to ośrodek przemysłu spożywczego. Wujek mawiał: u nas, w Bachmaczu, jest wszystko! Kombinat mleczarski — wujek pracował tam jako księgowy i bardzo był zadowolony ze swej pracy; kombinat cukrowniczy, kombinat drobiarski — Bachmacz to miasto kombinatów. Ośrodek remontowo-budowlany — tam pracował jako ślusarz najstarszy syn wujka, Mikołaj; trzy szkoły średnie — w jednej pracowała żona wujka, w drugiej uczył się on, Michał. Jest nawet szkoła muzyczna — najstarszy syn wujka, Mikołaj, posyłał do niej swoją córkę, która — jak wszystko na to wskazywało — za grosz nie miała muzycznych uzdolnień. „Niech będzie — mówił Mikołaj — to jej może się przydać!” Bachmacz — zachwycające miasto, ma Dom Kultury, klub, kilka bibliotek, jeśli się włączy w te „kilka” i biblioteki szkolne, Bachmacz — miasto sadów i rozmiękłych, błotnistych dróg...

Michał szedł wówczas znajomą drogą i było mu wesoło. Bo czekała go nowa droga, znacznie dłuższa od tej, czekało go niewiadome. Szedł na spotkanie te-

go niewiadomego lekkim, sprężystym krokiem, bez cienia żalu za tym, co pozostawiał za sobą...

Dziś na miasto zeszła jesień, przesłoniła okna miękkim woalem mgły. Gęsta i sucha mgła wchodziła do nosa, do gardła, tamowała oddech, krew mocno pulsowała w skroniach. Michał bez oporu pozwolił się zagarnąć łagodnym falom melancholii. Zauważył, jak połyskują złotem kasztanowe liście. „Dziś niech będzie dzień bezczynności — pomyślał — ten dzień dopiero się zaczął, ale niech zakończy się tak samo.”

Jego pokój w domu studenckim pełen był dymu i pannał w nim ów osobliwy nieład, kiedy to każdy jak najmniej zwraca uwagę na drugiego. Wasyl Lubar dodawał przedziwną paczkę z makaronu, pomidorów i przypalonej margaryny, śmierdzącej na cały pokój. Iwan Warski krzywił się i demonstracyjnie zatykał nos. Hryć Bojczenko leżał i czytał grubą książkę o historii Słowian.

— Powiedz, Wasylu, coś z Haśka — poprosił Michał.

Wasyl uśmiechnął się kwaśno i odwrócił się do niego plecami.

— Właśnie wróciłem od Luśki — powiedział Warski. — A ty co, piłeś?

— Piłem — potwierdził Michał rozsznurowując buty. „Mam szczęście do krewniaków” — pomyślał. Ale nie czuł złości. Bo gdy wyszedł od ciotki, ulice tonęły już w miękkim jesiennym zmierzchu. Polewaczka miejska zmywała liście, a on patrzył, jak w pienistych potokach znika czerwone złoto. Potem stapał po lśniącej nawierzchni, widział w niej siebie i przechodniów — wszystko się załamywało i spływało wraz z wodą. Zobaczył w rynsztoku zbitą kupkę liści, które jaśniały w niebieskawym neonowym półmroku jak żółta łata. I w tej

chwili ogarnęło go dziwne uczucie. Wydało mu się, że ten wieczór — to zaledwie mały wycinek wszystkich wieczorów i że on bynajmniej nie jest ukoronowaniem jego nastroju, że to dopiero początek.

— A tobie — spytał Iwana Warskiego — nie sprzykrzyła się jeszcze twoja Luśka?

I natychmiast pożałował pytania, wiedział już, co go czeka. Warski ożywił się. „Zaraz zacznie nie kończąca się opowieść — pomyślał ze znudzeniem — o wszystkich zaletach Luśki. Wad jak na razie nie posiada. Że jaka to ona mądra, że postanowili złożyć razem swoje stypendia i razem wydawać pieniądze, że ona już zrobiła ich pierwszą wspólną kolację...”

— A-a-a-a! — przeciągle ziewnął Bojczenko.

— Przysmażyła kartofelki i ugotowała kawy. To nie to, co w bufecie czy stołówce. Dobrze sobie pojadłem. — Warski pogładził się po brzuchu i łakomie się uśmiechnął.

Potem poszli na spacer. Po dobrej kolacji trzeba się przejść. Luśka dużo czyta. Kto zresztą dziś powie, że mało czyta. Niedawno na przykład rozmawiali o Feuchtwangerze...

— To ja ci go poradziłem — dla ścisłości zauważył Michał.

— Dobra książka — mówił Warski. — Dałem ją Luśce. Przeczytała i jak myślisz, co powiedziała? Powiedziała, że ładna książka. To znaczy, że ma smak. Najważniejsza rzecz — to wspólne gusta.

— Zwłaszcza w jedzeniu — dorzucił Michał.

Hryć wsunął książkę pod poduszkę i zapatrzony w sufit przysłuchiwał się ich rozmowie. Wasyl wreszcie zjadł swój makaron, z hałasem wstawił rondel do szafy i wyszedł.

— Postawiłby chociaż na gazecie, świnia! — mruknął Hryć Bojczenko.

— W jedzeniu też trzeba mieć smak — rzekł Warski. — Smażone w domu ziemniaki to całkiem nie to, co w stołówce... Potem poszliśmy do kina, na *Żelazny kwiat*. Głupi film. I co myślisz? Jej też się nie podobał — Warski z zadowoleniem roześmiał się. — Nie, powiedz tylko, co za dziewczyna! We wszystkim się zgadzamy...

— A-a-a-a — ziewnął Bojczenko.

— Zasłoniłbyś chociaż paszczę — oburzył się Warski rozścielając łóżko.

— Obejdzie się — skończywszy ziewać odgryzł się Bojczenko.

— Ta dziewczyna naprawdę ma dobrze w głowie — ciągnął dalej Warski. — Wyszliśmy z kina i klniemy — co za głupi film. W ogóle mało jest dobrych filmów. A powinny być takie, żeby chwytaly za serce. Powiedziałem o tym Luśce. I co myślisz? Powiada: ja właśnie w tej chwili pomyślałam sobie to samo. Nie, niech kto mówi, co chce, ale świetna z niej dziewczyna. A przy tym ładna. Dziś przyjrzałem się jej nogom...

— A-a-a-a — po raz trzeci ziewnął Bojczenko.

Wrócił Wasyl, szybko rozebrał się i zgasił światło. Warski leżał na kołdrze i uśmiechał się marząco.

— Figurkę też ma niczego sobie. Z taką dziewczyną pochodzić, każdego by skorciło. Pytam, czy miała chłopców. Nie zdążyłam jeszcze, powiada. To znaczy, że ja jestem pierwszy. Cholernie lubię być pierwszym. Bo jeśli nie jest się pierwszym, to skąd można wiedzieć, co tam naprawdę w duszy...

— Jak powiedział Remarque, z kurw bywają najlepsze żony — zauważył Michał.

— Niech sobie mówi, co chce, ten twój Remarque — zarozumiale oświadczył Warski — a ja uważam inaczej; kiedy ciało czyste, to i dusza czysta.

— A z iloma ty się zadawałeś? — odezwał się Bojczenko.

— To nie ma znaczenia — Warski zachichotał — po mnie nie widać... A taka jak Luśka właśnie mi potrzebna. Żeby nie było żadnej plamki. I najważniejsze — wzajemne zrozumienie. A ona mnie rozumie.

Do pokoju wpadła nierówna smuga światła z pobliskiego placu budowy, za oknem hurkotały wibratory i betoniarki.

— Chcę pojechać — paplał dalej Warski — do jej rodziców. Dziś mnie zaprosiła. Ona pochodzi z dobrej rodziny, ojciec jej jest inspektorem finansowym, matka — nauczycielką. To, z jakiej człowiek jest rodziny, też dużo znaczy, chociaż mówi się, że to nieważne. Jak go wychowają od małego, taki już będzie. Pedagogika ma przyszłość. Ja bym odbierał złym rodzicom dzieci i oddawał do specjalnych szkół, gdzie by je wychowywano tak, jak trzeba.

Bojczenko już chrapał, a Michał usiłował nie słuchać Warskiego. Rozejrzał się po pokoju rozjaśnionym ukośną smugą światła, wpadającą przez okno od placu budowy. Było tu jak wszędzie w domach studenckich: jednakowe łóżka, jednakowe szafy, drzwi, kołdry, kosze na śmieci i tylko oni — niejednakowi.

Warski już tymczasem marzył o przyszłości. Umówili się, że mieszkanie urządzią według wspólnego gustu. Najważniejsze — to wspólny gust. Musi tam być wszystko, co potrzebne do porządnego życia; najważniejsze, to żyć porządnie. On kończy uniwersytet o rok wcześniej, pozwoli mu to jako tako stanąć na nogi, odłożyć jakiś grosz. Najważniejsze — nie czynić żadnych pochopnych kroków. O dziecku teraz nawet myśleć nie warto — dla studenta to tylko ciężar, mnóstwo nieprzyjemności i kłopotów — najpierw obsprawić się, a kiedy już wszystko się ułoży, wtedy można postarać się, che,

che, i o to. Jak się tylko ma głowę na karku, to wszystko będzie tak jak powinno.

Umilkł wreszcie, a Michał jeszcze czas jakiś słuchał warkotu wibratorów za oknem. W pokoju zaległa już cisza. Bojczenko przestał chrapać i zamlaskał ustami. Warski wciąż jeszcze wpatrywał się rozpalonym wzrokiem w ciemność. „Dziś był dzień — pomyślał Michał — w którym za dużo było pożarów.” Jeszcze dotąd miał w oczach płonące żółte płachty — ni to płomienie, ni to zmyte do rynsztoków liście. Żółty kolor wszedł w jego duszę i było w tym coś z łagodnej pociechy. A jednak żył w nim jeszcze niepokój. Też żółty, jak wszystko dzisiaj, jak ta jesień, co zagarnęła go i powiodła w złote wirydarze swoich tajemnic. Trzeba było poradzić sobie jakoś z tym dziwaczным zalewem liści, co zarzuciły go od stóp do głowy, lepiły się do odzieży i włosów. Szedł niby błazen na bezludną maskaradę, a w duszy miał smutek.

R o z d z i a ł II

Pochylała się nad nim twarz matki, a on jeszcze pragnął utrzymać się na słodkich falach snu. Ale twarz nachylała się niżej i Michał otwierał oczy. Matka coś mówiła, bo widział, jak poruszają się jej wargi, poprawiała chustkę i przykładała dłoń do jego czoła. „Chce mi się spać — mruczał — tak mi się chce spać!” Palce błędziły po Michałowej twarzy, a potem gładziły wicherki nad czołem. „Już czas, synku, już czas.” „Wiem, że czas” — mruczał, nie mogąc sobie poradzić z tymi falami. Twarz matki już nie pochylała się nad nim, lecz nieruchomiała na tle ściany. Patrzył na tę ścianę, na fotografię w wielkiej ramie i usiłował wyrwać się z fal, ale one znów go zalewały i niosły jak piórko. I znowu

czuł dłoń matki na czole. „Co ty się z nim cackasz — bez złości mówił ojciec, wnosząc ze dworu chłód porannej rosy i zapach świeżego nawozu — jak mu zaraz przyłożę pasem, to skoczy jak oparzony.” „Za bardzoś ty skory do pasa” — burczała w mroku babka, błyskając bielmem niewidzących oczu. „A wyście mnie, matko, hołubili?” — nie ustępował ojciec, i Michał ostatecznie się budził.

Zeskakiwał z łóżka, w biegu chwycił ze stołu okulary i spłoszywszy w sieni kury, wypadał na podwórze. Rosa parzyła bose nogi, a tam, gdzie był kiedyś pański dwór, już wisiało czerwone słońce, pręgowane czarnymi gałęzmi starych grusz. Przystawał w obliczu jego niewzruszonego spokoju. Od czerwonych promieni bolały oczy i Michał zdejmował okulary. Świat od razu się zmieniał: w matowej kąpieli kołysała się ogromna kula, a nad Michałem szumiały jakby dymiące korony drzew. Dzwonił łańcuch przy psiej budzie, Burek wyginał grzbiet i patrzył na Michała pełnymi oddania oczami. Czarny, mokry nos śmiesznie mu się marszczył, z pyska zwisał różowy język, a w oczach zapalały się czerwone isierki. Czerwona kula słońca wytaczała się ponad korony grusz — rosa parowała na ciepłych nogach chłopca. Z ogrodu przechylały się przez płot dojrzałe słoneczniki, wróble dziobały je w oczy, a one kiwały tylko ślepymi głowami.

Słoneczniki podobne były do bab i on traktował je jak baby. „A co, baby — pytał — wypatrujecie kogoś?” „Pogody od morza” — szeptały słoneczniki i tajemniczość tej odpowiedzi zapierała chłopcu oddech. Morze kryło się gdzieś tam, w opowieściach z geografii, toczyło na step bursztynowe fale i zalewało gorący piasek. Nad wodą rosły egzotyczne palmy, a w południowym słońcu wygrzewały się niezwykle zwierzęta. Michał mrużył krótkowzroczne oczy i wyliczał ich nazwy: dzio-

baki, kolczatki, kangury, nosorożce, krokodyle... Kangury miały smutne oczy i może dlatego najbardziej mu się podobały. Skakały na długich, silnych nogach i ten obraz napełniał go spokojem...

Wracał wolno do chałupy. Matka smażyła jajecznicę na śniadanie. Ojciec wychodził na dwór, w kącie tkwiła nieruchomo babka. Jadł naprędce, pił dużymi łykami ranne mleko i z ukosa spozierał na zegar ścienny z kotem wymalowanym na tarczy. Kot miał duże, okrągłe oczy i uparcie wpatrywał się w Michała. „Zobacz no, która godzina” — mówiła matka. Michał wyskakiwał zza stołu, chwycił chlebak z książkami i wybiegał za furtkę — przed nim leżała kilkukilometrowa droga do Bachmacza.

Bachmacz — miasto kombinatów, Bachmacz — miasto szkół. Michał wychodził ze wsi na białą drogę, biegnącą aż do widnokręgu. Ta droga wiła się i wabiła. Nad ziemią tlił się wrzesień. Połyskiwały wielkie szmaragdy rosistej trawy. Zawsze przystawał, nim podjął codzienną wędrówkę, głęboko wciągał powietrze i kopnąwszy jakiś kamyk, mknął zalaną słońcem, obudzoną przez ranek drogą. W górze dzwoniły skowronki, a w kukurydzy obok szosy dźwięcznie nawoływały się przepiórki.

Wierzchowski był Polakiem. Ściślej mówiąc, miał polskie nazwisko i odpowiedni zapis w dowodzie osobistym.

— Wiesz — powiedział do Michała — jestem czystej krwi szlachcicem. Co prawda nie zachował się dyplom szlachecki — mój ojciec, w istocie człowiek honorowy, całe życie spędził w piwiarniach. Chcesz wiedzieć, to on nie lubił restauracyj. Bo tam nie ma smaku. Nie ma tam nawet tego zapachu, jaki panuje, przepraszam, panował w szynku. Całkiem niedawno zadano ojcu naj-

cięższy cios — zamknięto piwiarnie. Co prawda, z litości dla tych, którzy bez piwiarni żyć nie mogą, pozostawiono jedną. Byłeś kiedy w Żytomierzu? Pewno nie. Żytomierz to urocze miasto. Było tam kilka niezwykle popularnych zakładów. Piwiarnia na Czudnowskiej, koło mostu, później ją przeniesiono trochę wyżej, skąd rozciąga się pyszny widok na żytomierskie wzgórza. Piwiarnia na Szczorsa, gdzie ich zresztą nie było! Pozostała tylko jedna, na Lubarskiej. Mój ojciec przedtem nigdy tu nie chodził. Był stałym bywalcem tej na Czudnowskiej. Tak więc, kiedy na miejscu przemilego pawilonu wykopano dół i zbudowano czteropiętrowe pudło, ojciec wpadł w melancholię. Ta melancholia była tak trudna do zniesienia, że stary umarł.

Twarz Wierchowskiego skrzywiła się boleśnie, jego bezbarwne nieomal oczy zasnuły się mgiełką smutku.

— Muszę cię oświecić w tym względzie. Kijów nie jest miastem tak charakterystycznym jak Żytomierz. Tu masz do diabła i trochę budek z piwem, ale niełatwo znajdziesz prawdziwą piwiarnię. Najwytworniejszy lokal to „Ukraińskie potrawy”; jest tam wszystko, nawet kot. Tu są porządne restauracje. Ale ja odziedziczyłem po ojcu pogardę dla restauracyj. Czy nie moglibyśmy kontynuować naszej rozmowy w jakimś zacisznym miejscu?

Siedzieli na bulwarze Szewczenki, naprzeciwko wydziału humanistycznego. Wierchowski ubóstwiał włóczyć się po ulicach, łatwo nawiązywał rozmowy i znajomości. Chodził w rozpiętym płaszczu i bucikach o nieprawdopodobnie długich nosach, spod marynarki wyglądała najprawdziwsza kamizelka. Teraz wstał i Michał też podniósł się w milczeniu.

— Kiedy przyjeżdżam do Żytomierza, przyjemnie mi się wspomina ojca. Mój ojciec był filozofem: Ciężko ci na duszy — nie grzeb się w niej za wiele. Zbrzydnie ci

gonitwa za samym sobą — szukaj towarzystwa albo roboty. Ojciec oddawał pierwszeństwo towarzystwu. W kompanii zawsze się rozerwiesz. Najlepszym lekarstwem na melancholię są zabawa i kobiety. A ty miałeś do czynienia z kobietami? Oczywiście zaraz powiesz, że tak. Bo któryż szanujący się mężczyzna powie, że nie. Gdybym nawet spytał, czy spałeś z kobietą, na pewno powiedziałbyś, żeś spał.

— Nie — z pobłażliwą miną powiedział Michał. — Nie spałem z kobietą i prawie nie miałem z nimi do czynienia.

— Wiedziałem, że tak powiesz! — zauważył Wierchowski. — Przemówił przez ciebie onże mężczyzna. Trzeba mi było powiedzieć coś całkiem przeciwnego... Ale to głupstwo. Najważniejsze — to znaleźć właściwy ton. Czyli być zawsze w dobrym humorze i gwizdać na przeciwności.

Szli przez Chreszczatyk. Na ulicy było pełno ludzi, wokoło jak w kalejdoskopie migwały twarze, szeleściły płaszcze, szurały po asfalcie podeszwy, stukały obcasy. Michał zawsze odczuwał lęk znalazłszy się w takim szarym morzu ludzkim. Tu nie było jego, nie było Wierchowskiego, nie było w ogóle człowieka — był tylko tłum, jednolity, złożony z pojedynczych molekuł organizm, który był w nieustannym ruchu, zalewając chodniki, przejścia uliczne, wpływając w ciemne otwory sklepów i wylewając się stamtąd. Tłum pochłaniał nie tylko ciało, ale i świadomość — nie chciało się myśleć, tylko szłoby się tak i szło, machinalnie stawiając nogi i wsłuchując się w odgłosy własnych kroków, zlewające się z ogólnym szumem. Jedyne, co można było wyróżnić w tym tłumie, to męskie i kobiece postaci. Ale i to nie naruszało monotonii. Bo tłum nawet przy takim podziale pozostaje jednorodny.

— Wracajmy — rzekł Wierchowski. — Dlaczego ja

ci wykładam tak oczywiste prawdy? Bo za tobą idzie niedobra sława. A to źle, niezależnie od czasów, w jakich się żyje. O tobie opowiada się anegdota...

Michał w zdziwieniu uniósł brwi.

— A skąd się biorą anegdota? Właściwie z pogardy dla człowieka. W Żytomierzu był pewien chłopiec, nazywano go Buzia. Był taki jak my wszyscy, ale nie wiadomo dlaczego właśnie z niego się wyśmiewano. Każdy mógł za nim splunąć. A kiedy Buzia dorósł, zrozumiał, że z tego piekła trzeba się wyrwać. To znaczy, pokazać swoje „ja”. Akurat przed tym wybił mu ktoś ząb i teraz, zebrawszy wszystkie swoje oszczędności, Buzia wstawił sobie złoty. Był to moment przełomowy w jego biografii. Nauczył się genialnie wydymać wargi, tak aby, że tak powiem, z jamy ustnej wybłyskiwało złoto. I co myślisz? Zdobył prawie autorytet, już więcej nikt z niego nie kpił. Ale na swoje nieszczęście postanowił kiedyś pójść, jak pełnoprawny obywatel, do piwiarni, tej na rogu Puszkina i Teatralnej — teraz w tym miejscu jest sklep warzywniczy. Ojciec opowiadał: Siedzieli przy stoliku i pili piwo, kiedy wszedł Buzia. Bufetowym był Sioma Sztilman. Znał równie dobrze Buzię, jak pół Żytomierza. Poczekaj, dokończę — Wierchowski zatrzymał Michała przed wejściem do „Ukraińskich potraw”. — Otóż Buzia wszedł do piwiarni, z góry popatrzył na Siomę Sztilmana i wygęgał, wykrzywiając usta w lewo: „Pi-i-wa!” Błysnęło złoto w głębi, że tak powiem, jamy ustnej. W tym momencie wszyscy nagle zamilkli i z ciekawością przyglądali się im obu. Sioma Sztilman to był mądry człowiek, pracował w piwiarni dziesięć lat. Spojrzał na Buzię i szeroko otwierając usta pełne złotych zębów, powiedział: „Nie ma!” To był krach. Po tej historii Buzia znikł z Żytomierza i nikt go tam więcej nie widział. Bo nawet błyszczące

chromowe buty z cholewami, jakie wciągnął na nogi po tej porażce, nie uratowały jego reputacji...

Weszli do restauracji „Ukraińskie potrawy”. Rzeczywiście było tu przyjemnie, zacisznie. Ściany malowane na niebiesko, stoliki nakryte czystymi lnianymi obrusami, krzesła w pokrowcach, spokojne kelnerki, a na tle masywnych półek szeroka twarz bufetowej za ladą. Ludzi było mało, syty kot leniwie przeszedł się między stolikami.

— Więc o czym to ja mówiłem? — spytał Wierzchowski. Jego pociągła twarz z długim, cienkim nosem i małymi ustami była nieruchoma, aż majestatyczna.

— O mojej zaszarganej reputacji.

— Aha. Wiem, że prócz mnie nikt ci tego nie powie w oczy. A mnie lichy bierze, kiedy różne barany zaczynają kpić z człowieka. Nienawidzę podstępności, bo to jest, jak mawiał mój ojciec, bardzo zbliżone do podłości. Przypomnij mi potem, opowiem ci ciekawą historię... Oni myślą, że można na mnie nie zważać. W każdej społeczności są tacy, na których nie zwraca się uwagi. Przy mnie mówi się wszystko. A ja słucham i to mnie piecze. Bo mam swoje zasady...

— Proszę, słucham — przed stolikiem stanęła kelnerka.

— Dzień dobry, Ninko — powiedział Wierzchowski. — Dałabyś nam, z łaski swojej, po dobrym sznycu.

— To wszystko?

— Wszystko, Ninko.

Kelnerka odeszła. Wierzchowski palnął się w czoło.

— O najważniejszym zapomniałem. Słuchaj, mam dziesiątkę.

Michał bez słowa wyjął pieniądze. Wierzchowski poszedł do bufetu i przyniósł butelkę wina.

— Uczę się zadowalać tym, co mi dane, jak przyka-

zywał stary Skoworoda *. — Napełnił szklanke i upił trochę. — Nie skończyłem. Kiedy ktoś chce podłożyć drugiemu świnię, robi tak, żeby źle o nim myśleli jego przełożeni. To bardzo istotna prawda. Czy ty masz wrogów?

— Nie — odparł Michał.

— Tym gorzej — Wierzchowski znów upił łyk wina. — Im mniej, w twoim mniemaniu, masz wrogów, tym więcej ich jest. Wiesz, że u nas na roku często zbierają się chłopcy i dziewczęta na wieczorkach. A że ty na te wieczorki nie chodzisz — ja chodzę, żeby wypić — to znaczy, że się tobie to nie podoba. A jeśli ci się nie podoba, to znaczy — gardzisz. A jeśli tak, to jakie masz prawo gardzić? Bo niby kimże ty jesteś, powiedzą ci. Nikim. Komar, muszka, robak, dureń i idiota. A ty gardzisz, to znaczy wynosisz się nad innych. Słowem, nie można ignorować tych, którzy mogą zignorować ciebie.

Wierzchowski odchylił się na oparcie krzesła i zadowolony z siebie uśmiechnął się.

— Może powstać taka na przykład sytuacja. Dziekan wzywa do siebie starostę i pyta: „No, jak tam twoja grupa?” Starosta ma okazję dać wyraz swoim sympatiom i antypatiom, tym bardziej że opłaca mu się pokazać swoją gorliwość. Uważasz, że ciebie pominie?

Michał roześmiał się.

— Uważam, że nie.

— Otóż to. Mnie pominie — rzekł Wierzchowski. — Tacy jak ja są nieszkodliwi, nietrudno ich zrozumieć. Poza tym nie gardzę samogonem, który przywozi ze wsi tenże starosta. Ale gdy człowiek stanowi dla innych tajemnicę, ma w sobie coś odmiennego, czyli wykracza

Hryhorij Skoworoda (1722—1794) — ukraiński filozof i poeta.

poza granicę przeciętności, to może jeszcze nie zbrodnia, ale jej możliwość.

— Mój Boże — śmiał się Michał. — Nie powiedziałem nikomu złego słowa, nic złego nikomu nie zrobiłem.

— Jakie to ma znaczenie? — Wierzchowski łyknął wina. — Gdybyś nawet trochę narozrabiał, nie byłoby nic strasznego. Ale ty nie chcesz mieć z nimi do czynienia, i to ich złości. Jak ślimak zamknął się w swojej skorupie, a oni świetnie wiedzą, że pod tą skorupą kryje się bynajmniej nie pustka. Mój ojciec, człowiek wielkiej szlachetności — to, że chodził po piwiarniach, to tylko oznaka jego demokratycznej natury — lubił mawiać: człowiek nigdy nie będzie zagadką, jeśli zechcesz go zrozumieć. Trzeba tylko na chwilę spróbować wcielić się w tego, kogo chcesz zrozumieć, odrzucając wszelkie swoje uprzedzenia. Bo jeśli chcesz zrozumieć drugiego człowieka poprzez siebie, wywołasz tylko w sobie irytację na niego. Czyż nie tak?

— Twój ojciec był mądrym człowiekiem — powiedział Michał.

— Proszę, są szynce — podeszła do stolika kelnerka.

— Jesteś cudowna, Ninko — rzucił Wierzchowski i odwrócił się do Michała: — Pewno myślisz, że Wierzchowski to po prostu głupiec, który nic nie rozumie... Ale to tylko jeden powód. Jest jeszcze drugi, nie mniej ważny.

Michał pociągnął łyk wina i spojrzał w okno. Na dworze złociła się jesień. Drzewa ciskały w szyby czerwonym żarem, czarne cienie pni i gałęzi rysowały się na niebieskim tle jakby wycięte z dykty. „Dekoracje — pomyślał Michał. — Dekoracje do jakiegoś dramatu. A może i komedii.”

— Musisz zrozumieć rzecz elementarną — powiedział Wierzchowski. — Każdy człowiek obraca się wokół pe-

wnych konieczności. Czy ty chodzisz na tańce w naszym domu studenckim?

— Nie — odparł Michał.

— Otóż i drugi powód. Na naszym roku jest pięćdziesiąt osób. W tym trzydzieści pięć dziewcząt, wśród nich tylko trzy mężatki. Chłopców żonatych jest czterech. Pozostaje zatem jedenastu kawalerów i trzydzieści dwie dziewczyny. Prosty rachunek. Jak może dziewczyna zejść się z chłopcem? Wieczorki z wypitką — to raz, tańce — to dwa... Czy mnie rozumiesz?

— Tak — powiedział Michał. Okno wciąż jeszcze pałało, mieniać się jak płynna miedź. Na parapecie siedział kot i czujnym wzrokiem wodził za liśćmi opadającymi na ziemię.

— Czy to, że ty jeden z jedenastu nie chodzisz na tańce i nie zwracasz uwagi na żadną z trzydziestu dwóch dziewcząt, może twoim zdaniem nastrajać dobrze wobec ciebie? Trzydzieści dwie osoby — to przytłaczająca większość, której sąd jest już sądem ogółu. Czy możesz liczyć na wyrozumiałość? Nie możesz. Bo twoje trzymanie się na uboczu drażni innych. Pomyśl, w jakiej sytuacji się znalazłeś — Wierzchowski zamilkł, siorbnął wina, zakąsił sznyclem i zapatrzył się w ścianę. — Takiej statystyki nie wolno lekceważyć — powiedział po chwili. — Wszystkiego i tak nie da się przewidzieć, ale rozsądny człowiek musi zwracać uwagę na to, co się wokół niego dzieje. Czasem nawet by ci na myśl nie przyszło, że ktoś, kto się mile do ciebie uśmiecha, może cię nienawidzić. Niezbadane bywają sekrety nienawiści. Jeśli utrwali się zła opinia o tobie, możesz pożegnać się z nadzieją na jakąś dobrą pracę po studiach. A opinia kształtuje się stopniowo. Raz twoje nazwisko wpadło w ucho dziekanowi z epitetem niepochlebnym, drugi — i już zostajesz zaszeregowany do

„niepoprawnych”. Nikt nie będzie wchodził w szczegóły, bo nie ty jeden jesteś na świecie...

Kelnerka zbierała brudne naczynia z sąsiedniego stolika. Była spasiona i powolna. Z talerzy kapał sos na serwetę, ale ona tego nie widziała. Wreszcie zauważyła, postawiła naczynia na tacy i zaczęła osuszać serwetką płamę.

— Wiesz, jak można poprawić sytuację?

Michał spojrział na kolegę.

— Wiem — powiedział. — Ale nie chcę nic poprawiać.

Wierzchowski przysunął się bliżej.

— Dlaczego?

— Bo na razie gwizdzą na to, jaka mnie czeka kariera.

— Tak mówił mój ojciec — westchnął Wierzchowski. — Mówił, że muszą być wartości czyste...

— Miałeś mi coś opowiedzieć — przypomniał Michał.

— Aha — skinął głową Wierzchowski. — Znałem dwóch przyjaciół, Wit'kę Wysockiego i Mikołaja Karpowa. Karpow miał patologiczny zwyczaj upijania Wit'ki tak, że tamten walił się z nóg, a potem wzywał milicję albo prowadził tam przyjaciela i oddawał go do izby wytrzeźwień. Wkrótce zwrócono na niego uwagę. Został aktywistą i po kilku miesiącach z prostego robotnika awansował na brygadzystę...

— Nie bardzo to wesoła historia — rzekł Michał.

— Chcę ci jeszcze coś powiedzieć.

Wierzchowski dopił wino, skończył sznycel, nabił na widelec kawałek chleba i wytarł talerz.

— Jesteś spokojny z usposobienia — powiedział wreszcie. — Ale wiesz, czym różnisz się od innych? Takich spokojnych jest więcej, a nikt się ich nie czepia. Kim są twoi rodzice?

— Wieśniacy — odpowiedział Michał.

— A więc nie to — Wierzchowski kręcił widelcem. — Jak by to ściślej się wyrazić... Po pierwsze masz twarz, która podoba się dziewczętom, choć pewno sam o tym nie wiesz... Po drugie...

Michał roześmiał się. Od pożaru za oknem aż bolały oczy. Kot zeskoczył z parapetu, otarł się o pończochę kelnerki i zadarłszy głowę ochryple zamiauczał. Wierzchowski też się uśmiechnął, pochyliwszy się ku Michałowi. Wiedzieli, że ich rozmowa nie jest jeszcze skończona, ale obaj czuli, że w tej chwili wszelkie słowa są zbędne.

— No cóż, panowie, dać rachunek? — spytała kelnerka.

— Bądź łaskawa — rzekł Wierzchowski.

— Kogut? — spytał chudy jak tyka dryblas.

Ze wszystkich stron otoczyły Michała groźne twarze, a on — mały, z chlebakiem na ramieniu, wodził po nich wylęknionymi oczami.

— Czego ode mnie chcecie? — krzyknął cienkim głosem.

— Kogut? — spytał Tyka.

— Co na niego patrzycie? — krzyknął grubas, który stał z tyłu za innymi. — Bić kogucią mordę!

— Poczekaście — powstrzymał palących się do bitki Tyka. — Niech ja go jeszcze spytam. Kogut?

— Czego ode mnie chcecie? — krzyknął Michał.

— Jasne — szepnął Tyka. — Bijcie!

Skoczyli ku niemu ze wszystkich stron. Ktoś podstawił nogę i Michał rymnął jak długi. Ktoś z siłą uderzył go w twarz — z nosa buchnęła krew, okulary poleciały w bok, zdążył tylko jeszcze usłyszeć, jak chrupnęły pod czyimiś nogami. Nie widział już przeciwników, któ-

rzy grzmocili go po głowie, żebrach, plecach. Natężył się i kopnął któregoś z nich. Tamten jęknął i upadł. Michał znowu kopnął, ktoś zasyczał z bólu i z całej siły walnął go w ramię.

— A-a-a-a! — wzleciał w górę rozpaczliwy krzyk. — A-a-a!

Michał miotał się wśród niewyraźnych cieni, które atakowały go ze wszystkich stron, młócił rękami, kopał nogami, bił głową. Znowu zwalili go z nóg, upadł twarzą w zieloną soczystą trawę.

— A-a-a-a! — słyszał wrzask gdzieś w górze. — A-a-a!

Jeszcze raz wierzgnął nogą i naraz poczuł pustkę wokół siebie. Cienie znikły. Podniósł się wolno i usiadł, obciągając ubranie. Naprzeciwko niego wisiał żółty krag słońca z tęczową obwódką. Od słońca rozchodziły się promienie, wyglądało to, jakby po niebie lał jakiś olbrzymi pająk. Pająk rozpalał się, światło, oślepiające i czerwone, raziło oczy. „Zalane czerwonym atramentem” — pomyślał, wparłszy się obu rękami w miękką trawę.

Pomogli mu wstać i otrzepali z kurzu.

— Okulary — powiedział Michał.

Ktoś głośno splunął i Michał zobaczył tuż obok siebie znajomą twarz Wołod'ki Korża.

— Okulary — powtórzył.

— Nie ma już twoich okularów — powiedział Wołod'ka Korż. — Rozbite w drobny mak...

— Czego oni ode mnie chcieli? — spytał Michał.

Wołod'ka Korż znowu splunął.

— Albo nie wiesz? — rzucił ze złością. — Ty nigdy nie wiesz!

— Naprawdę nie wiem — powiedział Michał wycierając twarz chustką do nosa.

— No właśnie! Właśnie! — powtórzył Wołod'ka. — Wszyscy już wiedzą, tylko ty nie!

— Ależ ja nic nie wiem — z rozpaczą mówił Michał.

— Przeklęty ślepunder! — zaklął Wołod'ka Korż. — Ty nigdy nic nie wiesz. Chłopcy z Bachmacza wydali wojnę wsiowym...

Michał macał rękami po ziemi.

— Nic już z nich nie będzie — powiedział Wołod'ka Korż.

— A oprawka — rozplakał się Michał — oprawka została?

— Oprawkę też połamali. Ty przecież jesteś bardzo mądry — wycodził Wołod'ka Korż. — Chodzisz sam...

Michał grzebał w pyłe. Wołod'ka Korż postąpił krok i podniósł szczątki oprawki.

— Masz — powiedział. — Z tego już i tak nic nie będzie... A od dziś będziesz chodził do szkoły razem ze wszystkimi!

Skręcili z bratem na ścieżkę i wolno poszli wzdłuż parkanu. Gdzieś daleko w stepie warczał traktor, na drugim końcu wsi śpiewały dziewczęta. Nagrzana ziemia tchnęła ciepłem, pachniało spaloną słomą — w polu wypalano ściernisko, nawet stąd było widać pełzające płomyki. Milczeli. Noc wydała się nagle czymś żywym — żyła w szeleście listowia, trawy pod nogami, w głosach nocnych ptaków. Michał wyjął papierosa i potarł zapalną. Płomyk oświetlił jego skupioną twarz, noc łagodziła ostrość rysów. Dziewczęta wciąż jeszcze śpiewały, koło klubu terkotał głośno aparat kina objazdowego.

Rozleniwienie ogarniało z wolna ciało, kosmaty mrok chłonał myśli i słowa. W tym wieczorze wszystko ule-

gało jakiemuś dziwnemu rozkojarzeniu. Osobno żyło ciało, osobno mózg. Osobno żyły też oczy, biegły w ciemność gdzieś ponad żółtym ognikiem papierosa. To, co się mówiło, nie pokrywało się z tym, co chciało się powiedzieć. Najważniejsze — to uchwycić myśl, uchwycić początek nici i rozmotać kłębek, który zwie się dniem, nocą, rokiem. Rozmawiali o czymś tam z bratem: słowa były mgliste i niewyraźne, jak symbole, i umierały padając w ciemność. Trzeba było znaleźć początek nici. Niewidzialne macki świadomości szukały w mroku. Michał patrzył, jak pali się w polu ściernisko. Płomyki chygotały się, podskakiwały w górę i znikały. Nad polem przeleciało wylęknione rzenie spłoszonego konia i powtórzyło się w dali głuchym echem.

Na wygonie odbywały się tańce. Koszule chłopców bieleły się na ciemnym tle nocy. Zsunawszy na tył głowy czapkę, harmonista wygrywał wciąż tę samą wesołą melodię. Dziewczęta chichotały, popatrując na chłopców. Trzy pary energicznie wzbijały tumany kurzu. Przystanęli koło gromady, brat przytupnął do taktu, jego wargi rozciągnęły się w uśmiechu. Pochwycił wpół wysoką dziewczynę i powiodł do koła.

Michał poszedł dalej i przez zaułek wydostał się w pole. Leżało przed nim — szerokie i bezkresne. Od strony basztanu huknął strzał i zatupotały trwożnie czyjeś kroki.

— Michał! — usłyszał wołanie brata, ale nie odpowiedział. Odezwały się z fermy krowy, pewno też je przestraszył huk wystrzału, i głośno kłął nocny stróż na basztanie.

Jakaś kudłata postać wyrosła przed Michałem, odskoczyła w bok, ale poznawszy go, przystanęła. „Kradłem kawony” — powiedział Wołod’ka Korz ze zduszonym śmiechem. Podrzucił dużego kawona w górę, ponad głowę, i przez moment trudno było się zorientować, co jest

kawonem, a co głową. Wołod'ka poszedł, stąpając ciężko, a stróż jeszcze kłął.

Michał zboczył z drogi i ruszył na przełaj przez zakurzoną łąkę. Obok przeczłapał biały, rozkiełznany koń. W chatach gasły światelka. Przy studni ktoś dzwonił wiadrem, woda głucho chlupała na ziemię.

Dziewczęta zamilkły, parsknął i ucichł aparat kinowy, seans się skończył. Ucichł też warkot traktora w stepie. Michał pozostał sam na sam z niebem i ziemią. Stał, jakby wrosnięty w tę ziemię, doznając jakichś niezwykle podniosłych uczuć. Poruszył jego serce duch ożywiający dziesiątki pokoleń jego przodków, którzy całe swe życie uprawiali ziemię, żyli dla niej i dla niej umierali. I chociaż on już był daleki i od przodków, i od ziemi przesyconej ich potem i krwią, ten duch odezwał się w nim teraz, wywołując zamęt w jego duszy.

Podszedł biały koń i wyciągnął łeb, chwytając wargami powietrze. Strzygł czujnie nastawionymi uszami i naraz zarżał, smutno i przywołująco. Michał zbliżył się do konia, przesunął ręką po grzywie i objął go za szyję. Wszystko to już jakby kiedyś było: i ta noc, i ten koń, i migotliwe płomyki — wszystko jakby się powtarzało. Koń dotknął wilgotnymi, chłodnymi wargami ręki Michała i opuścił łeb. Michał oparł się rękoma o jego zad i lekko wskoczył mu na grzbiet. Dotknął jego boków obcasami, zwierzę wzdrygnęło się, spojrzało zezem na niego i ruszyło. Popłynęły pogrążone we śnie chałupy, sady, płoty, tyki studziennych żurawi, od zagród pachniało sianem i ciepłym nawozem. Michał przejechał przez główną ulicę i skręcił w zaułek, strzechy zwisały tu nieomal do ramion. Koń pobiegł szybciej, płynęły i płynęły chaty z czarnymi i złotymi oknami, z uśpionymi sadami, a w oddali, na polu, dokąd wychodził zaułek, przestrzeliwały ciemność małe płomyki.

Jak zjawia mknął biały koń z czarnym jeźdźcem na grzbiecie. Niby kadry filmu pojawiały się na mgnienie obrazy przeszłości, wyłaniały się i znikwały twarze, zastygłe jak maski. Wymieniał w myśli imię i nazwisko — twarz znikwała, ustępując miejsca innej. KobiECE i męskie, dziecięce, starcze i młode twarze otoczyły go ciasnym kołem. Postacie poruszały się w powolnym rytmie starego tańca i dziwnie przypominały płomyki w stepie.

Koń zwolnił i stanął, wpatrując się w ciemne pole. Michał trącił go nogami. Koń zadarł łeb, zarżał i puścił się klusem. I Michała ogarnęła niepohamowana radość, jaką być może odczuwali jego przodkowie, gdy galopowali przez step, wdychając gorzkawy zapach piołunu. Domy pozostały daleko w tyle, przed nim było bezkresne pole. Czuł, jak oddycha ziemia. Czarna, bogata, wezbrana sokami, urodzajna i wieczna.

R o z d z i a ł I I I

Zobaczył ją jeszcze z daleka. Lida stała na skrzyżowaniu i machała do niego ręką.

— Nie chce mi się dzisiaj iść na wykłady — powiedziała.

Stała przed nim w nieprzemakalnym płaszczu, mocno ściągniętym w pasie, a on patrzył na nią i czuł, jak ciepło robi mu się na sercu. Pod płaszczem Lida miała sweter z wysokim golfem, podchodzącym aż pod brodę. Za nią pałały krzaki bulwaru — ponad miarę szczerze chluśnięta na ziemię czerwono-żółta akwarela.

— Nie chce mi się iść na wykłady — powtórzyła Lida.

— Mnie też — przyznał się Michał.

Stali w długim, wąskim tunelu topolowej alei skropionej złotem jesieni.

— Mnie też — powiedział Michał. — Jak chcesz, możemy nie iść...

Lida usiadła na ławce. Nad nią płonęła topola — płomienie lizały niebo.

— W żaden sposób nie mogę się do ciebie dodzwonić — powiedział Michał opierając się kolaniem o ławkę.

Roześmiała się.

— Masz pecha...

— Od czasu — powiedział — jak mam twój telefon, ani razu nie udało mi się z tobą spotkać...

Aleją przeleciał wiatr — zaszeleściła topola i posypały się liście; słuchali, jak czepiają się krzaków, jak spadają na asfalt — wiatr je podchwytывał i zmiatał na bok.

Lida odwróciła głowę: patrzyła na niego jesień. Miała dziwne, migdałowe oczy, w których był cały świat. I tu, pośród tych topoli, na początku długiej, aż do nieboskłonu, asfaltowej dróżki, poczuł, że nie należy do siebie. „W końcu — pomyślał — taki już jest porządek rzeczy. Nie może tak być, aby człowiek należał tylko do siebie. «Ja» — to niezbyt miły towarzysz i rozmówca.”

— Jesteś jakiś dziwny — powiedziała Lida.

— Chciałbym się częściej z tobą widywać — odpowiedział.

— Dziwny jesteś — powtórzyła.

Na horyzoncie, tam gdzie zaczynała się aleja, ukazała się samotna postać starego człowieka.

— Nie chce mi się iść na wykłady. Ale nie można też nie pójść — powiedziała Lida. — Akurat toczy się kampania o stuprocentową frekwencję.

— Gwiżdżę na wszelkie kampanie — oświadczył Michał.

Stary człowiek wystawiał przed siebie łaskę i stukał o asfalt.

— Pewno ślepiec — zauważyła Lida. — Tobie wszystko uchodzi, a ja nie chcę mieć nieprzyjemności.

Michał z żalem spojrzał na pustą do niedawna aleję. Szło nią już dwu staruszków z takimi samymi łaskami.

— Nie chcę mieć nieprzyjemności — powtórzyła Lida. — Kiedyś, jeszcze w szkole, mogłoby to ująć za szczeniacki wybryk. W szkole byłam strasznym urwisem...

„A ja trusią” — pomyślał Michał. Topola nad nimi niespokojnie szeleściła. Aleją szło już trzech staruszków, niemiłosiernie stukając o asfalt łaskami.

— Może dokądś pójdziemy? — spytał Michał.

— Nie — pokręciła głową Lida i podniosła się. — Zadzwoń do mnie.

W milczeniu patrzył w aleję. Jeden za drugim siedł już cały rząd staruszków, podnosząc jak na komendę łaski i jak na komendę uderzając nimi o asfalt.

— Zadzwoń do mnie — powiedziała Lida.

Staruszkowie byli jeszcze daleko, ale widział, że wszyscy są w ciemnych okularach. „Rzeczywiście ślepcy” — pomyślał.

— Zadzwoń do mnie — powiedziała Lida.

— Dobrze — odpowiedział.

— Jestem głęboko przeświadczony — mówił do swojej dziewczyny Iwan Warski — że dziwak i anormalny to jedno i to samo. Choćby właśnie taki Michał. Kiedy przyszedł na studia, śmierdziało od niego stajnią — oczywiście nie mówię, że to coś złego. Tak też na niego z początku patrzono. Ale nie wiem czemu, poczęto go wyróżniać. W ciągu pół roku ubrał się po miejsku, ale nic mu to nie pomogło. Dziwak i nienormalny to jedno

i to samo. Czego się wymaga od normalnego człowieka? Żeby umiał związać do kupy parę słów, nie pchał się tam, gdzie go nie proszą, i w ogóle nie bardzo wystawiał na pokaz swoją osobę. U dziwaków nie jest wszystko w porządku z psychiką. Gdyby to ode mnie zależało, pakowałbym ich do szpitala. Ale ich jeszcze przyjmują na uniwersytet i nas zmuszają, abyśmy mieszkali z nimi w jednym pokoju. Wiesz, z czym wyskoczył ten Michał? Kiedy my wszyscy jak porządni ludzie szliśmy na subotnik, wykłady oczywiście zostały odwołane, on powiedział: „Diabła tam! Nie macie prawa!” To znaczy, że dziekan nie ma prawa! „Kochaneczku — powiedziałem mu — nie byłby dziekanem, gdyby nie miał prawa.” „Przyszedłem tu, aby się uczyć” — powiada. To już było naiwne i śmiechu warte. „A kolektyw — spytała Walka Jacenko — kolektyw nie jest ci drogi?” Nic na to nie odpowiedział. A tak w ogóle to on wpadł w oko Walce Jacenko, tylko to taki tuman, że trzeba mu aż listu jak Onieginowi...

— Ty byś zauważył — uszczypliwie rzuciła dziewczyna Warskiego.

— Pewno, że zauważyłbym — nie bez pychy potwierdził Warski. — Bo nie jestem taki głupi... A więc starosta przyskakuje do niego i pyta: „Idziesz?” „Nie idę.” Istna komedia. „No to ja idę do dziekana.” „Szczęśliwej drogi” — powiada. Tak w ogóle to on ma coś w tej głowie, ale we wszystkim trzeba znać miarę. Po co te pozy? Żeby pokazać: patrzcie na mnie, jaki jestem oryginalny. Widzieliśmy już takich oryginałów. Niejeden potem się kajał. Wypędzić do stu diabłów, wtedy i z pychą by się skończyło... A więc dziekan wzywa go do siebie. Ja za nim, razem ze starostą. „Co to za kawały?” — pyta dziekan. „Żadne kawały — powiada. — A pan ma czuwać nad realizacją programu nauczania.” O mało trupem nie padłem. To już jakaś

patologiczna naiwność. Dziekan poczerwieniał i jak nie wrzaśnie: „Marsz na subotnik!” Co prawda to było w piątek, ale co za różnica! — Warski roześmiał się. Kiedy śmiał się, jego krótka górna warga, jak opowiadał wszystkim Wasyl Lubar, upodobniała się do zajęcej. — No, myślę sobie — mówił dalej Warski — będzie awantura. Dziekan się piekli, aż biurko podskakuje, a ten nic. Prawdę mówiąc, nasz dziekan to niezły idiota. Kiedyś skompromitował się nie na żarty. Znasz Kazymczuka? Powiesił na ścianie *Królową Areois* Gauguina. Dziekan przyszedł na inspekcję do naszego domu i jak nie wsiądzie na Kazymczuka! Jeśli mam być szczerzy, to też niemały idiota. Ale tym razem przestraszył się.

— U ciebie każdy jest idiotą — zauważyła dziewczyna Warskiego.

— Nie czepiaj się słów. Więc mówię ci, zląkł się nie na żarty. „To przecież Gauguin” — powiada drżącym głosem. „Ty mi tu nie wymyślaj jakichś Gogenów — krzyczy dziekan — znamy waszych Gogenów, ponawieszali pornografii!” Na szczęście nadeszła wykładowczyni, która wiedziała, kto to był Gauguin. „To można — szepnęła na ucho staremu — jest dozwolone. Gauguin to wielki malarz.” Dziekan spuścił z tonu i na dalszy obchód pokoi poszedł już razem z nią. — Warski głośno się roześmiał. — No, ale z subotnikiem sprawa nie była taka prosta. „Widzę, młody człowieku — powiada w końcu dziekan, a taka uprzejmość u niego nie wróży nic dobrego — że nie bardzo dobrze się pan czuje w radzieckiej uczelni.” „Czuję się bardzo dobrze — odpowiada ten jełop. — Ale chcę, żeby wszystko było tak, jak być powinno.” „Dobrze, może pan iść” — machnął ręką dziekan, ale oczy aż mu się pałały. „Dopuszczacie do anarchizmu!” — wrzasnął na nas. „Bo on w ogóle...” — bąknął starosta. „Opuszcza wykłady?” — pyta dziekan. „Nie — powiada starosta. — Ale on nigdy nie

liczy się z kolektywem.” „Poruszyć to na komsomolskim zebraniu” — ucieszył się dziekan. „On nie jest komsomolcem.” „Jak to?” — mówi dziekan. „A tak” — odpowiadam. „Wobec tego rozpatrzyć tę sprawę na zebraniu ogólnym.” „Dobrze — mówi starosta. — A jaka ma być rezolucja?” „Nagana” — odpowiada dziekan. Nasz starosta to zły człowiek. Tchórz i zły. Wszyscy ludzie małego wzrostu są kaśliwi jak komary. Z nim radzi sobie tylko jeden Bokow. Ten gra w reprezentacyjnym zespole siatkówki i więcej jeździ na mecze, niż siedzi na wykładach. Wystarczy, że pokaże staroście pięść jak dynię, i ten nie piśnie na zebraniu ani słowa na jego temat. Otóż zwołaliśmy zebranie, bo pachniało skandalem — opowiadał dalej Warski. — Starosta podszedł do Michała: „Słuchaj, dziś jest zebranie.” „No i co z tego?” — pyta Michał. „A to, że będziemy oceniać twoje zachowanie.” „Jakie zachowanie?” — pyta. „Niezdyscyplinowanie i antykolektywizm” — powiada starosta. W ogóle — pouczał Warski swoją dziewczynę — nie jest źle, kiedy człowiek pokazuje swoje „ja”, ale kiedy tym „ja” kole innych w oczy, to już jest obrzydliwy egoizm, a ja nie znoszę egoizmu. „Nie strugaj wariata” — powiadam do niego. Skoczył jak oparzony: „Co się wtrącasz w nie swoje sprawy?” „A kolektyw — mówię — kolektyw to dla ciebie nic nie znaczy?” Rozumiem, że każdy człowiek chce się pokazać, ale we wszystkim trzeba znać miarę. „A więc — powiadam — odłóż swoje książeczki i siadaj.” „Dobrze — powiada on — ale kimże ty znowu jesteś, że mi rozkazuje?” „Ja? Jak oni wszyscy — członkiem kolektywu.” Zobaczyłabyś, jak on umie wydymać wargi. I usiadł z taką miną, jakby zrobił Bóg wie jakie ustępstwo. To mnie rozeźliło. Bo jednak trzeba znać miarę. A w ogóle to on jest trochę stuknięty...

Warski odetchnął głęboko, jakby chcąc zaczerpnąć nowych sił, i opowiedział tę historię do końca.

— Zaczęła się heca — mówił. — To było bardzo burzliwe zebranie. Posypało się na niego ze wszystkich stron. Szczególnie mocno atakowała go Walka Jacenko. Po niej dobrali się do niego inni. Jak wiesz, w kolektywie zawsze bywają aktywni i pasywni. Otóż podczas gdy aktywni wygarniali wszystko, co im się nazbierało na wątrobie — o, wszystko mu wypomniano: i spóźnienia, i sprzeczki z wykładowcami — pasywni drzemali w ostatnich ławkach. Zawsze mnie irytuje ich obojętność. Nie zabierałbym głosu, gdybym nie zobaczył, że Michał nie słucha, co się mówi. Mało tego — najbezczelniej w świecie gra z Kazymczukiem w szachy. Nie wytrzymałem i powiedziałem mniej więcej tak: wy tu sobie strzepicie języki, a on się zabawia. Popatrzył na mnie, jakby mi chciał podziękować. „Jeśli chcecie, mogę wam powiedzieć, co ja o tym sędzę.” Trzeba diabelnej pychy, żeby tak się zachować. Ogólne oburzenie nie miało, jak się to mówi, granic. „Nie potrzebujemy twojej łaski!” — krzyknęła Walka Jacenko. „Niech mówi” — powiedział wykładowca, który brał udział w zebraniu z ramienia dziekanatu. To też dobra oferta, chodzi na winko do winiarni naprzeciwko opery i gwizdże na wszystko. A więc nasz bohater wyszedł na środek, oparł się o katedrę, jak jakiś profesor — to też oburzyło publikę — i zaczął...

Warski przystanął, ujął się pod boki i niemal dosłownie powtórzył wystąpienie Michała:

„Wszystko jest dla mnie jasne — powiedział. — Zebrali się tu ludzie, którzy chcieliby pogadać. Dobrze, niech się wygadają.”

(Wybuch oburzenia. „Patrzcie go!” — krzyknęła Walka Jacenko.)

„Ja nikomu nie przeszkadzałem, to teraz wy mnie nie

przerywajcie. Kiedy tu jechałem, chciałem tylko jednego — uczyć się. Marzyły mi się jasne mury świątyni nauki...”

(„Myślałeś, że cię po główce pogładzą?” — krzyknęła Walka Jacenko.)

„Większość z nas wychowała się w prostych rodzinach. Rodzice nie mogli nam przekazać wiedzy, która uzupełniłaby szkolne wykształcenie. Stąd wielkie luki w naszych wiadomościach, i dlatego cenna jest dla nas każda chwila...”

— Ależ to była heca — Warski aż począł skakać z uciechy, wyszczerzywszy zęby. „On ma zajęczą wargę” — ze smutkiem pomyślała jego dziewczyna. — W życiu czegoś takiego nie widziałem. Nie pytaj, co się działo. To było istne piekło, starosta wrzeszczał jak zarzynane prosię, krzyk nie mieścił się w sali. Tylko pasywni w milczeniu drzemali na tylnych ławkach.

— I jak się to skończyło? — spytała dziewczyna Warskiego, ziewając w kułak.

Warski zamilkł, zdziwiony.

— Jak to, nie mówiłem ci? Wlepiono mu surową naganą.

Michał otrzymał list od ciotki:

„Drogi Miszku okropnie mi wstyd że tak to brzydko wyszło z tym wieczorem kiedy Grisza się upił jak jakie bydlę i naurągał tobie bardzo mi było wstyd i nawet chciałam przyjechać do ciebie i prosić cię o wybaczenie ty powinienesz mnie zrozumieć on zawsze był głupi ja to mówiłam do Marusi a Marusia powiada do mnie obrazili człowieka to już ty mi wybaczone bo stało się to bez mojej winy a przez pijanego Griszę który w ten wieczór za dużo wypił on wtedy wypędził wszystkich moich gości i chciał się jeszcze bić ale nadszedł Kostia

i spuścił go ze schodów tak że Grisza rozbił sobie czoło i ramię ale mi go nie żał bo zachował się jak niekulturalna świnia i narobił wstydu mnie i Marusi Kostia mówi żebyś go wypędziła on przyszedł na drugi dzień i przeproszał i prosił żebyś napisała do ciebie list i powiedziała że on nie chce cię obrazić i że to wszystko on zrobił nie umyślnie a z tej przyczyny że spał się jak świnia tak że Miszeńka wybacze że tak to wszystko wyszło po głupiemu już byłoby lepiej gdyby on się nie upijał jak świnia Marusia mówi że ty nie wybaczysz bo bardzo cię obraził Grisza ale ja i Grisza i Marusia i Kostia prosimy ciebie żebyś przyszedł bo w rodzinie ludzie się kłócą i łatwo sobie przebaczą Marusia powiada że Griszy trzeba dać nauczkę ale on sam się kaja i mówi żebyś ja prosiła ciebie o wybaczenie bo on się zachował jak niekulturalna świnia czoło ma do dzisiaj rozbite i ręka spuchła bo Kostia bez żartów spuścił go ze schodów sąsiedzi mają teraz żer dla języków bo nigdy u nas czegoś takiego jeszcze nie było Miszka proszę cię wybacze nam wszystkim i nie gniewaj się chociaż masz prawo się gniewać ja nie mogę pojechać do ciebie bo coś mnie boli prawa noga w stawie ciężko mi nawet wejść na nasze czwarte piętro to wszystko mocno się odbiło na moich nerwach myślałam już że to odchoruję ale jakoś przeszło tylko bardzo mnie boli prawa noga w stawie Miszeńka nie zapominaj o nas i przyjdź nie gniewaj się proszę cię o wybaczenie od Griszy i Marusi i od siebie także wszyscy u nas zdrowi tylko ta noga nie daje mi spokoju przychodź twoja kochająca ciotka Nastia”.

Michał wrzucił monetę do automatu, wykręcił numer i usłyszał długie sygnały.

— Halo — odezwał się Wsewołod Kaszczenko.

Michał nacisnął guzik, automat z hurkotem połknął monetę.

— To ja — powiedział. — Umówiliśmy się na dziś.

— Czekam — rzekł Wsewołod. — I mam dla ciebie niespodziankę.

— Wielką?

— Arthur Honegger — powiedział Wsewołod. — Przychodź...

Przedpokój mieszkania Wsewołoda miał boazerie naśladujące drzewo bukowe i w jego brązowym półcieńniu Michał poczuł się nieco zagubiony. W pokoju Wsewołoda było weselej, jak zawsze panował tu nieład. Narzuta na otomanie była zmietoszona, na podłodze leżały książki i płyty, na fotelu jeden z licznych głośników, porozwieszanych po całym pokoju. Wsewołod uprzątnął go i poprosił Michała, by usiadł. Był uprzejmy i gościnnie.

— Dziś mam niespodziankę — mówił chodząc po pokoju. — To był dziwny człowiek — Wsewołod włączył adapter. — Wychował się w domu handlowym „Café-import” w Hawrze. Studiował w konserwatorium w Zurychu i w Paryżu. Potem wszedł do Les Nouveaux Jeunes, której przywódcami byli Sattie i Cocteau. Przyjaźnił się z Milhaudem. Skomponował pięć symfonii, kilka oratoriów scenicznych, oratorium-misterium *Joanna d’Arc na stosie*, następnie *Taniec umarłych*, muzykę do Sofoklesa, Szekspira, Claudela, Camusa. A więc *Joanna d’Arc na stosie*. Sam się dziwię, jak ją zdobyłem.

Wsewołod nastawił płytę i w pokoju rozległo się długie i przejmujące wycie psa, aż ciarki przeszły słuchaczy. Hańba ma swoją filozofię, którą trzeba tak samo zgłębić, jak filozofię sławy. Zrozumiałe i bezsensowne. Bezsensowne i zrozumiałe...

To było coś niezwykłego, co siłą wdzierało się w duszę: zamiast wyczyszczonych, harmonijnych a pustych

pasaży — złota sieć dźwięków rozpięta między niebem i ziemią, a w tej sieci drzące czarne węzły.

— To Joanna pod słupem na placu kaźni — rzekł Wsewołod odwracając skupioną twarz.

Złota sieć rozciągała się nad głową coraz szerzej i szerzej, już przesłoniła horyzont — ukośne promienie boleśnie raziły oczy...

— Ten epizod ma tytuł *Z księgą* — wyjaśnił Wsewołod. — Święty Dominik czyta z wielkiej księgi o życiu i męczeństwie Joanny d'Arc.

Wysłuchany w muzykę, Michał pochwycił w nią nagle coś, co go od dawna męczyło: dał kryjącą tajemnicę. Z początku taką dałą był Bachmacz i rodzony wujek. Potem Bachmacz zbladł. Stopniowo, niezauważenie przyswoił sobie jego uliczki i domy, sady i drogi. Tajemnica odsunęła się do Kijowa, a kiedy i Kijów począł się przed nim otwierać, poczuł, że dał kryjącą tajemnicę nie znikła. Tajemnice kryły w sobie książki, ludzie, muzyka, wreszcie on sam. Bez przerwy rozpościerała przed nim swe zwodnicze sieci. A on szedł w te sieci, i tak to trwało bez końca. To było jak jakiś kołowrót, perpetuum mobile, którego nikt nie potrafił wymyśleć, a o którym nawet dziecko wie.

Wpierw cicho, potem coraz głośniej rozlegały się groźne głosy: „Heretyczka, czarownica, zdrajczyni...”

— Sąd — nieomalże wykrzyknął Wsewołod. — Członkowie trybunału — to zwierzęta. Nikt nie chce przewodniczyć, dopiero wieprz się zgadza.

Michał siedział zagłębiony w fotelu i miał uczucie, jak gdyby znalazł się nagle w jakiejś groteskowej sali, gdzie wszystko jest na tyle normalne, że przestaje być normalnym. Wszystko jest potworne w swojej normalności, potworne i śliskie. Przed nim otwierały się drzwi ciemnych korytarzy z jasną wstęgą przejścia. Można w nich biec tylko po tej błyszczącej wstędze. Ale ta wstę-

ga, biegnąc mu naprzeciw, krążyła jak eskalator. Więc biegł wciąż pozostając w miejscu.

— Gra w karty — rzekł Wsewołod. — Teraz będą grać o Joannę d'Arc. Grają — Pycha, Głupota, Zachłanność, Pożądliwość i Śmierć. Joanna przypadnie temu, kto ją wygra...

Maski, maski, maski i wśród tych masek tylko jedna twarz, ale i ona chce się upodobnić do maski. Bo wszyscy dokoła są w maskach. Michał widział wokół siebie sieć. Złotą sieć ze złotymi pajakami.

— Ścena spalenia Joanny d'Arc — rzekł Kaszczenko.

Joanna widzi swoje dzieciństwo. Naokoło takie znajome pola i droga, którą Michał chodził do Bachmacza, w pierw z koszykiem, potem z chlebakiem, w którym były książki. Słysząc śpiew słowika i przepiękną melodię *Trimazo* — pieśń o majowej królownie. Ileż ich było, tych srebrnogłosych słowików w byłej pańskiej siedzibie, obok której przycupnęła ich chata. Ileż białych zjaw w białych sukniach z głośnym śmiechem biegało po zaniebanych alejach. Dzwoniły dzwoneczki zbyt ko-wnych karet: zjeżdżali się goście. Statecznie wysiadali, otoczeni służbą, poważni i majestatyczni, a spoza drzew śledziły ich ciekawe oczy panienek, którym słowiki wróżyły narzeczonych.

— Kto jest autorem tych wierszy? — spytał Michał.

— Paul Claudel — odparł Wsewołod.

— To jest dobre — w zamyśleniu powiedział Michał. — Chociaż nie zrozumiałem ani słowa, ale to jest dobre.

Pieśń o majowej królowie — pieśń pół z solo skowronków dzwoniących na wysokościach. Nieraz ją słyszał, kiedy biegł w podskokach drogą do Bachmacza, goniąc tajemnicę, która wciąż się oddalała. Niezgrabna i dziwna zniknie na zawsze, gdy na ustach pojawi się pierwszy pobłażliwy uśmiech.

— Chciałem cię o coś spytać — powiedział Wsewołod. Miał szeroką twarz o ostro zarysowanych kościach policzkowych i duże, trochę smutne oczy.

Michał uniósł głowę.

— Wyśmiano cię niedawno w gazecie uniwersyteckiej...

— Wiem o tym — skinął głową Michał.

— Czy to cię nie boli?

— Nie — odparł Michał.

— Uważnie słuchałem cię na zebraniu. Co chciałeś przez to osiągnąć?

— Nic — uśmiechnął się Michał. — Chciałem się po prostu wypowiedzieć.

— Napijesz się kawy? — zaproponował Wsewołod.

— Dziękuję, z przyjemnością — odparł Michał.

Wsewołod wyszedł, a Michał przyglądał się regałom z fonoteką i książkami, sięgającymi od podłogi do sufitu. Cały ten pokój zarzucony był książkami, leżały na otomanie, na dwóch nie zajętych przez głośniki krzesłach. A wszystko przyprószone było tym osobliwym pyłem, jakim pachną drogie rzeczy, jakim pachniał kiedyś w dzieciństwie pański sad. To zawsze budziło w nim żal. Taki jakiś ciepły, osobliwy żal. Czego mu było żal i co było przyczyną — nie potrafiłby powiedzieć. Może ten pył, który osiada na kosztownych rzeczach, może kolorowe koperty rzadkich płyt, a może płaskie oblicze nocy, które przylgnęło do okien, a może te straszliwie długie korytarze ze srebrną wstęgą błyszczącej ścieżki. Kto wie, pomyślał, może przyjdzie taki czas, kiedy nie będzie pokonywał wstęgi eskalatora przeciwko kierunkowi ruchu. Przyjdzie czas, kiedy i jego poniesie. Trzeba tylko iść, wciąż iść przed siebie. Dalej będzie prościej i łatwiej.

— Jest kawa, proszę — wrócił Wsewołod.

Michał upił łyk.

— Jestem dziś w dobrym nastroju — powiedział. — W ogóle mam dziś niezwykle dzień. Taka muzyka dodaje ducha...

Dopił szybko kawę i podniósł się.

— Dziękuję — powiedział. — Chyba już pójdę.

— Jak uważasz — przyjaźnie uśmiechnął się Wsewołod. — Zawsze rad cię widzę...

Kiedy Michał wyszedł, do pokoju Wsewołoda weszła niestara jeszcze, elegancka kobieta. Znużonym ruchem osunęła się na fotel, założyła nogę na nogę.

— Dawniej przychodzili do ciebie modne chłopaczki — powiedziała. — Postanowiłeś zmienić towarzystwo?

— Tak — odparł Wsewołod, podchodząc do okna i patrząc w dół, gdzie na tle czarnego, błyszczącego chodnika płonął złotem kasztan.

— Może to wszystko jest dla ciebie niezrozumiałe — zaczął wolno — ale w tym chłopcu, do którego, jak mi się zdaje, masz dość lekceważący stosunek, jest jakaś szczególna duchowa czystość. Nawet mało rozmawiamy, ale wydaje mi się rzeczą śmieszną porównywać go z tak zwanymi „modnymi chłopaczkami”. Nie dlatego, żeby tamci byli źli, przeciwnie. Ale oni są jacyś wszyscy jednakowi, nie ma w nich nic, co by ich odróżniało od setek innych im podobnych. I w końcu można mieć tego dość. Nieraz znów tak bywa, że człowiek wydaje się całkiem zwyczajny, a jest w nim jakieś światło. Czy ty to rozumiesz?

— Rozumiem, ale nie czuję tego.

— Szkoda. Wiele zależy od naszych uprzedzeń.

— Być może. Ale ja nigdy nie narzucałam ci swojego zdania. Sam wybierasz sobie kolegów.

— Tak, mam — rzekł Wsewołod.

Ulice były świeżo zmyte, ale z drzew zdążyło już spadać liści. Jaśniały złocistymi plamami, a tam, gdzie nie było liści, drzewa odbijały się w asfalcie jak w lustrze. Michał siedł pośród migotliwych świateł, jakie — zdawało się — umyślnie zapalono na ten wieczór. Starał się nie stąpać po liściach, aby nie gasić tych delikatnych światełek. Jak przełamane odbijały się w wodzie okna, na chodnik padały wieczorne cienie ścian i dachów, a on idąc po tych ścianach bał się, że je zmiażdży — odbite w cienkiej warstewce wody robiły wrażenie kruchych jak skorupki. Uniósł głowę i przystanął otoczony żółcieniami okien. Zewsząd atakował go niewidzialny świat ludzi.

Naraz owładnęło nim dziwne, nieokreślone uczucie: Jest jakaś własna filozofia w tych ulicach, w tym prawie biologicznym trwaniu, w tych ścianach, które tak łatwo zdruzgotać obcasami... W pewnym momencie — może nawet swoiste odczucie wieczności, bo ludzie zwykli w nią wierzyć, mimo że każdy kiedyś zgaśnie, jak ten jesienny liść.

Wieczność istnieje. Być może kojarzy się ona ludziom z cywilizacją, bo gdyby losy cywilizacji miały się rozstrzygnąć nagle, w jednej chwili, byłaby rozpacz i krzyk. Łatwiej, gdy się gaśnie pojedynczo, bo innym pozostaje nadzieja, że może ich to ominie. Cywilizacja jest czymś żywym jak człowiek; jak człowiek narodziła się i jak człowiek z trwogą myśli o swym końcu. Od czasu do czasu przebiega ją dreszcz lęku, zaciska z rozpaczyny zęby, a potem znowu nieruchoma woda i ciepłe żółcienie okien leżące płasko na asfalcie, i żółte krople liści, które też płasko leżą na asfalcie, i dziwnie cienkie ściany, które tak łatwo potłuc obcasami, bo tu, odbite w wodzie, są uderzająco kruche...

Zatrzymał się przy budce telefonicznej. Koniecznie chciał usłyszeć przyjazny, ciepły głos, który dałby cho-

cięż złudzenie bliskości i bezpieczeństwa. Położył dłoń na słuchawce — zadzwonił potrącony łańcuszek i za-kołysał się. Moneta wolno wpadła w otwór automatu. Zdjął słuchawkę i usłyszał sygnał. Palec chwycił jedno po drugim oczka tarczy, a za plecami stała noc, kładąc na barki swe odwieczne zmęczenie...

— Słucham...

Krótkie naciśnięcie guzika — moneta z grzechotem połączyła abonentów.

— Poproszę Lidę — powiedział.

— Słucham — odpowiedziała Lida.

— Tu Michał. Nie chciałabyś się przejść?

— Przecież jest już pół do dwunastej.

— Na dworze jest cudowna jesień...

— A co powiem rodzicom? Jesteś trochę pijany?

— Nie.

Słuchawka zaśmiała się:

— Co za dziwak! Nie darmo o tobie opowiadają anegdoty. Ale jeśli chcesz, możemy się spotkać jak normalni ludzie jutro w dzień.

Milczał. Tylko ciężko oddychał.

— Halo! — zawołała Lida.

Milczał.

— Halo!

Milczał...

Na miejscu pańskiego dworu od dawna już był kołchozowy sad. Pałac spłonął jeszcze w czasach rewolucji i chłopci rozebrali cegłę na potrzeby gospodarcze. Pozostały tylko fundamenty. Michał pamiętał, jak krzywonogi Stecenko, uzbrojony w łom i kilof, próbował w nich dłubać, ale była to za ciężka robota i Stecenko ją rzucił. Od tego czasu dano spokój fundamentom, które smętnie zakreślały w sadzie jakieś zagadkowe zygzaki.

Pewnego razu przyszła tu władza gminna, postukali obcasami po kamieniach fundamentów, pogadali o stawianiu szkoły i na tym się skończyło. Sad był stary, przecięty wzdłuż dwiema lipowymi alejami, zarośniętymi zielskiem, po których skakały wróble. Michał lubił wybiegać tu rano, żeby popatrzeć na słońce. Ukazywało się na początku alei, akurat pomiędzy dwoma rzędami prastarych lip, czarne, sztywne gałęzie wyglądały na jego czerwonym tle jak stare, dawno zagojone blizny. W momencie gdy ruszał na spotkanie słońca, Michał doznawał uczucia jakby lęku. Stawał nieco bokiem, przymykał oczy — i wtedy przychodziły do niego cienie przeszłości. Park ożywał, pełen gwaru i muzyki, panny i panie chodzili parami, z cicha rozmawiając. Piękne panny w białych sukniach pośród zieleni przypominały baśniowe nimfy. Gdy ich oczy spotykały się z jego oczami, panny płoszyły się i unosząc rąbek sukni w dłoni, niby sarny umykały aleją. A on, zagubiony pośród gwaru przebrzmiałego życia, zaciskał zęby i szedł wprost ku słońcu. Nie było jeszcze gorące i nie raziło oczu, tylko szczerze zalewało czerwonym blaskiem białą ścieżkę pomiędzy lipami. Spod nóg pierzchały wróble, a może i słowiki, bo słychać było w sadzie ich głosy. W pałacowych pokojach gotowano się do balu, jedna po drugiej zajeżdżały karety...

Wieczorami na sad spadała cisza. Michał, zmęczony, z trudem przestawiał ociężałe nogi. Zostawiał poza sobą chaty, odgłosy dzisiejszego dnia, ludzi, rozmowy. W twarz uderzał wystawy zapach starego sadu, który już umierał powolną śmiercią. Świerszcze cięży drobnymi piłkami powietrze, cicho drzemała biała droga, odpoczywając w chłodzie nocy. Nie było prawie światła, milczał głośnik obok gminy, milczały furtki i wrota, milczały krowy w stajniach. W górze migotały gwiazdy, wielkie i ciężkie. Potrzaskiwały kości starego sadu,

jeszcze nie chciał umierać, bo był jeszcze sadem. Przejrzałe słoneczniki pochylały aż do ziemi oblicza, z których niby łyzy, z ledwo uchwytnym szelestem, sypały się w trawę ziarenka. Gęsto leżały pod drzewami opadłe jabłka, ugrzęzłe w pulchnej ziemi ich błyszczące boki, pokryte rosą, połyskiwały w matowym blasku gwiazd. Liście padały z drzew niby szeleszczący deszcz. Sucha kukurydza stała opuściwszy wąskie skrzydła i nie mogła wzlecieć, bo miała zbyt wiele skrzydeł. Ciemne pędy dyn wiły się po ziemi jak węże. Przekwitały malwy, szorstkie, wyblakłe. Sen zmiękczał kontury drzew, rozplywające się w ciemności. Umilkły świerszcze, wszystkie naraz, i cisza śpiesznie podążyła przez ogrody tam, gdzie nad grzebieniem dalekiego lasu zabłysnął czysty, jakby wykuty ze szczerego złota rożek młodego księżycy.

R o z d z i a ł I V

Lubił wsiąść w okólny tramwaj „A” lub „B” i odbywać długą wędrówkę dookoła miasta. Tramwaj przystawał, ludzie wysiadali i wsiadali — i znowu miękkie kołysanie i nie kończące się krążenie po mieście. Trwało to tak długo, dopóki nie spadło napięcie i można było znowu wejść w codzienny kołowrót. Prawie nie patrzył w okno — piszczały hamulce, stukały drzwi, migały twarze-maski, a jemu było zacisznie i ciepło. Czas, myślał wtedy, ma swoje prawa i wymaga uległości. W tramwaju „A” czy „B” trzeba poddać się czasowi, przymknąć oczy i nie myśląc o niczym innym słuchać, jak wystukuje swoje sekundy. Przejeżdżał obok domów; w rzeczywistości one też są jak te okólne tramwaje, a to, że ich mieszkańcy są przekonani o czymś wręcz przeciwnym, to zwyczajne ich złudzenie. Z do-

mów się wychodzi jak z tramwajów, rozplływając się w pustce wieczności, do domów się też wchodzi. Domy krążą wraz z ziemią, kręgi nakładają się na siebie, splatają w łańcuchy — takie samo krążenie jak we wszystkim. Nie ma w ogóle początku ani końca, to tylko ograniczoność śmiertelników każe im nad tym rozmyślać.

Potrzebne mu były takie chwile, by się uspokoić. Niechaj wszystko płynie, myślał, bo można się wtedy oderwać, zapomnieć. Jeśli są jakieś troski — niech poczeka, jeśli coś boli — niech boleć przestanie. Jedną chwilę nirwany — myślał — bo dzisiejszy dzień jest już aż nazbyt osobliwy. Ale to nie powinien być sen, trzeba z pełną satysfakcją odczuć każdą minutę. Potem będzie jak zawsze. Ale raz na tydzień niech się wszystko wymiesza, niech nawet czas nie ma dokładnego wymiaru — dzisiejszy dzień będzie miał niejeden ranek i niejedną noc, niejeden wieczór i niejedno spotkanie.

...Lubił tę drogę ze wsi do Bachmacza, bo wtedy mógł być sam, śpiewać, podskakiwać czy po prostu oglądać świat krótkowzrocznymi oczami. Lubił kałuże, w których ukazywały się wyłupiastookie łebki żab — nocą ich głosy w połączeniu z głosami świerszczy tworzyły mieszany chór. Ich koncerty budziły ze snu sowy i nietoperze, które w ciemności śmigały bezgłośnie na suchych skrzydłach i przejmowały lekkim strachem. Może on właśnie dlatego lękał się ciemności, że w niej ożywały krzaki, płoty i kołki z garnkami, przypominające dziwaczne straszdyła.

Stara jak świat babka Hanna siadała na pokuciu, patrzyła przed siebie niewidzącymi oczami i czekała, aż podejda do niej wnuki. A jeśli długo żadne nie podchodziło, babka stukala laską i wołała: „Ano, lucypery, chodźcie tu! Opowiem wam bajkę!” Siostra nie lubiła tych bajek, babka opowiadała tylko straszne. W izbie

był półmrok, lampa na stole ledwo, ledwo świeciła, oszczędzało się naftę. Matka krzątała się przy piecu, gotowała kolację, jej twarz była czerwona od ognia. Od pieca szło ciepło, pachniało ojcowym kożuchem i nagrzanym ziarnem. „No co jest z wami, lucypery — niecierpliwiła się babka. — Które tam idzie?” Siostra pomagała matce, a on podchodził nieśmiało i odpowiadał cieniutko: „To ja, babko!” „A, to ty — z zadowoleniem burczała stara. — Chodź, poskam!” Podstawiał pokornie głowę i twarde babczyne palce przesuwwały się po jego włosach...

Dokoła przepływały ulice, głębokie jak tunele, wpadały w inne, rozpływały się w labiryntach zaułków albo zlewały się z długimi wstęgami asfaltowych arterii.

...Babka opowiadała swoje bajki, a on i siostra słuchali jak zaczarowani. „Też wymyślacie coś takiego, mamó” — mówiła matka. „Dlaczego wymyślam? — oburzała się stara. — Opowiadam to, co sama kiedyś słyszałam.” Babka była zasuszona i słabiutka, a jej brązowa twarz przypominała zwiędły ogórek. „Jeszcze do dziś ludzie wspominają — rzucała od pieca matka — jaka to z was, babko, była dziewczyna.” „A była, była” — kiwała babka głową. W takich chwilach nachodził ją smutek. Zapominała o wnukach, w milczeniu, jak jakieś widmo, kiwała się, pogrążona w swojej nieprzejrzanej tajemnicy starej kobiety, a łzy płynęły i płynęły po ciemnych bruzdach policzków. „Po co to płakać?” — mówiła matka szurając ożogiem w piecu. Ale babka nie przestawała. Wtedy matka milkła, nachylała się ku niemu i mówiła szeptem: „Poczekaj, zaraz babka będzie śpiewać”. Babka długo jeszcze siedziała na ławie, potem wzdychała głęboko i zaczynała swą przedziwną pieśń:

Myła nogi Hania, myła w morzu modrym,
Zwidział się jej Marko i koń siwy pod nim:

— Zaczekaj no, Marku, słoweczka posłuchaj,
Ślij do mamy swatów, nuż się udobrucha.
— Jak mi ciebie nie da, to powędrujemy
Ciemniusieńką nocą, gdzie oczy poniosą.
Jedno pole przeszli, a drugie przebiegli,
A na trzecim polu na spoczynek legli...
Deszczyk łzę uronił, Marko głowę skłonił...*

Matka stała nieruchomo przy piecu i patrzyła przed siebie dużymi, smutnymi oczami. Siostra, rada, że chociaż na chwilę mogła oderwać się od roboty, siadała na ławie i, przytuliwszy się do ciepłego pieca, natychmiast zasypiała.

Babka śpiewała ochrypłym, ledwo dosłyszalnym głosem. Otwierała bezzębne usta i słowa płynęły ze szmerem, jak jesienne liście — zdawało się, że nie ma na świecie nic prócz tej pieśni i na wpół roztajałej w mroku babczynej postaci. A pieśń wydawała się Michałowi jeszcze bardziej dziwna i tajemnicza:

Nie zasypiaj, Marku, póki jestem z tobą,
Czy nie widzisz, Marku, że za nami pogoń?
Mnie biedną pochwyć, ciebie, Marku, zwiążą,
Siekierką zasiają, w ciemny grób pogrążą.
To nie Marko jedzie, to rzy konik Marka,
To nie Marko zagrał, to jego fujarka,
To siodełko jego, poznałam je przecie,
A Marka mojego nie ma już na świecie,
Nie ma go na świecie, leży w ciemnym grobie,
A moje serduszko usycha w żalobie...*

Babka milkła, a Michał wspinał się na palce i nieomal wkładając usta w ucho matki, żeby nie słyszała babka, pytał: „Mamo, czy to babka o sobie?” Matka prostowała się, jakoś dziwnie unosiła ramiona, uśmiechała się tajemniczo i nie odpowiadała...

* Przekład Jerzego Litwiniuka.

— Są ludzie — mówił Wierzchowski, opierając się łokciami na stoliku (siedział ze swoim wujem w „Ukraińskich potrawach”, dojadali sznycle) — którzy nie tylko nie próbują określić siebie jako człowieka, ale nawet im do głowy nie przyjdzie, że należy coś takiego robić. A gdy życie zażąda tego od nich, bronią się rękami i nogami. Jeśli taki człowiek zajmuje jakieś znaczne stanowisko — mamy jeszcze jedno wyjaśnienie, skąd się biorą reakcjniści.

Kelnerka przyniosła szklanki z kompotem i stanęła w kącie. Dziś było tu pusto i kelnerka miała dużo czasu. Naprzeciwko Wierzchowskiego siedział starszy mężczyzna w porządnym garniturze. Mężczyzna ten melancholijnie rozglądał się po sali, postukując widelcem o talerz.

— Podać coś jeszcze? — podeszła kelnerka.

— Jeszcze jeden sznycel dla wuja — rzekł Wierzchowski.

Wuj przytaknął skinieniem głowy.

Kelnerka wolno poszła do kuchni, kołysząc obfitym ciałem.

— Niezbyt dobrze czuję się tu w Kijowie — powiedział wuj. — Nasz Żytomierz to o wiele bardziej zacisze miasto. A ja lubię zacisze. Twój ojciec, przeciwnie, lubił gwar i hałas — w nim zachowało się coś ze staropolskiej fantazji. A ja lubię ciszę.

Wuj uniósł głowę; jego duża, pełna twarz wyglądała nieomal majestatycznie.

— Ale nie dokończyłem tej historii — podjął znowu Wierzchowski. — To zgoła pokazowa historia. I wcale nie miałem na myśli wuja, mówiąc o ludziach, którzy nie chcą w życiu niczego szukać. Ten człowiek przyszedł ze wsi, jakby spadł z księżyca — uśmiechnął się pobłaźliwie. — Ale uparty jest jak muł. Pragnąłby, aby życie było takie, jakie mu się przyśniło w noc świę-

tojańską. Kto wie, co się tam roilo w tej głowie, dość że przyszedł tu, jakby nie miał najmniejszego pojęcia, że istnieje już jakiś świat i że do niego trzeba przywykać i przyzwyczajać się, o ile to nie jest jedno i to samo. To jakaś oryginalna forma dziecinnego anarchizmu. Bo przecież istnieją pewne obowiązki i powinności, które trzeba przyjmować takimi, jakie są. A ten chłopak spadł z nieba i naraz zobaczył, że wokół niego wcale nie jest tak, jak to mu się przyśniło. I począł uczyć wszystkich, jak trzeba żyć.

— To może interesować takich żółtodziobów jak ty — wuj opuścił wzrok i obserwował muchę łązącą po stole między okruszkami. — Gdy człowiek trochę dłużej pożyje, staje mu się to obojętne. Ja może też byłem taki sam, ale nie lubię do tego wracać.

Kelnerka wynurzyła się z kuchni, niosąc przed sobą tacę z parującym sznyclem.

Wuj przysunął do siebie talerz, wziął ze stołu widelec. Kelnerka odpłynęła o parę kroków i obojętnie przystanęła, zwracając ku gościom duże, czerwone ucho, które niby rak wyłaziło z rudych, poskręcanych włosów. Z mięsistego płatka ucha zwisał okrągły kolczyk.

— Więc co było dalej z tym twoim przyjacielem? — flegmatycznie spytał wuj Wierzchowskiego. — Utonął?

— Na razie nie. I chyba nie utonie. Ale mnie interesuje co innego i chciałbym skonfrontować swój sąd z twoim doświadczeniem, wuju.

Wuj włożył do ust kawał mięsa.

— Harmonia w świecie jest możliwa dzięki temu, że świat pozbywa się dziwaków, którzy nie chcą się do niego przystosować. Pamięta wuj, jak mój ojciec o tym mówił? Musisz się przystosować do świata, inaczej biała tobie, nie światu. Wuj pewno czytał takiego dziwaka jak Skoworoda. Ten znów wypowiada taką mniej

więcej sentencję: bez świata jesteś niczym, natomiast świat doskonale obejdzie się bez ciebie. A nasz bohater uznaje tylko trzy bóstwa: Wiarę, Nadzieję, Miłość. Ludzie dwudziestego stulecia mają trochę szersze spojrzenie na to. Powiadają: wiara — ale w co? Nadzieja — ale czy ma sens? Miłość — zgoda, ale kiedy spojrzysz się na nią trzeźwo? Wuj mnie rozumie!

Wuj zawzięcie pracował nad talerzem, widelec migał tylko pomiędzy ustami i stołem. Jego twarz, na której malowała się flegmatyczna powaga, pozostawała nieporuszona.

— Przy kieliszku lepiej się rozmawia. Ale wuj nie pije — westchnął Wierzchowski.

— Zawsze byłem przeciwnieństwem twojego ojca — powiedział wuj i na chwilę przestał wymachiwać widelcem. — A ty się tu nieźle nauczyłeś mleć ozorem.

— To cała moja pociecha — Wierzchowski łyknął kompotu. — Więc posłuchaj, co było. Pojechaliśmy na praktykę do Kaniowa, wykopywało się tam stare szkielety i różne skorupy. Na zakończenie urządzono dla nas bankiet. Przyjechał nawet dziekan z całym orszakiem wykładowców. Wszyscyśmy się porządnie ubrali, ostrzygli, zgolili brody. Siadło się za stołami, dziekan palnął mówkę, a potem zaczął się poczęstunek, bo oprócz praktyki zbieraliśmy jeszcze kukurydzę w sąsiednim kołchozie, był przewodniczący kołchozu i brygadziści, władza piła „stołeczną”, a my jakieś kwaśne wino. Ten chłopiec, o którym mówię, ma jeszcze w dodatku strasznie krótki wzrok. Może w biały dzień wpaść na słup, a potem długo mu się przyglądać, jak gdyby ten słup umyślnie stanął na jego drodze.

Wuj tymczasem wrzucił do ust ostatnie okruszki z talerza. Podeszła kelnerka i z uszanowaniem pochyliła się nad stolikiem:

— Czym jeszcze mogę służyć?

— Jeszcze jeden sznycel dla wuja — zamówił Wierzchowski. — Tylko nie taką suchą podeszwę jak tamten, żeby był soczysty...

— A może by się znalazł kawałek indyczki? — spytał wuj. — Ostatnio — zwrócił się do Wierzchowskiego — zasmakowałem w indykach...

— Indyk nieświeży — powiedziała kelnerka. — Jest antrykot sauté.

Wuj głośno odsapnął.

— Proszę dać antrykot — rzekł Wierzchowski.

Kelnerka majestatycznie posunęła do kuchni. „Widziałś takiego gościa? — szepnęła w przejściu do koleżanki. — Wrębał trzy sznycele i jeszcze prosi o antrykot.”

— Ten chłopiec zwykle nie bierze udziału w tego rodzaju imprezach — opowiadał Wierzchowski. — Ale wtedy go przyniosło. Pił naparstkłem, a i tak po pewnym czasie już wodził nosem po ceracie. Ale i w tej sytuacji potrafił, jak się to mówi, coś wystrugać. Tacy ludzie łamią sobie nogi nawet na gładkiej drodze. Podchodzi do dziekana, siada obok — a nasz dziekan ma chorą wątrobę i pił tylko wodę mineralną — i mówi: „Proszę powiedzieć, Iwanie Makarowiczu, czy my się dużo tego lata nauczyliśmy?” Dziekan wytrzeszczył na niego oczy: „Co pan chce przez to powiedzieć?” „Nic szczególnego — odpowiada. — O archeologii nie mam najmniejszego pojęcia, chociaż spędziłem na praktyce archeologicznej dwa miesiące.” „Niech pan posłucha, młody człowieku, pan jest pijany, i proszę się zachowywać przyzwoicie!” Chłopiec odszedł jak niepyśzny. Czeką go los nie do pozazdroszczenia. Bardzo jest łatwo stracić dobrą opinię u profesorów, ale odbudować ją na nowo bardzo trudno. Tak czy owak — mogiła! Napisał pracę seminaryjną, do której wykorzystał sto pięćdziesiąt źródeł, ale wlepiono mu tróję. Podobno

patrzył na nią całkiem jak na ten słup, na który dwa razy dziennie wpada...

Z kuchni wypłynęła kelnerka i postawiła na stole talerz z antrykotem. Wuj Wierzchowskiego wojowniczo uniósł widelec.

— Załamię się — powiedział. — Nie tacy się załamywali... W swoim czasie — wuj z rozkoszą przełknął potężny kęs — ja też znałem pewnego dziwaka. Chodził w fufajce, zbierał butelki, kopał cudze ogrody, dźwigał z nich spady, a cały pozostały czas spędzał w lesie na wyszukiwaniu różnych ziół, które potem suszył i sprzedawał na targu. W domu miał podobno jedno łóżko bez materaca i znaleziony na śmietniku połamany stół. Kupowałem kiedyś u niego zioła przeciwko alkoholizmowi dla twego ojca i spytałem, czy odpowiada mu takie życie. Jak najbardziej! — odpowiedział. Świat jest pełen dziwaków...

I wuj znowu zamachał szybko widelcem.

— Tu nie o to chodzi — Wierzchowski w zamyśleniu patrzył w okno.

Kelnerka wciąż jeszcze nadstawiała swoje czerwone, mięsiste ucho. Kolczyk kołysał się i połyskiwał w nierównym świetle dnia.

Michał usiadł na łóżku i plecami oparł się o dywanik.

— Wybieram się do Luśki — powiedział Warski, który prasował na stole spodnie. — Idziemy dziś do cyrku.

Wasył Lubar cerował długą skarpetkę, przypominającą pończochę.

— Szykujesz pończochę na przyszłość? — spytał Michał.

Wasył pokazał w uśmiechu wielkie, żółte zęby, które nie znały szczotki.

Hryc Bojczenko wyjął z szafki starą, aż żółtą słoninę.

— Kto chce?

— Mogę wam coś opowiedzieć à propos — kołysząc nogą rzekł Michał. — Pewien człowiek miał niesamowity apetyt. Był chudy, ale żarł na potęgę. Kiedyś po dobrym obiedzie założył się, że zje sześć puszek konserw. Zjadł pięć i pół...

— Ja mogę zjeść cztery cebule bez chleba — powiedział Hryc.

— To ja zaproponowałem Luście cyrk — chwalił się Warski. — Bo lubię dreszczyk. A siedzieć i ziewać, jak ci, co to słuchają jakichś symfonii...

— Jak piłą po blasze — mruknął Wasyl Lubar.

— Dlatego właśnie tak jest popularna piłka nożna — Warski wodził żelazkiem po stole. — Teraz ludzie wymagają mocniejszych wrażeń: więcej odczuwać, a mniej myśleć. Kiedyś szedł film, zapomniałem tytułu, dostał jakąś tam nagrodę, i ja, jak ten baran, też poszedłem. Przesiedziałem dwie godziny, o mało nie umarłem z nudów. Jak już się robi film, to trzeba pamiętać o tym, że będą go też oglądać prości ludzie. Wrażenia prostych ludzi to najbardziej wiarygodna miara sztuki...

Michał zaczął nucić coś pod nosem.

— Wszelkie tam teatry, opera, filharmonia to zdobycze starych pokoleń. Dzisiaj życie wymaga tempa. A tu rzepolą przez trzy godziny...

— Jak piłą po blasze — powtórzył Wasyl Lubar.

— Najlepiej, gdyby wcale nie było ludzi — powiedział Michał. — Albo żeby wszyscy byli podobni do Iwana Warskiego.

— Świat by wcale na tym źle nie wyszedł — rzekł Warski.

Michał widział za oknem okutane leciutkim kolorowym muślinem drzewa, drogę, domy, w których mieszkali wykładowcy, a dalej znów ciągnął się park w wie-

lobarwnej szacie. Jesień spływała na domy, jakby wyszukując, kogo by schwytąć w swoje złote sieci i przynieść swej ofierze bogactwo dostałych barw i minoryny niepokój. Z tego wynika ból — a czy radość? To piękny ból i smutna radość. Przychodzą z głębi, jak przypomnienie o wieczności, i nic nie zdoła powstrzymać tego nieskończonego strumienia, co niby strumień krwi wlewa się w człowieka, by wyrzucić w jego duszy swoje znaki.

— Dziś byle idiota usiłuje przemawiać w imieniu ludzkości — powiedział Hryć Bojczenko. Znalazł w szafie niedopałek, włożył do ust, potarł zapalną.

Warski obraził się za „idiotę”.

— Gdyby wszyscy byli tacy jak ja — oświadczył — byłoby na świecie więcej porządku. Ludzi trzeba trzymać w cuglach. Popuścić tylko — zaraz zaczynają wybrzydząć. Cugle i bat przywracają równowagę. Jak w wojsku. Tam z takimi szczekaczami krótka sprawa: marsz do kuchni obierać ziemniaki albo szorować wychodki.

— Jaki stopień miałeś w wojsku? Czy nie kaprała przypadkiem? — spytał Michał.

— A jeśli kaprała, to co? Myślisz, że było mi źle? — oburzył się Warski.

— „Tak się zdarzyło — nosowym głosem począł recytować Wasyl Lubar — że gdy oberleutnant powrócił z koszar, dzielny wojak Szwejk mógł mu złożyć meldunek: «Melduję posłusznie, panie oberleutnancie, że wypełniłem wszystkie życzenia wielmożnej pani i służyłem jej uczciwie wedle rozkazu. — Dziękuję ci, Szwejk — powiedział oberleutnant — a dużo pani miała tych życzeń? — Chyba ze sześć — odpowiedział Szwejk — a teraz śpi jak zabita.»”

Warski ze złością splunął przez okno.

— Radzę ci — rzekł Michał do Wasyla — abyś się wyuczył na pamięć *Dekameronu*.

Hryć Bojczenko starannie roztarł o wazon wypalony do samych warg niedopałek.

Pragnął, aby ten dzień już się skończył. Dla jednych to dzień, dla innych — życie. Dni mogą wychodzić ze swych ram, ale wcześniej czy później muszą się skończyć. Wiedział, że dzień dzisiejszy to tylko początek, preludium, to co najważniejsze odsunęło się w przyszłość.

Wieczór zagarniał już w swe władanie ziemię i gasił barwy jesieni. Przenikliwy wiatr dał od parku. Stukało gdzieś nie zamknięte okno, dzwoniąc źle dopasowaną szybą. W oknach fruwały firanki — przeciąg hulał po korytarzach akademika, wymiatając zapachy smażonej słoniny, wilgotnych murów i ludzkiego potu. Michał patrzył na prostokąty żółtego światła, w tej chwili, gdy szczególnie odczuwał swoją obcość, wydawało mu się ono nierealne i intrygujące. Wiatr z szelestem pędził liście po zaniedbanym asfalcie. Taki na wpół wessany przez ziemię asfalt był w Bachmaczu. Długa główna ulica Bachmacza sięgnęła aż tu — liście toczyły się drogą, uderzały po nogach i mknęły tam, gdzie gęstniały cienie zmierzchu. Nie paliły się jeszcze latarnie. Lubił tę chwilę oczekiwania na błysk światła. Nieme słupy stały wyprostowane, jak wtopione w mrok postaci. W takiej chwili wszystko przybierało osobliwe barwy, i zmierzch, i twarze, i liście. Park postękiwał głucho, wiatr obszarpywał ostatnie liście i pędził je w nieogarnioną dostalość jesiennej wieczora. Michał przystanął i naraz zobaczył przed sobą jaskrawożółty rozłożysty kasztan. Liście waliły z niego w dół, wiatr nie zdołał ich rozwiać, miękko kładły się na ziemi, pokrywając ją

matową poźłotą. Od tej wilgotnej poźłoty szło jeszcze ciepłe tchnienie niedawnego lata, niedawnego dnia, niedawnej ciszy.. Wiatr harcował po gałęziach kasztana, skakał jak wariat... Liście wciąż spadały, poprzez nagie gałęzie przeświecały gwiazdy, mrugając bezręsyimi oczami, i w tym ich monotennie obojętnym zdziwieniu był jakiś odwieczny absurd. Jesień była bez litości: zabijała siebie i jak gdyby znajdowała w tym radość.

Z brzękiem posypało się szkło — otwarte okno kołysało teraz pustą ramą. Ktoś przeszedł w dole, stąpając po odłamkach szkła. Rama kiwała się nad murem, machała białym rękawem firanki, a szkło trzeszczało pod stopami niewyraźnej postaci, która — zdawało się — w żaden sposób nie mogła przebyć swej drogi.

Z kasztana wciąż jeszcze sypały się liście, nagie gałęzie niby macki sięgały gwiazd i piły ich srebrny chłód. Zbliżała się uroczysta chwila, gdy całe miasto jednocześnie rozbłyśnie światłem neonów, ożywi się i zatonie w błękitnym migotaniu, biegnącym we wszystkie strony jasnymi drózkami ulic.

Michał spieszył się. Wszedł do budki telefonicznej i wrzucił w automat monetę. „Zaraz rozbłyśną światła — myślał. — Ale przedtem muszę zatelefonować.” Długi sygnał zadzwieczał w uszach jak wołanie.

— Halo — powiedział. — To znowu ja.

— Tym razem dzwonisz wcześniej — zauważyła Lida.

— Nie chciałabyś się przejść? — wytchnął w słuchawkę.

— Dziś jestem zajęta — w słuchawce słychać było jej oddech. — Jeśli chcesz, jutro.

— Chcę dzisiaj — powiedział. — Jutro to już nie będzie to samo.

— Dziś jestem zajęta — powtórzyła Lida. — Ale jeśli chcesz, jutro...

Czuł, że nie potrafi wymówić słowa. „Dobrze — pomyślał. — Dziś już taki dzień. Niechby się skończył.”

— Jeśli chcesz, spotkamy się jutro — mówiła Lida. — Dlaczego milczysz? Halo!

— Tak — odparł. W tej chwili zapłonęły światła. Po lewej i prawej jego ręce zapaliły się ogromne niebieskie słońca.

— Nie gniewaj się — ciągnęła Lida — ale po prostu dziś nie mogę.

Milczał, wsłuchany w gwar uliczny. Zewsząd wiało, drzwi budki rytmicznie się kołysały.

— Nie mogę ci teraz tego tłumaczyć — mówiła Lida.

— Dobrze, jutro — odpowiedział. — Umówimy się na wykłady. „Ktoś musi pierwszy odłożyć słuchawkę” — myślał. Przez frontową szybę budki wlewało się coraz więcej niebieskiego światła. Płonęło dziś jak nigdy, aż raziło oczy.

— Jutro wszystko ci wytłumaczę — powiedziała Lida. — Ale dziś mam ważny powód...

Kołysał się na jakichś niepojętych falach. „Sam nie wiem — pomyślał — czego ja chcę.”

— Skąd dzwonicz? — spytała Lida. — Z akademika? W ogóle jutro o wszystkim pomówimy.

„Ktoś musi pierwszy odłożyć słuchawkę — myślał. — Co za dziwne, aż głupie natręctwo...”

— Halo! — zawołała Lida.

— Tak? — odparł ochryple.

— No dobrze — powiedziała. — Spotkamy się dziś.

Kto wie, od kiedy żył na świecie baśniowy gnom. Nie bał się on ani wiatru, ani swojej samotności. Wszyscy jego współplemieńcy dawno powymierali, a jemu sądzono było długo jeszcze żyć w prastarym podziemnym zamku, w którym nie zachowały się nawet wonie,

oprócz woni kurzu. Gnom siedział w swoim fotelu, niegdyś to był tron królewski, ale od kiedy wymarło całe królestwo gnomów, on go zajął. Bo gdy żyje się samemu, jest się samemu sobie królem i nie podlega się niczyjej władzy. Gnom już od dawna nie bał się niczego, gdy się samemu żyje na świecie, strach znika. Siedział więc w swoim fotelu, złożywszy wyschłe rączki na brzuchu, i patrzył, jak chybocze się wolno płomyk jego wiecznej świeczki. Płomyk nie zmniejszał się ani nie zwiększał, świeczki też nie ubywało ani przybywało, wokół trwała cisza, w górze szumiał wiatr, było ciemno, a gnom nie lubił ani ciszy, ani wiatru, ani samotności. I ogarnął go żal. Taki żal przychodzi tylko w jesieni. Wtedy gnomowi szczególnie jest ciężko żyć na tym świecie i już się nawet nie pociesza, że sam sobie jest królem i że niczego się nie boi. W takich chwilach gnom wstaje ze swego fotela, wkłada kożuszek, żeby się nie przeziębnić na wietrze, naciąga na uszy czapkę z chwaścikiem, szydełkowaną rękami matki. W tym opuszczonym królestwie, gdzie pozostał tylko on, dziwnie jest wspominać całe plemię, które niegdyś tu żyło. A przecież oni byli. I matka, i ojciec, i siostra, jak najładniejsza lalka z największego sklepu z zabawkami, i brat. Miał nawet kiedyś ukochaną. Wtedy jeszcze nie drżały mu tak palce, był młody i wesoły. Brali się za ręce i wychodzili w świat ludzi. Wychodzili nocą, żeby ich ludzie nie schwytali i nie posadzili za witryną sklepu z zabawkami. Spacerowali po ogrodzie i słuchali czarownych melodii, jakie wygrywały na liściach promienie księżyca. Z liści niby lży spadały krople rosy i mieniły się w księżycowym blasku jak drogocenne diamenty. Gnom wzdycha i głębiej naciąga włóczkową czapkę z chwaścikiem. Wychodzi na dwór, ale wiatr jest taki, że o mało nie zwała go z nóg, szarpie chwaścikiem na czapeczce — gnom szczelniej otula się ko-

żuszkciem. Idzie przez sad aż do jabłoni, gdzie stali kiedyś z ukochaną, zbierali diamenty rosy, ofiarowywali sobie nawzajem te drogocenne krople i podziwiali ich blask. Gnom otula się kożuszkciem, zmarzły mu ręce i nogi. Przytupuje nogami, bije rękami o poły i chce mu się płakać. Ale nie płacze. Zbiera opadłe liście i długo się im przygląda krótkowzrocznymi oczami. A potem niesie je do pustego miasta gnomów. „Bądźcie moimi towarzyszami — mówi — bo nie mam z kim zamienić nawet słowa. Bądźcie moimi towarzyszami.”

Lida stała przed domem, od razu zobaczył jej trochę przyciężką sylwetkę.

— Nie mogłeś poczekać do jutra? — spytała.

Patrzył na nią, patrzył, jakby zobaczył ją po raz pierwszy, i nie odrywał od niej oczu. Była w nieprzemakalnym płaszczu mocno ściągniętym w talii paskiem, włosy ciemną falą spływały na ramiona.

— Nie mogłeś poczekać? — powtórzyła.

Chciał się na nią napatrzeć. „Może dziś naprawdę jest jakiś niezwykły dzień” — myślał.

— Co ci jest? — spytała Lida.

Widział tuż przed sobą jej dużą twarz. Ładna czy nieładna? Chyba ładna...

— Co się dziś z tobą dzieje? — spytała Lida.

— Nie wiem — odpowiedział. — Po prostu dziś jest wiatr, a kiedy dmie wiatr, nachodzi mnie smutek.

Wiatr zrywał suche liście i toczył po asfalcie, zmiotając je do rynsztoków — wzdłuż chodnika wybiegały daleko naprzód dwie żółte smugi.

— Dokąd pójdziemy? — spytała Lida.

Stali pod klonem, który zrzucił już swoje żółte liście, sypnąwszy nimi w okna — szyby pokryła cienka żółta warstewka.

— Jak chcesz, możemy pójść nad Dniepr. Albo w Aleję Wiecznej Pamięci — zaproponowała Lida.

Stała oparta o lśniący klonowy pień.

— Myślałem, że nie przyjdiesz — powiedział Michał. Wciąż nie mógł oderwać od niej oczu. Miała ładną twarz, włosy powiewały w mroku jak ciemne, łagodne fale.

— Nie boisz się wiatru?

— Coś się dzisiaj z tobą dzieje — powiedziała Lida i uśmiechnęła się. Uśmiech miała prześliczny, aż Michał zdumiał się, że dotychczas nigdy tego nie zauważył. A to przecież taka prosta rzecz, pomyślał, zauważyć uśmiech człowieka.

— Coś się dzisiaj z tobą dzieje — powtórzyła Lida.

Poszli wzdłuż żółtej smugi, wiatr popychał ich w plecy, rzucając pod nogi liście. Toczyły się niby małe chochliki i cicho znikwały w mroku.

— Obiecałam koleżance, że przyjdę do niej — powiedziała Lida. — Ma ciężkie przeżycia. Chodziła z chłopcem i wszystko między nimi było dobrze, złożyli już papiery w urzędzie stanu cywilnego. Aż tu kiedyś zachciało mu się pójść do kina. Ona źle się czuła i powiedziała mu, że jest chora. Ten strzelił drzwiami i tyle go widziała...

Ludzi było mało. Szli po rozrzuconych liściach i Michał zrozumiał, że przed nim otwiera się okno na prawdziwą jesień. Tym oknem mógł być wieczór, a może rano — strumienie suchych liści na ulicy i jego dzisiejszy nastrój. „Bo pięknem najwyższym jest piękno mijania...” — przypomniały mu się wiersze Kobylańskiego:

Jak smętnie uroczy jesienny dzień bywa,
Gdy liście pożółkłe z szelestem wiatr miecie,

— Widzisz, taka historia — mówiła Lida. — Rozumiem, można się pokłócić, ale ten jak poszedł, to nie było go nie dzień, nie dwa i nie pięć.

Ich szelest jest płaczem bezgłośnym po lecie,
Co w trumnie sosnowej spoczywa —
Jak smętnie uroczy jesienny dzień bywa...

— Było z nią bardzo źle — opowiadała Lida. — Wzywano pogotowie. A on nie przyszedł nawet do szpitala. Napłakała się dziewczyna. Ale cóż, musi pogodzić się z losem. — Lida otrząsnęła się, jakby ziało ją przeszedł, wiatr targał jej włosami jak liśćmi, zarzucał je na plecy. — Kiedy wyszła ze szpitala — mówiła dalej — czekała ją miła wiadomość: ten jej narzeczony zdążył się już ożenić z inną.

Ow liść, co pod nogi przechodniom opada,
Pięknieje, gdy barw mu użyczy zagłada...

— Taka, rozumiesz, głupia historia. Chodzę do niej prawie co wieczór, bo się obawiam...

Michał szedł, wsunąwszy ręce w kieszenie, i przeżywał w sobie jesień. Jej przejściowość i złoty smutek. „Jest taki smutek — myślał — który może być naprawdę piękny. Wybacz, Lido, że nie potrafię dziś wczuć się w twój ból.”

I niebo zza drzew się wyłania.
Bo pięknem najwyższym jest piękno mijania...*

— Dlaczego nie poszłaś do niej dziś? — spytał.

— W tym jesteś cały ty — roześmiała się Lida. — Mam szczęście do dziwaków. A poza tym ona musi przyzwyczajać się do tego, że jest sama.

* Przekład Jerzego Litwiniuka.

Gnom ostrożnie niesie w dłoniach listki, tak ostrożnie, że nawet wiatr współczująco cichnie. Może to już inne liście, ale gnom nawet nie przypuszcza, by to było możliwe — dla niego świat jest wieczny i niezmienny. Skoro drzewo jest to samo, to i liście muszą być te same. Ostrożnie niesie je w dłoniach. Pod ziemią jest cicho, wciąż tak samo pali się niegasnąca świeca. Gnom kładzie listki na stole i przygląda się im przez lupę. Jak się to działo, myśli wsłuchany w martwą ciszę podziemia, że te listki wydzielają z siebie takie przepiękne diamentowe krople? Zapomniał się nawet rozebrać, ten dziwny, dziecinny gnom. Ziemia — myśli — też już nie taka jak wówczas, kiedy wraz z ukochaną wędrowali po świecie. Nie było wtedy wiatru i zieleniła się trawa, w jego krótkowzrocznych oczach była ona jednym wielkim, czystym szmaragdem. A on tak lubił wszystko, co zielone! Uplótł nawet z trawy pantofelki dla ukochanej. A potem jeszcze sukienkę i prześliczną zieloną czapeczkę. Szli po szmaragdowej trawie i sami zdawali się być szmaragdowi. Gnom zdejmuje kożuszek i jeszcze niżej pochyła się nad listkami. Wtedy były one zielone, a dziś są żółte. Gnom uśmiecha się i patrzy na nieruchomy płomyk świecy. Włoży te listeczki do księgi, którą czyta już dziewięćset lat. To bardzo gruba i bardzo poważna księga, którą on boi się doczytać do końca. Wziął się więc na sposób — czyta do przedostatniej strony i znów zaczyna od początku. Nigdy nie poznał do końca treści tej księgi. A przy tym każde słowo ma tyle znaczeń, a potem — każde zdanie, każdy rozdział... Gnom wygładza cienkimi palcami listeczki. Są żółte, całkiem takie same jak płomyk świecy. „Kiedy płomyk zgaśnie — myśli gnom — wezmę ten listek i on zastąpi mi świecę. Będę miał nowe światelko. A potem, kiedy wypalą się wszystkie listki, znów pójdę na górę, w świat ludzi, i nazbieram sobie nowych. Niech mi świe-

cą. Skoro nie mogą rodzić podobnych diamentom kropelek rosy, niech się zamieniają w płomyki, które oświecą moją siedzibę...” Gnom zasiada w fotelu, składa na brzuchu rączki i mrużąc, to znów otwierając oczy patrzy w milczeniu na płomyk świecy. Jego oczy rozjaśniają się, to znów przygasają, a gdy wreszcie zmogło go zmęczenie, wydaje mu się, że na stole poczynają świecić się listki. Unoszą swe ostre koniuszki i trzepocą, chociaż tu, pod ziemią, nie ma najmniejszego powiewu. To zaczyna niepokoić gnom: „Chciałem zachować was na przyszłość, abyście zastąpiły mi płomyk świecy, gdy zgaśnie”. Ale one nie słuchają, już się palą, przesłaniając swym trzepotliwym płomieniem cały świat. I mały gnomik bezsilnie ściąga z głowy czapeczkę z chwaścikiem. Włosy ma rozburzone, na twarzy — konsternacja. „Co będzie dalej? — myśli. — Chciałem, byście poleżały u mnie, nim zgaśnie świeca. A wy się już palicie. Co będzie dalej? Jesteście takie kruche i delikatne.” Płomyki okrążyły gnom, tańcząc dokoła jak dzieci, i gnom z głośnym westchnieniem zsuwa się z fotela. „Jesteście uparte urwisy — mówi do listków. — Strasznie jesteście uparte!” Płomyki rozpędziły odwieczną ciszę, a gnomik patrząc na ich wesoły tumult powtarza: „Jesteście takie uparte. No cóż, niech będzie, jak wy chcecie. Będę tańczył...”

R o z d z i a ł V

Ciotka gotowała obiad, ciężko drepzcząc koło kuchenki gazowej. Pachniało topionym smalcem i smażoną cebulą. Było gorąco, po szerokiej ciotczynej twarzy spływał pot, mokra suknia lepiła się do pleców. Ciotka była dziś trochę smutna i bardzo łaskawa.

— Masz tu czosnek do barszczyku — nadskakiwała

Michałowi, który jadł w milczeniu. W kącie za stołem siedziała wnuczka ciotki i sennym wzrokiem patrzyła w okno, położywszy ręce na nie otwartych książkach.

— Ludo, ucz się! — krzyknęła ciotka. — Jedziesz na święta do domu? — zwróciła się do Michała.

— Chyba pojedę. Chciałbym побыć dłużej.

— Dostaniesz urlop? — ciotka zdjęła pokrywkę z rondla i na chwilę jej twarz zniknęła w kłębach pary.

Ciotczyna wnuczka pokręciła się na miejscu, otworzyła książkę i znowu tępym wzrokiem wpatrzyła się w okno. W jej sennych oczach była nuda.

— Oddaj pozdrowienia mamie — ciotka postawiła na ogniu czarną, lśniącą od tłuszczu patelnię i rzuciła na nią łyżkę białego jak śnieg smalcu.

— Dobrze — powiedział Michał.

— Ludo, ucz się! — znów krzyknęła ciotka.

Wnuczka ocknęła się, powierciła na stołku, skraj sukienki nierówno opadł aż do podłogi, ukazując koronkę koszulki. Wolno wzięła do ręki pióro, pokręciła w palcach, jakby nie wiedziała, do czego służy, umoczyła w kałamarzu i znieruchomiała, zapatrzona w okno.

— Ja bym też — odezwała się ciotka — rzuciła wszystko i pojechała do domu. Przeżyłam w Kijowie dwadzieścia lat, a ciągnie do domu jak jaki magnes. To prawda, że syn Mikołaja Rubcia się ożenił?

— Zdaje się, że tak — przytaknął Michał.

— Znalazł sobie parę. Przecież ona jest o pięć lat od niego starsza, włóczyła się, z kim się tylko dało. Nie mógł sobie znaleźć lepszej?

— Widocznie nie mógł — rzekł Michał.

Ciotka odcedzała ziemniaki. Gęste obłoki pary prawie ją zakryły.

Wypadało podtrzymać rozmowę, więc Michał wysilał pamięć, by przypomnieć sobie nowiny ze wsi.

— Umarła Petruszenkowa — przypomniał sobie wreszcie.

— Zawał serca — podchwyciła ciotka. — Pisała do mnie Warka, żebym przyjechała na pogrzeb. Ale nie mogłam...

Nałożyła Michałowi ziemniaków i wyłowila z rondla gorącego, błyszczącego serdelka.

— Ludo, ucz się — rzuciła w stronę wnuczki.

Wnuczka otworzyła zeszyt, wyjęła pióro z kałamarza i wolno, okrągłym pismem wypisała: „Praca domowa”.

— Ta dziewczyna za nic nie chce się uczyć — powiedziała ciotka. — Popatrz na Wit’ka, ma same piątki.

— On jest w ogóle cacy — obojętnie rzuciła Luda.

— Zakryj się — spojrzała surowo ciotka.

Wnuczka niechętnie naciągnęła sukienkę, zakrywając krągłe kolano i rąbek niebieskiej, obszytej koronką koszulki.

— Pisała mi Warka, że Petruszenkowa pięknie wyglądała w trumnie. Nie można było oczu oderwać. Ładnie ją ubrali, a ubierz choćby pień — zawsze będzie do czegoś podobny...

Ciotczyna wnuczka siedziała zamyślona, przyglądając się zapisowi w zeszycie, po czym odłożyła pióro i znów zapatrzyła się w okno. Ciągnęło ją na dwór, gdzie błąkała się pośród drzew pijana jesień.

Stara zmęczyła się dreptaniem koło garnków. Podsunęła sobie stółek i westchnąwszy pełną piersią, wolno usiadła. Michał zobaczył przed sobą zmęczoną starszą kobietę; ciotka siedziała z pochyloną głową i jakby się zamyśliła na chwilę. Widział jasną plamę jej twarzy, twarzy wieśniaczki, która przeniosła się w ciasny świat domów i znalazła wśród nich swoje miejsce. Nie mogło być inaczej — ten swoisty stop wiejskiej twarzy i miejskiego ubrania to już była nowa istota. I Michał pomyślał, że przyjdzie czas, kiedy i on będzie musiał zna-

leżeć sobie taki świat i jakieś z nim pojednanie. Można długo biec drogą, jaką nas wiedzie czas, myślał, ale każda droga ma swój kres, inaczej nie byłaby drogą. Wtedy przychodzi krótkotrwały stan nieważkości, gdy człowiek przystaje, aby się przyjrzeć światu. Michał patrzył na ciotkę i naraz ogarnął go żal. Gdzieś w głębi duszy budził się cudowny smutek, jaki ogarnia wędrowca, gdy zmęczony przysiadzie na poboczu.

Iwan Warski opowiadał swojej dziewczynie:

— W ogóle ten chłopiec ma fenomenalną zdolność stwarzania sobie najdzikszych sytuacji. Coś wystruga, a potem przybiera pozy męczennika — Iwan Warski był dziś w dobrym humorze. — Wiesz, podobno on chodzi z Lidką Lewczun. Pewno cały czas wygłasza jej popularne wykłady. Ale to są tylko pogłoski, nie chcę być plotkarzem.

— Przecież razem mieszkanie — powiedziała dziewczyna Warskiego.

— To nie ma znaczenia. Tylko dziewczęta lubią mleć językiem. U chłopców to trochę inaczej wygląda. Ale napytał sobie biedy...

— Jakoś tu zimno — skuliła się dziewczyna Warskiego.

— Chodź, znajdziemy jakieś zaciszniejsze miejsce — zgodził się Warski. — Mówię ci, tacy ludzie sami pchają głowę w pętlę i jeszcze przewracają stołek pod sobą. Tym razem Walka Jacenko była w siódmym niebie. Wpierw on jej się podobał, wszyscy o tym wiedzieli prócz niego. Może dlatego zaczęła się na nim mścić. A gdy kobieta się mści, potrafi być straszna. Przy każdej okazji usiłuje mu wbić szpilkę.

— Ale co się stało?

— Wyobraź sobie, że ten osioł napisał list do jakie-

gość kolegi, w którym odmalował cały nasz rok. Dziewczęta w tym dniu sprzątały salę wykładową i Walka Jacenko znalazła ten list w ławce. To była bomba! Od razu go przeczytała, a że było tam wspomniane i jej imię, zniosła go do dziekana. Dziekan zrobił zebranie roku, na którym na głos odczytano ten list.

— Usiądźmy — powiedziała dziewczyna Warskiego.

Warski usiadł, ciaśniej otulając się płaszczem.

— Nie można powiedzieć, żeby w tym, co on tam pisał, nie było racji, ale o takich rzeczach nie mówi się głośno. Nasz rok, pisał, to szara masa o jednakowym obliczu. „To dobrze, że o jednakowym obliczu!” — krzyknęła Walka Jacenko. A w ogóle, jeśli przyjrzeć się bliżej, pisał dalej, to składa się on z paru grup — oczywiście nie miał na myśli grup na zajęciach. Jedni — to ci, co mieszkają w akademiku, czyli zamiejscowi, drudzy — to ci, którzy mają bogatych rodziców, czyli „arystokracja”, i wreszcie po prostu kijowanie. Wyjątek stanowi Wierzchowski. To unikalny gaduła.

— Masz dobrą pamięć — powiedziała dziewczyna Warskiego.

— Tak, nie najgorszą — przyznał Warski. — Dalej następowała charakterystyka dziekana, wykładowców, słowem — wszystkim się naraził. Na niego już dawno krzywo patrzą, a teraz jeszcze ten list. Toteż pomyślałem sobie: no, kochasiu, koniec pieśni! Ale on siedział w ławce jak Budda Kamakura.

— Jaki Budda? — spytała Luśka.

— Kamakura — powtórzył Warski. — Wyczytałem to w jakiejś książce, że w Japonii jest taki posąg, który się nazywa Wielki Budda Kamakura... A więc siedzą na tym zebraniu dziekan, wykładowcy, a jemu to bajbardzo. Ja już czekam, że zaraz się zacznie sodoma i gomora. Zabiera głos Stepanenko, nasz starosta. „Uważam — zaczął bełkotać — że postępek naszego kolegi należy

osądzić surowo. Rzucił on cień na nasz rok, pozwolił sobie obrazić wykładowców, którzy oddają nam swoją wiedzę. Przyszliśmy tu, żeby się uczyć, państwo daje nam stypendium, uważam, że to czarna niewdzięczność i że nie ma dla niego miejsca w naszych szeregach.” Żeby wygłosić takie przemówienie, Stepanenko musiał się aż spocić jak mysz — mówił Warski. — W ogóle ten nasz starosta to jakaś ślamazara. Gdyby mnie zrobili starostą, ja bym się nie cackał. Od razu zaprowadziłbym porządek, bo jestem głęboko przekonany, że liberalizm i zgniły humanizm do niczego dobrego nie prowadzą. Nade wszystko musi być dyscyplina. Kiedy człowiek jest miękki, niepozbywany, tyle z niego społecznego pożytku, co kot napłakał. To szkodliwy element, który należy zwalczać. Tak samo jak inteligentkie fanaberie... Potem zabrała głos Walka Jacenko.

— Jak ty to wszystko zapamiętałeś! — z podziwem zawołała dziewczyna Warskiego.

— Kiedy byłem mały — powiedział Warski — umiałem na pamięć cały elementarz. Potem wyuczyłem się na pamięć poematu Puszkina *Ruslan i Ludmiła*, a jeszcze potem *Złotej Rybki*... A więc wystąpiła Walka Jacenko. „Jak długo — wykrzykiwała, w języku to ona mocniejsza od tego durnia — jak długo będziemy znosić takich ludzi w naszych szeregach? On ignoruje kolektyw, wszyscy pamiętamy do dziś historię z subotnikiem. A przypomnijcie sobie, co on zrobił, kiedy rozprawdzano losy na loterię! Otóż wyrzucił je do kosza, bo on, widzicie go, i tak nie ma szczęścia. Ale ja uważam — podniosła głos — że to było z jego strony złośliwe przeciwstawienie się kolektywowi!” Dziekan aż ręce zatarł, tak mu się spodobało ostatnie zdanie. Wszystko grało jak w zegarku, ale wmieszał się Wierchow-ski. W ogóle — to mętny typ, chociaż chłopak towarzyski. Coś go ugryzło, bo na zebraniach zwykle śpi.

„Jak długo — powiedział — można się zreć o te nie-
szczęsne losy na loterię?” Walki Jacenko o mało, jak
się to mówi, szlag nie trafił. Zdawało się, że zapomniała
języka w gębie. Ale zaraz rzuciła się z tym większą fu-
rią na Wierzchowskiego, „A więc waszym zdaniem, Wie-
rchowski, to, żeśmy się tu zebrali, aby ocenić niegodny
postępek, to jest żarcie się? Nie spodziewałam się po
was takiego braku dojrzałości — ona zawsze w takich
wypadkach przechodzi na «wy». — Widzę — krzycza-
ła — że za dużo się u nas namnożyło bezpłatnych adwo-
katów. Ta historia nie powinna się na tym zakończyć.
Mamy tu do czynienia z faktem otwartego lekceważenia
kolektywu i musimy surowo osądzić winowajcę...” Wier-
chowski zobaczył, że lepiej się z nią nie wdawać w dy-
skusję, i zaczął grać z sąsiadem w karty. A nasz boha-
ter wciąż jeszcze siedział jak ten Budda, jak mu tam?

— Kamakura — odpowiedziała Luśka.

— Kamakura — przytaknął Warski. — Wreszcie wy-
ciągnęli i jego — niech powie. Komedia jeszcze nie
skończona, pomyślałem. I jakbym zgadł. Zamiast się po-
kajać, od kajania jeszcze nikt nie umarł, dodał jeszcze
hajcu. „Uważam — powiedział — tego uczyła mnie moja
matka, prosta chłopka, że czytanie cudzych listów to
rzecz nieetyczna i niekulturalna.” „Ty lepiej powiedz —
krzyknęła Walka Jacenko — jaki jest twój stosunek do
kolektywu?” Wiesz, dlaczego pomyślałem, że on rzeczy-
wiście chodzi z Lidką Lewczun? Ona siedziała w ostatniej
ławce, i co mnie ogromnie zdziwiło, z twarzą ukrytą w
dłoniach...

„Nie uważaj za małe tego, co pociąga za sobą niema-
łe — czytał. — Mała szczelina w okręcie powoduje gro-
źny przeciek. Nie sądź, że niewidoczne i bezsilne to
jedno i to samo. A ludzie cenią w otaczającym nas

świecie tylko to, co można chwycić w garść, boją się tam, gdzie nie ma się czego bać, i na odwrót...” *

Przed oczami Michała migwały stronicze książek, jakie rozłożył przed sobą, pragnąc znaleźć w nich to, czego w tej chwili tak potrzebował; chwycił książkę, jedną, drugą, i natychmiast odrzucał. Dosyć tego, pomyślał. Oddał książki, włożył płaszcz i wyszedł z biblioteki. Od razu spadła na niego ulewa liści. Jeszcze trochę, myślał, i skończy się ta jesień, ta dziwna jesień, kiedy wszystko przeplotło się tak nierozzerwalnie. Stał na wysokich kamiennych schodach, szeleściły topole bulwaru Szewczenki. Można oszaleć, myślał wchodząc w topolową aleję. Tyle naraz: nieporozumienia, nieprzyjemności, ten dzień, i ta jesień jak jeden dzień. I ten niepokój, który obudził go pewnego poranka i niby wiatr poniosł w świat jesiennego chłodu i niezaspokojenia. Szedł teraz, popychany wiatrem, migotały okna domów, topole ustawione w dwa szeregi kłaniały się jemu. Żeby tylko nie zboczyć, myślał, żeby nie wpaść z rozpędu na żelazne ogrodzenie.

Przy końcu bulwaru znalazł ustronną ławkę. Nie miał już sił. Długo siedział, wśród nie milkącego zgiełku samochodów. Przed nim biegła łukiem aleja usiana punkcikami postaci. Niebo było dziś bez słońca. Topole płonęły niby gigantyczne świece, a on miał w sobie ogromny spokój. I dopiero gdy wiatr rzucił mu w twarz garść zimnych kropel, poczuł, że jesień przekroczyła już swe złote apogeum. Teraz w gwałtownym pośpiechu zwijała swój kolorowy kram.

Jeszcze jako chłopak Michał lubił wystawiać twarz do słońca. Spływał wtedy na niego złotoaksamitny łagodny strumień, rozsiewający się na miliony małych,

* Hryhorij Skoworoda (przyp. autora).

żółtych jak nitki złota strumyczków. Wszystko to nagle zaczynało mienić się i grać, a on zamierał w bezruchu, chłonąc tę niezrównaną muzykę. Potem biegł przez kładkę i dalej ścieżką wijącą się wśród leszczyny. Były tam dwa ogromne, omszałe głązy, które wtedy zdawały się przesłaniać mu pół świata. Znów podnosił głowę i patrzył. Po błękitnym niebie, jak kłęby waty, płynęły obłoki. Godzinami mógł leżeć na tych kamieniach, zatopiony w błękitnym bezmiarze, gdzie, jak uważają starzy ludzie, znajdują schronienie ludzkie dusze.

— Niebieskie — to od słońca — tłumaczyła nauczycielka.

— Słońce jest żółte — oponował Michał.

— Słońce jest białe — mówiła nauczycielka. — A biały promień można rozszczepić na wszystkie kolory. Widziałeś tęczę?

Mój Boże, myślał Michał. Przecież sam to wszystko wiem. Ale tak jest po prostu nieciekawie! Kiedy słońce zachodzi, nie ma światła. Gdyby nie było słońca, wszystko by zamarło... Wolę myśleć, że księżyc jest jak talerz, a słońce jak kula. Znam astronomiczne wymiary jednego i drugiego, ale tak jest dla mnie ciekawiej...

Zrywał się na równe nogi, rozglądał się dokoła. Jak to jest? — nie dawała mu spokoju myśl — jak to jest? Słońce nie jest wszechmocne. Nawet Bóg nie jest wszechmocny. Jak to jest?

Wysłuchiwał się w szelest drzew, cichutki, leciutki. A liście czarnych topoli łopotały, jakby ktoś biegł boso. Zdawało się, że drzewa mają oczy i patrzą. Stał nieruchomo i wzdrygał się, kiedy wiatr dotykał jego twarzy. A może wiatr — to też ludzkie dusze?

Miał wrażenie, że słyszy muzykę — w trzepotaniu liści, w szeleście trawy, w szmerze strumyka — to była dziwna, wspaniała symfonia, utkana ze złotych promieni słońca. Patrzył, jak poważnie płyną po jasnym błę-

kiecie grube, syte chmury, jak wolniutko przesiewa się przez nie słońce, i czuł, jak na duszę kładzie się pieczęć wielkiej tajemnicy.

A potem nie mógł usnąć, leżał w ciemności z otwartymi oczami, a w głowie roilo mu się kilkaset „jak” i „dlaczego”. Jak gdyby ktoś chwycił hak, nie, nie hak, a ogromny znak zapytania, zarzucił na szyję i ciągnął...

„Nie, to nie to — myślał — mój Boże, nie to! To soki, które krążą w drzewach, to liście, które rozwijają się z pączków, to ziarno, które kiełkuje, to ziemniaki, które wypuszczają pędy w piwnicy, to słońce, które wschodzi i zachodzi...”

Wstał z łóżka. Wokół wszystko żyło: oddychała ciemność, cienie chodziły na palcach, księżyc rozsypywał srebro po podłodze, świeciło się żółto okienko sąsiedniej chaty.

Szedł ścieżką. Było chłodno, więc pobiegł. Dookoła jak szare widma przyczały się krzaki i tajemniczo o czymś szeleściły, księżyc zalewał świat chłodnym blaskiem, a on biegł do swoich głązów. Wszystko jakby ruszyło się ze swych miejsc: niebo znalazło się w pozycji ukośnej do ziemi, ścieżka migiała to w górę, to w dół, drzewa krążyły jak w karuzeli, a on nie mógł złapać tchu, nogi mu mdlały, ale wciąż biegł i biegł...

Jak czarny ptak płynęła noc, zimno patrzył księżyc, migotały gwiazdy, a jego ogarnął strach: może ich już nie ma, tych gwiazd, może to tylko martwe światło, które przebiega swoje ostatnie świetlne lata. Przebiega strasznie szybko, ale i wolno zarazem, biegło już setki tysięcy lat, biegło w niewiadome, pozostając na gwiazdach i planetach, a gdzieś na końcu biegnie ostatni promień, coraz słabszy i słabszy, aż wreszcie przejdzie w głuchy mrok.

Michał upadł na kolana i zapłakał. Był to cichy płacz,

ale ogromnym ciężarem przytłaczał pierś. Michał był wtedy sam, nikt go nie widział — ziarenko piasku, które próbowało ocalić swego Boga...

— A wiesz, jak się skończyła ta historia? — powiedział Warski do swej dziewczyny. — Nie bardzo go nawet potępiam, ostatecznie każdy ma prawo do własnego zdania. Mam mu za złe całkiem co innego i uważam, że słusznie. On jest jakiś niepozbywany. W życiu codziennym, trzeba przyznać, jest bardzo akuratywny, nie to co Hryć Bojczenko czy Wasyl Lubar, ale przecież trzeba wiedzieć, co się pisze i co się mówi. Mądry człowiek zawsze co innego ma na myśli, a co innego na języku. W końcu to jest sprawa jakiejś kultury osobistej. Czechow słusznie powiedział: w człowieku wszystko powinno być piękne. A jak ci oblatują portki — dziewczyna Warskiego roześmiała się — żebyś miał nie wiem jak piękną duszę, wszyscy będą patrzeć na ciebie z pogardą. Kiedy człowiek dba o swój wygląd, jest staranny, wesoły, optymistycznie patrzy na świat, kiedy jest oddanym towarzyszem, bierze udział w kółkach amatorskich i życiu społecznym — aż miło spojrzeć na takiego. Słowem, harmonijny rozwój...

— Miałeś dokończyć tamtą historię — powiedziała dziewczyna Warskiego.

— A tak — zreflektował się Warski. — Myślałem już, koniec z chłopem. Ale wtedy znowu zabrał głos Wierchowski. Jego niełatwo przegadać. „Człowiek się potknął — powiada Wierchowski — a wy go bijecie po głowie.” „Ile razy można się potykać!” — krzyknęła Walka Jacenko. Wtedy Wierchowski wygłosił dłuższe przemówienie. Mówił czterdzieści minut: z tego, co mówił, wynikało, żeśmy niesłusznie wszyscy napadli Michała, potem przyznał, że Michał zawinił, i jeszcze raz

dowiodł, że nie ma ani cienia jego winy. Podniósł się taki rejwach, że trudno było dorwać się do głosu. Dziekan stukał szklanką o karafkę, aż szklanka rozleciała mu się w rękach — był wściekły czy to na Wierzchowskiego, czy na Stepanenkę, czy na wszystkich razem. Kariera Stepanenki wisiała na włosku i chyba dlatego pyskował jak najęty...

— Zimno mi — powiedziała dziewczyna Warskiego.

Warski urwał opowiadanie i wpatrzył się w nią nieprzytomnym wzrokiem. Luśka odwróciła głowę, spoglądając zalotnie spod oka, i zmarzluchowato, jak kot, ciśniej otuliła się płaszczem.

— Chodź, przejdziemy się — zaproponował Warski.

— Mnie tu się podoba — odpowiedziała.

Przysunął się bliżej i objął ją ramieniem.

— Ach — powiedziała — wcale nie zwracasz na mnie uwagi. Myślisz, że to takie strasznie ciekawe...

Warski odwrócił ku sobie twarz Luśki i wpił się w jej usta.

Ktoś szedł aleją. Odsunęli się od siebie.

— Ty mnie zawsze podniecasz — powiedziała Luśka i jej oczy wyzywająco błysnęły.

Aleją człapał, ciężko opierając się na lasce, stary dziadek. Obok niego, trzymając się jego łokcia, dreptała wyschnięta babcia.

— A więc czym się to wszystko skończyło? — spytała dziewczyna Warskiego.

Warski stracił ochotę do opowiadania. Ziewnął, zakrywając usta dłonią.

— Poddano pod głosowanie — powiedział. — Nic z tej całej afery nie wyszło...

W głębi ciemności chodziła jesień. Liczyła liście, które tego wieczora opadły z drzew, myliła rachunek, znów zaczynała liczyć od nowa, a liście padały i padały. Sze-

leściły suche usta jesieni wymawiając olbrzymie liczby. Całkiem się już w nich zgubiła, a liście wciąż padały i padały. Wtedy jesień pomyślała sobie, że to padają z nieba gwiazdy. „Całkiem po prostu trzeba policzyć gwiazdy na niebie i ta ilość, której brakuje, to będą listki, które dziś opadły. Albo jeszcze prościej: policzyć dzisiejszego wieczora zakochanych.” Mimo to znowu zmyliła rachunek, bo okazało się, że zakochanych jest o wiele mniej niż opadłych liści. Wtedy jesień przestała liczyć i pomyślała: „Jeszcze nie tak; ażeby policzyć listki, trzeba policzyć ludzi, których już nie ma.” I znowu zaczęła liczyć, a z nieba, jak przez sito, sypały się gwiazdy.

R o z d z i a ł VI

— Nie rozumiesz jednej rzeczy — powiedział Wierzchowski, mocno opierając się rękami o stół. — Głową muru nie przebijesz, tylko głowę rozwalisz, to pewne. Mimo wszystko jest ważne, jak się odnosi do ciebie sąsiad. Wytworzyła się tego rodzaju sytuacja, że nie jest dla ciebie rzeczą wygodną pokazywać swoje „ja”. Inaczej wyrzucą cię z uniwersytetu i będą mieli wszelkie podstawy po temu. — Wierzchowski skrzywił się. — Nie lubię gadać na sucho. Tylko że dziś całego majątku mam pięć rubli, co starczy akurat na opłacenie tego podłego sznycla. Cześć, Ninko! — przywitał kelnerkę.

Michał położył na stole dwadzieścia pięć rubli.

— To z ciebie bogacz! — rzekł Wierzchowski. — Przysyłają ci z domu? Nie chciałbym cię ograbiąć...

— Dwieście miesięcznie — powiedział Michał.

— To fajnie — Wierzchowski poprawił krawat. — Ja obracam się w granicach stypendium. — Wstał, zgarbiając pieniądze.

— Chwileczkę.

Podszedł do bufetu, oparł się łokciami na kontuarze i z uśmiechem mówił coś do bufetowej. Michała dra-
pało w gardle. Najchętniej wyszedłby z tego dusznego
pomieszczenia, by się zanurzyć w chłodnych falach je-
sieni. Patrząc, jak dopala się po drugiej stronie Dniepru
wyspa Truchana, lub po prostu iść przed siebie, roz-
rzucając nogami liście, słuchać ich szelestu czy dekla-
mować wiersze Baudelaire'a.

— Jest wino — Wierzchowski postawił butelkę na
stoliku. — Nie chciałbym cię zrujnować — powiedział
kładąc resztę, którą Michał apatycznie schował do kie-
szeni. — Coś niewesoły dziś jesteś...

— Fetysze... — odparł Michał. — Medycyna nie zna
takiej choroby...

— O-ho-ho! — Wierzchowski uniósł brwi. — Ale w
tej chwili trzeba gruntownie przemyśleć sytuację.

— Prawdę mówiąc, nie chce mi się w ogóle o tym
myśleć.

— Pozwól, że zrobię to ja — Wierzchowski nalał
szklanki. — Ale muszę głośno myśleć. Inaczej nic z te-
go nie będzie. A więc sytuacja, powiadam, nie bardzo.
Przed wszystkim dostałeś się w schemat: pozytywni-
negatywni. Przyczepiono ci, że tak powiem, etykietkę.
Mimo wszystko to tylko bańka mydlana — powstała z
niczego i, rozdmuchana, pęknie. A ciebie nie wyrzucą.
Bo nie powinno się było czytać listu na głos. Z jednej
strony, to zwiększyło liczbę twoich wrogów, z drugiej —
spowodowało wśród nich rozłam. — Wierzchowski po-
ciągnął łyk wina. — A chcesz wiedzieć, dlaczego? W ży-
ciu zawsze tak bywa, że ktoś kogoś nie lubi. Warski nie
lubi Walki Jacenko i na odwrót. Na pierwszym roku to
była nierozłączna para. Jacenko miała przyjaciółkę na
biologii, taka sobie niepozorna dziewczyna. Ale uroda
dziewczyny, jak i jej przyjaźń, to rzecz bardzo wzglę-

dną: już po miesiącu Warski chodził z przyjaciółką Jacenko, a dopiero od niej przerzucił się do swojej Luśki. Na tym prawdopodobnie skończy się jego kariera donżuana. Fakt tyleż mało zauważalny, co znamienny. Warski i Jacenko to dwa bieguny. Otóż kiedy chlapnąłeś coś o Jacenko, ją to rozwścieczyło, a jego uradowało. Takich biegunów znalazłoby się z tuzin: dziewczęta-chłopcy, chłopcy-dziewczeta. Każdy będzie się oburzać i cieszyć. To znaczy, nie zapomną obrazy, ale chętnie ci wybaczą, bo zraniłeś psychologicznego przeciwnika. Rozumiesz?

— Nie — odparł Michał. Wino stało przed nim nie tknięte. — To dla mnie mistyka.

— Im więcej ludzi — mówił Wierchowski — tym większą rolę zaczynają odgrywać drobnostki. Chcę ci psychologicznie wyjaśnić, dlaczego zebranie przegłosowało przeciw wyrzuceniu cię z uniwersytetu, innymi słowy — dlaczego ci się poszczęściło... Mnie też nie zawsze chce się grzebać w takim bagnie, ale ja jestem dzieckiem ulicy. Ulica była moim nauczycielem i wychowawcą. Mój ojciec lubił piwiarnie i potępiał go każdy mniej więcej porządny mieszczuch. Oczywiście odnosiło się to też do mnie: rodzice zabraniali dzieciom bawić się ze mną, bo jestem zepsuty czy, jak się to mówi, nie jestem z dobrego domu, a zatem mam i setki innych grzechów. Musiałem się z niejednym pogodzić — chociaż to ciężka i bardzo nieprzyjemna konieczność. Lecz daje to pewną równowagę i człowiek w ten sposób odgradza się od dziobnieć w samo serce. Tak było od pierwszego dnia, kiedy zacząłem coś rozumieć. Przez całe życie obracałem się wśród ludzi, dla których takie incydenty, jak: nie uklonił się, powiedział coś o kimś i to coś poprzez dziesiąte usta dotarło do tamtego — były poważniejsze od trzęsienia ziemi. Musiałem się nauczyć grzeczności, uprzejmości, chociaż nieraz miało się

ochotę plunąć komuś w gębę. I było tak, że im więcej nienawiści, tym przyjemniejszy uśmiech...

Wierzchowski zapomniał o winie i sznycle. Policzki płonęły mu rumieńcem, usta skrzywił grymas goryczy, oczy miał już lekko zamglone.

— A propos, opowiem ci ciekawą historię — podjął znowu Wierzchowski. — Był u nas pewien człowiek, który tym się różnił od innych, że nikomu się nie kłaniał. Może był tak zagłębiany w siebie, a może po prostu nikt go tego nie nauczył. Poza tym nie rozmawiał z sąsiadami. Dzieci nie miał, a jego żona była taka sama jak on. Ludzie opowiadali o nich cuda, jedni — że znaleźli złoto, inni — że mają syfilis. Wreszcie wpadło komuś do głowy, że to pewnie szpiedzy. Nawet zrobiono na nich doniesienie na milicję.

Michał roześmiał się.

— To wszystko bardzo zabawne — powiedział. — Ale mnie w tej chwili dręczy co innego. Dlaczego człowiek, który chociaż troszeczkę wzniósł się ponad poziom przeciętnego prostaczka, traci zaraz jego nieskazitelną moralność i staje się zakutym mieszczuchem?

— Co to znaczy zakuty mieszczuch? — Wierzchowski uniósł brwi. — Po prostu człowiek trafia w inne środowisko, które ma swoje określone wymagania. Jeśli nie utrafisz we właściwy ton, będą cię tak długo dziobać, póki tego tonu nie odnajdziesz... Ale ja mówiłem o czym innym. U ciebie dziś wiele się zmieniło — z niejkiej przeszedłeś na pozycję określoną, i to skupiło wokół ciebie jednych, a odepchnęło innych. Wciąż mówię o tychże drobnostkach, nie muszą to być zaraz wysokie materie.

— Ale po co ty się w to wtrąciłeś? — spytał Michał. — Chcesz naruszyć swój spokój?

Wierzchowski przypomniał sobie o winie, dokończył zimnego już sznycła.

— Co to dziś takie zimne sznycle, Ninko? — spytał kelnerki.

— A ty jeszcze dłużej miel językiem — odpowiedziała.

— Był kiedyś taki mądry staruszek Skoworoda — zwrócił się do Michała Wierzchowski. — Powiedział mniej więcej coś takiego: podziel świat na dwa — duży i mały. Ten duży — to świat niezależny od ciebie, ten mały — to ty.

Trzeba było znaleźć jakieś zaciszne miejsce, aby odzyskać równowagę i nareszcie zakończyć tę dziwną niedzielę. Michał wybrał koncert symfoniczny w małej sali konserwatorium. Zostawiwszy płaszcz w garderobie na dole, długo wchodził schodami w górę, a potem wszedł do zacisznej salki, pełnej ludzkich głosów i ostrych dźwięków strojonych instrumentów. Usiadł w kąciку, założywszy nogę na nogę, i przyglądał się publiczności. Wyglądała wcale przyzwoicie: tu i tam jaśniały paradniejsze stroje, uśmiechy i twarze. Pośród nich raziły trochę okrągłe łysiny staruszków i spróchniałe ciała staruszek, ale wszyscy byli dla siebie grzeczni, nisko pochylając się ku sobie podczas rozmowy. Orkiestra bardzo była zajęta strojeniem instrumentów — na twarzach muzyków malowały się powaga i skupienie. Połyskiwały lśniące nogi dziewcząt, chłopcy — odprasowani i wykrochmaleni — pysznili się czarnymi smokingami.

Michał zobaczył z daleka Wsewołoda Kaszczenkę, który żywo dyskutował z jakimś łysym jak kolano dziadkiem. Obok Michała też dyskutowano. Modna panna siedząca przed nim kokieteryjnie wznosiła w górę oczy, jej partner wymachiwał rękami. Mówili po rosyjsku. Michał głębiej wsunął się w fotel. Miał przestarzałe po-

jęcia — ten kto przyszedł na koncert, powinien odczuwać smutek, jaki ukoić może tylko niepowtarzalna harmonia dźwięków. Sąsiadka obok usiłowała przybrać mądrą minę. „Ludzie muszą robić mądre miny — rozmyślał. — To też rodzaj ucieczki od codzienności.” Siedział w swoim kącie i nachodziły go najdziwniejsze myśli. Wyjście w świat to też pewnego rodzaju sprawdzenie siebie w życiu: pozwala skonfrontować własną postawę z postawami innych i wyciągnąć wnioski z tej konfrontacji. „Tyle tu przypadkowych osób” — powiedziała dziewczyna siedząca przed Michałem. Jej towarzysz potakująco kiwnął głową. Michał wciąż jeszcze odczuwał tęskny smutek, ale koncert jakoś się opóźniał. Muzycy bezustannie stroili instrumenty, co już zaczynało go irytować.

Wsewołod Kaszczenko zobaczył Michała, kiwnął mu głową i na migi spytał, czy jest koło niego miejsce. Miejsca nie było. Wtedy Wsewołod wyjął z kieszeni notes i szybko napisał coś na kartce. Kartka powędrowała przez salę, kierowana gestami Kaszczenki. Panna siedząca przed Michałem zlustrowała go od stóp do głowy, ale kartkę podała. „Fetysz!” — pomyślał Michał i od razu zrobiło mu się wesoło. „Nie uciekaj — przeczytał. — Spotkamy się po koncercie.” Kaszczenko wciąż jeszcze stał, wspiawszy się na palce. Michał dał mu znak, że dobrze. Panna z poprzedniego rzędu lekko odwróciła głowę i spod oka obserwowała ich sygnalizację.

„Źle odbieram muzykę, gdy jest tyle ludzi” — myślał Michał, czując się zagubionym pośród tych pleców, twarzy i głów. Na scenę wyszła lśniąco perłowa dziewczyna i zwyczajnym głosem zapowiedziała program koncertu. „To mi się podoba — pomyślał Michał. — Nie trzeba robić z tego cyrku.” Dziewczyna odeszła, zgrabnie wyginając się w przejściach, i to nieoczekiwanie uspokoiło Michała.

Zjawił się dyrygent, skrzypkowie z wyteżoną uwagą na twarzach unieśli smyczki. Michał wygodniej rozsiadł się w fotelu i poczuł, jak znowu ogarnia go ów tęskny smutek, który prosi się o muzykę. Fala dźwięków chlusnęła na salę i załamała się gdzieś nad głową. „Wielką wadą takich koncertów — zdążył jeszcze pomyśleć — jest to, że człowiek nie może sobie sam wybrać programu.”

— Jakoś rzadko ostatnio przychodzisz — powiedział Kaszczenko, kiedy wracali z koncertu.

— Jestem trochę wytrącony z koleiny — odparł Michał.

— Wciąż te konflikty na uczelni? — Wsewołod machinalnie rozpinął i zapinał guzik płaszcza. — Czy warto tracić na to siły? Wokół taki szeroki świat — powiedział. — Dalibóg, strasznie szeroki świat.

Michał uśmiechnął się.

— Popatrz, co za jesień — Kaszczenko pokazał na jaskrawożółty kasztan. — Piękna jest więcej niż brzydota, wierz mi. Trzeba tylko umieć je znajdować...

Wokoło stygło nieruchome powietrze. Tak bardzo nieruchome, że — zdawało się — wymarło wszystko, co żywe. Było późno i prawie nie spotykali przechodniów. Złudne ciepło, jakie bywa tylko w jesieni, otulało drzewa i domy.

— Czasem mi się wydaje — powiedział Wsewołod — że ludzkie życie to większe lub mniejsze koła. Im mniejsze koło, tym więcej chaotycznego ruchu, a w konsekwencji — więcej wszelakich przeszkód na drodze. Człowiek szuka swojej orbity. Źle jest temu, kto urodził się, aby krążyć w mniejszym kole, a znalazł się w większym. Z takich ludzi bywają biurokraci i urzędaszy. Ale

jeszcze gorzej, gdy człowiek urodzony do większego koła kręci się w mniejszym. To już dramat...

— Kto wie — uśmiechnął się Michał — kto wie...

Przystanęli obok balustrady parku Pierwszomajowego. W dole lgnęła do brzegów nieruchoma wstęga Dniepru, przez most wolno szło kilka par. Trudno było się zorientować, czy się zbliżają, czy oddalają. Od dołu szedł zapach opadłych liści, liści kołyszących się na falach Dniepru, na falach jesieni i wieczora. Po obu stronach balustrady, przed nimi i za nimi, rozkwitały światła miasta.

— Co masz zamiar robić po studiach? — spytał Wsewołod.

— Nie wiem — wzruszył ramionami Michał. — Pojadę, gdzie mnie poślą. A potem się rozejrzę.

Zdjął okulary. Otaczający świat stał się od razu matowy i mętny. Poszukał w kieszeniach i znalazł papierosa. Płomyk zapalki błysnął przed oczami jak żółty listek i zatrzepotał, jak gdyby w tym nieruchomym powietrzu hulał Bóg wie jaki wiatr. Dym papierosa zmieszał się z zapachami jesieni — jakby gdzieś paliło się ognisko z opadłych liści i jego dym rozchodził się na wiele kilometrów. Taki dym budzi zamęt w duszy i trudno wtedy utrzymać się w zwykłych ramach codzienności. Więc się człowiek próbuje z nich po trosze wyłamać, a niepokój pędzi go w świat, jak wiatr pędzi liście. „Ileż takich liści rozleciało się po ziemi — myślał — krążą jak żółte widma i niepokoją innych...”

— Pojadę, gdzie mnie poślą — powtórzył na głos. — A potem się rozejrzę. — Włożył okulary. Dym z wolna rozplýwał się w powietrzu nad ich głowami. — A poza tym wydaje mi się... — papieros sparzył mu palce, spojrzał nań ze zdziwieniem i rzucił w dół. Niedopałek długo leciał, znacząc iskrami swą drogę, i nagle znikł, jakby go pochłoniął ten mrok i ta jesień. — Poza tym

wydaje mi się — powtórzył — że trzeba mieć jakąś własną, choćby niewielką, idée fixe...

Szła w jego stronę — spieszny, zamaszysty krokiem. Była w płaszczu nieprzemakalnym, mocno ściągniętym w talii paskiem. Od szybkiego chodu poły płaszcza rozchyłały się i Michał widział jej lśniąco kolana. W tej chwili zerwał się wiatr. To był ten sam wiatr, jesienny hultaj i kawaler. Lida szła w jego stronę spieszny, zamaszysty krokiem. Michał stał na chodniku zachwycony tym nieoczekiwanym spotkaniem, a obok niego niby cienie przesuwali się ludzie. Nawet nie wiedział, czy to ludzie, czy liście... Lida już się uśmiechała tym swoim na wpół zdziwionym, na wpół radosnym uśmiechem.

— Wiedziałem, że cię spotkam — powiedział.

— Skąd wiedziałeś?

Stali pośrodku chodnika i byli niby wysepka w szumiącym morzu ludzi.

— Wiedziałem — powtórzył, nie umiając ukryć radości.

— A ja poznałam cię jeszcze, o, stamtąd — Lida pokazała za siebie, gdzie rozlało się żółte morze złotej jesieni. — Chcesz pójść ze mną?

— Nigdzie cię nie puszcę — powiedział...

Nareszcie nie było wiatru. Tak samo jak nie było ludzi, tylko pusty chodnik, na którym pragnął ją spotkać. I nie było nawet liści — wiatr tak szybko zmiótł je do rynsztoków — a tylko cisza o zielononiebieskich oczach.

— Nigdzie nie pójdziesz — powiedział biorąc ją za rękę.

— A to dlaczego? — uniosła brwi.

— Wiedziałem, że cię spotkam. Dziś taki dziwny dzień. Wiesz, bywa tak...

W plecy dał im wiatr, figlarz i psotnik.

— Mam dziś tyle spraw — powiedziała Lida.

— Wieczorem nie ma żadnych spraw — trzymał ją za rękaw.

— Podrzesz mi płaszcz — zaśmiała się. — A to mój jedyny.

— Wieczorem nie można mieć żadnych spraw. A przy tym ten wiatr. Kiedy dmie wiatr, jest mi smutno.

Nie mógł wytrzymać jej uśmiechu, bo przestawał istnieć, gdy tylko ten uśmiech pojawiał się na jej ustach. Znikał w wieczorze, który oby trwał jeszcze i trwał, w tej jesieni, która może dziś jeszcze się skończy. Tak, wiedział to prawie na pewno: dziś ta jesień się skończy...

— Nigdzie cię nie puszcę — powiedział.

Dotąd trzymał jej rękę, zaciskając w garści rękaw płaszcza. Wiatr targał włosy Lidy, wciskał płaszcz między nogi, popychał w plecy, a wokół migwały ludzkie twarze. Michał odwrócił się bokiem, zapalił papierosa osłaniając płomyk zapalki dłonią. Zresztą to było zbyt szybkie, bo wokół trwała nieruchoma cisza, tak bardzo nieruchoma, że powietrze zdawało się dzwonić.

— Cały dzisiejszy wieczór brakowało mi ciebie — powiedział.

— Jakiś ty uparty! Nawet się nie spodziewałam.

— Czego się nie spodziewałaś?

— Takiej paskudnej upartości — zwróciła do niego twarz.

— Tutaj tak dużo ludzi — powiedział Michał. — A ja chcę widzieć tylko ciebie.

Dokoła migwały twarze. Jedna za drugą, jedna za drugą. I dał wiatr. Wzdłuż szosy leżały długie smugi liści — w świetle latarni dopalały się ich barwy. „A kiedy

zaczną się deszcze albo spadnie śnieg, wówczas wszystko się zmieni. Wszystko wtedy będzie szare albo białe. I dusza będzie szara lub biała. Człowiek zawsze szuka zmian — białych czy szarych. I dopiero gdy wchłonie w siebie zbyt wiele szarego lub białego, wtedy się buntuje.”

— Ja się ciebie dziś aż boję — powiedziała Lida, wzdychając wzrokiem za przechodzącymi ludźmi. Wokoło migły twarze, a oni byli jak wysepka pośród tych twarzy.

Znowu wziął ją za rękaw, mnąc w dłoni płaszcz.

— Ty jednak chcesz mi podrzeć płaszcz — powiedziała Lida. Puścił rękaw i dotknął jej dłoni. Ta dłoń była ciepła i miękka.

— Masz palce jak żaba — powiedziała Lida.

Wiatr targał odzież i włosy. Z przeciwnej strony, przytrzymując odzież na kolanach, szły kobiety.

— Trzeba być wariatem, żeby spacerować w taką pogodę.

...Zatrzymał się przed budką telefoniczną. Wokół było cicho i pusto. „Która to godzina?” — pomyślał nakręcając numer. Budka była oświetlona od środka, spokojnie drzemał automat, spokojnie potrzaskiwała nad głową żarówka...

— Muszę dziś koniecznie być w pewnym miejscu — powiedziała Lida. — Ale ty nic nie chcesz zrozumieć.

— Nie chcę — potwierdził.

— No dobrze — Lida zapięła płaszcz pod szyją. Jej ręka nadal grzała jego zimne palce. — Więc dokąd pójdziemy?

— Na wyspę Truchana — powiedział.

— Za wielki dziś wiatr.

Pokiwał głową.

— Tylko żeby nie było nudno — uprzedziła. — Nie-nawidzę nudy.

...Nad głową spokojnie potrzaskiwała żarówka.

— Halo — powiedział do słuchawki.

— Ach, ty moje nieszczęście — odpowiedziała Lida. — Nie mogłeś już później zadzwonić?

Przełknął ślinę, bo paliło go w gardle jak podczas ciężkiej choroby. Budka była zalana żółtym światłem, na tyle żółtym, że jego skóra miała kolor wosku. Lida już szeptała do słuchawki:

— Zrozum, że nie jestem sama na świecie. Mam rodziców, zresztą trzeba znać granice... Czy może sądzisz, że ze mną można, jak tylko ci się zechce?

— Dzwoniłem do ciebie dwie godziny temu.

— Nie było mnie w domu — odpowiedziała.

...Poszli aleją parku Pierwszomajowego. Spotykali tu jeszcze ludzi, ale było ich mniej. Michał westchnął i mocniej ścisnął palce Lidy.

— Masz taką gorącą rękę — powiedział. — Cała jesteś jakaś...

— Jaka? — figlarnie spojrzała na niego.

— Taka — zwrócił się do niej i zajrzał jej w oczy...

— Mam szczęście do dziwaków — powiedziała Lida i zamilkła. Słyszał w słuchawce jej oddech. — Możemy się spotkać jutro — zaproponowała po chwili...

— Kiedy widzę cię na wykładach — mówił Michał ściskając jej palce — wydajesz się wtedy inna. Dlaczego tak jest? Zupełnie się zmieniasz i mnie robi się wtedy jakoś dziwnie na duszy...

Stali nad urwiskiem, wiatr rozwiewał poły ich płaszczy. Zdawało się, że dmie z dołu do góry. Wiatr, myślał Michał, to duch wilgotnych alei i zbutwiałych liści.

— Gdy jesteśmy razem, zawsze jest wiatr...

...W słuchawce telefonu wciąż jeszcze słyszeć było jej oddech.

— Najbardziej mi się podoba — odezwiała się wreszcie Lida — że ty tam stoisz i milczysz.

Rzeczywiście milczał. Nad głową spokojnie potrzaskiwała żarówka, a on, oparty o szklaną ścianę budki, wsłuchiwał się w wyładowania elektryczne.

— Co, twoim zdaniem, mam powiedzieć rodzicom?

— Powiedz, co chcesz — odpowiedział.

— A potem?

— Potem pójdziemy po prostu przed siebie. Chcę cię koniecznie dziś zobaczyć.

— Moje ty nieszczęście — westchnęła Lida. — Spróbuję coś skłamać. Czekaj pod bramą. A skąd dzwonisz?

— Z bliska. Z bardzo bliska.

— Właśnie — mruknęła słuchawka — ty zawsze z bliska...

...Stali nad urwiskiem, z dołu ciągnęło wilgocią od mokrej ziemi i zeprzałych liści.

— Dziś tak chłodno — powiedziała Lida. — Pewno spadnie śnieg. Zawsze lubiłam pierwszy śnieg. Nie sądzisz, że się go dziś doczekamy?

— Nie wiem — odparł. — Muszę ci tyle powiedzieć...

— To przypomina melodramat — uśmiechnęła się Lida.

— Kto wie — odpowiedział poważnie.

Zbliżył ku sobie jej twarz i poczuł zapach jej skóry. Był to subtelny zapach liści, ledwo tkniętych jesienią. „Ta twarz nie może być jak zwykły liść — pomyślał. — To ciało także.” Ona uśmiechała się, lubiła i umiała się uśmiechać. I on poczuł, że cały drży. Z zimna? Z podniecenia? Wiatr dał od dołu, silny i uparty, rozwiewał poły płaszcza i sukienkę Lidy i jej nogi w cieniutkich pończochach jaśniały w mroku jak perłowe. Wiatr rozwiewał jej włosy. Wszystko — oczy, usta, które umiały tak się uśmiechać, policzki, czoło — wszystko pachniało czystymi, jesiennymi liśćmi. Trzeba było utrzymać się na tej fali, ale on wiedział, że nie potrafi. I poczuł blisko jej oddech.

— Co robisz, wariacie?

...Zatrzasnął za sobą drzwi budki telefonicznej.

Dokoła było pusto, tylko w oddali znikało szybko, krając ciemność, jedno jedyne auto...

— Chcę ci powiedzieć coś bardzo ważnego.

Lida stała przed bramą w swoim nieprzemakalnym płaszczu, mocno ściągniętym w tali paskiem. Michał stanął przed nią.

— No, co się stało?

— Wybacz — powiedział.

— Ale co się stało, wariacie?

Stał o kilka kroków od niej i czuł, że już się nie powstrzyma.

— Śnieg — powiedziała Lida wyciągając przed siebie dłoń.

Rzeczywiście wokół nich zatańczyły płatki śniegu. Lekkie, jeszcze nieśmiałe, osiadały na ubraniu jak motylki i natychmiast tajały, jakby nigdy ich nie było.

Lida oparła się plecami o słup, cała w niezliczonych białych cętkach.

— Nigdy jeszcze nie byłam o tak późnej porze na ulicy — powiedziała. — I nigdy nie sądziłam, że mogą one być aż tak puste.

...Stali nad urwiskiem i wiatr nie pozwalał im ruszyć się z miejsca. On dotykał ustami jej twarzy, która pachniała liśćmi, i miał uczucie, że dotyka ustami liści. Liści, których jednak nie zdołała przeliczyć jesień. Chodziła zagubiona, całkiem już otumaniona tymi liczbami. „Ile ich jest — szeptała — tych, których już nie doliczysz się na tej ziemi? Na ich miejsce przychodzą inni. Chyba po to, by przeliczyć liście — myślała — trzeba przeliczyć ludzi...”

Wiatr znikł. Jak gdyby go wcale nie było, jakby nie było ani zimna, ani rozwianej odzieży, ani perłowego jaśnienia skóry, ani twarzy, która pachniała liśćmi. Jak-

by to wszystko było tylko zachcianką, a może cierpieniem? Biała chusta twarzy oddalała się i tajała niby śnieg...

— Śnieg — powiedziała Lida oddychając rozchylonymi ustami. — A ty dlaczego tak daleko stoisz?

Podszedł bliżej.

— No co?

— Wybacz — powiedział.

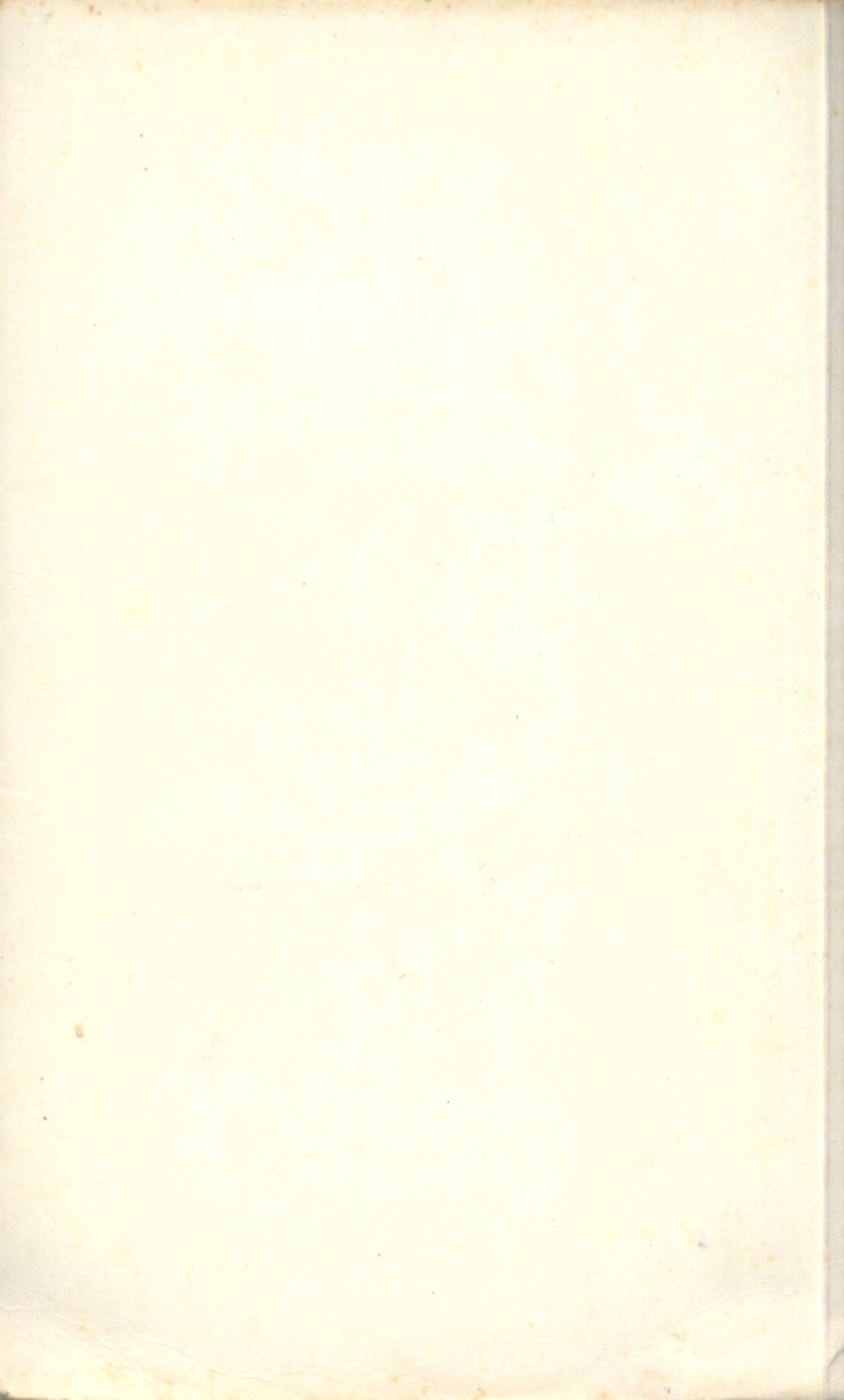
Małutki gnomik patrzył, jak dopalają się listki, smutek zapukał do jego serca. Ale stłumił go. Usadowił się na królewskim tronie i przymknął oczy. Zdawało mu się, że od chwili, gdy wyszedł popatrzeć na ziemię, minęło wiele, wiele czasu. Otworzył oczy — listki już dogorywały. Leżały na stole szerniałe, poskręcane. Gnomik nasłuchiwał, ale nie usłyszał najlżejszego szmeru w swoim podziemiu. „To cisza — powiedział do siebie. — Wiedziałem, że to przyszła cisza!” A ona zbliżyła się, osunęła na posadzkę obok tronu i podniosła na niego duże, czarne oczy. „To ty — powiedział gnomik. — Czekałem na ciebie.” Na niego patrzyły bezdenne, smutne oczy, a nad czołem, połyskując czerwonymi płatkami, cicho jaśniał omdlewający kwiat.

1966 r.

Spis treści

[illegible]

*„Czytelnik”, Warszawa 1974. Wydanie I.
Nakład 6 290 egz. Ark. wyd. 11,9; ark. druk. 16,75.
Papier druk. m/gł. kl. IV, 65 g, 82×104.
Oddano do składania 18 V 1974.
Podpisano do druku 28 XI 1974.
Druk ukończono w grudniu 1974.
Szczecińskie Zakłady Graficzne.
Zam. wyd. 467; druk. 1794. W-103/349. Cena zł 20,—
Printed in Poland.*



CZYTELNIK

Do nabycia w księgarniach:

Jewhen Hucalo
DOMOWE OGNISKO

s. 200 zł 10.—

Z obszernego prozatorskiego dorobku trzydziestoczteroletniego pisarza ukraińskiego otrzymaliśmy jedną z najlepszych jego powieści w dbałym i pieczołowitym przekładzie polskim, oddającym nie tylko lakoniczną i naturalną ludową narrację oryginału, lecz także cały jego urok. „Domowe ognisko” jest utworem dojrzałym, pojemnym problemowo i charakterystycznym dla współczesnej prozy ukraińskiej, uparcie penetrującej problemy etyczne życia wiejskiego.

Florian Nieuważny
„Nowe Książki”, 1973

CENA ZŁ 20,-

24. 75

54/62